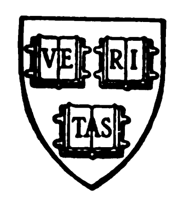
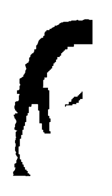
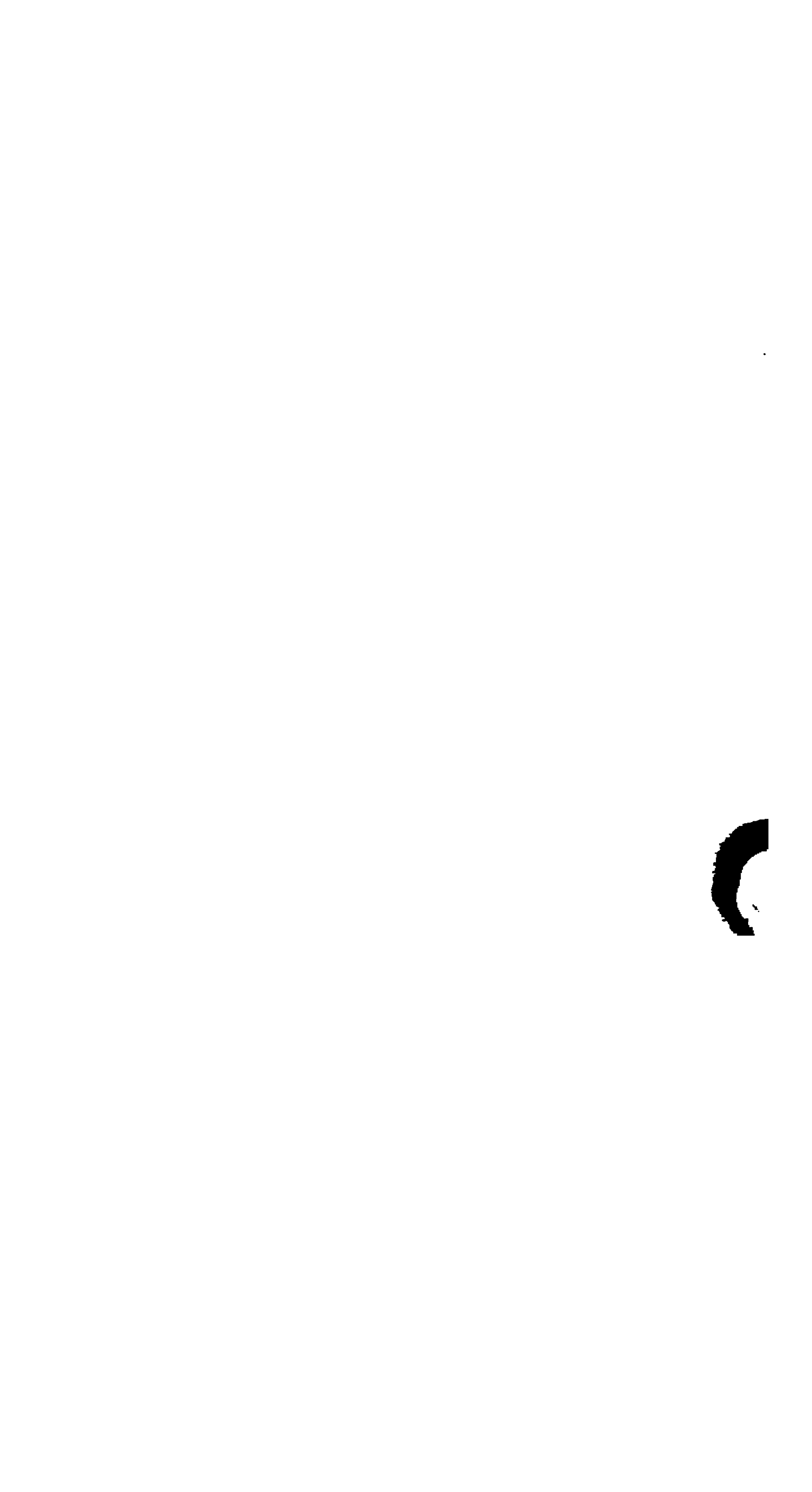





VE
RI
TAS





GORDON

PRZECHADZKI

PO

AMERYCE

PRZEZ

J. GORDONA

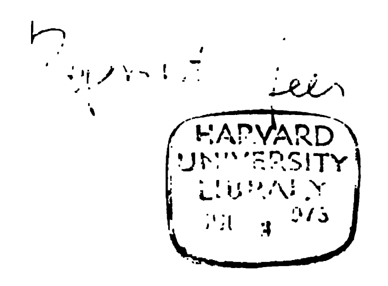
Obywatela Stanów Zjednoczonych.

Odjazd do Ameryki — Atlantyk — Nowy Jork — Kościuszko, Pulawski i Niemcewicz — Moja naturalizacya — Kwakrzy, Mormoni — Typ Amerykanina — Niagara — Cincinnati — Arystokracya — Cena ziemi — Przechadzka w lesie dziewiczym — Prawodawstwo — Abraham Lincoln.



KSIĘGARNIA B. BEHR'A
(E. BOCK).

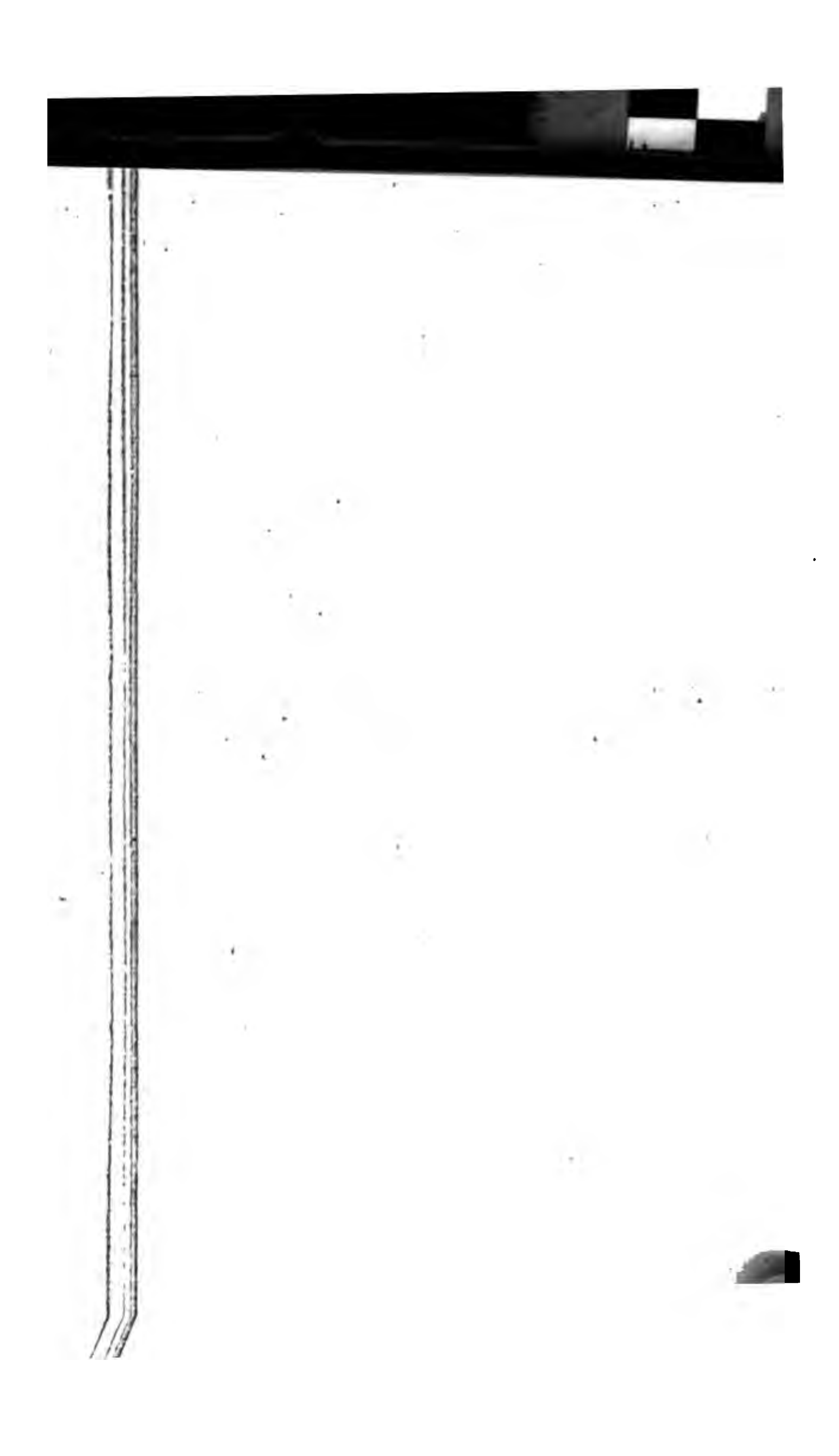
BERLIN 1866. POZNAN
27. BULWAR POD LIPAMI. 21. ULICA WILHELMOWSKA.


HARVARD
UNIVERSITY
LIBRARY

Spis Rozdziałów.

I.

Odjazd do Ameryki — Bremen — Havre — Statek emigrancki — Jakim sposobem można podróżować darmo.



I.

„Bremen!“ zawołał konduktor; — sznur wagonów zatrzymał się pod ogromną galeryą o szklannym dachu na stacyi kolei żelaznej.

Po długiej podróży ujrzałem się nakoniec na krańcu Europy, w wolnem mieście anzeatyckiem, zkąd miałem zamiar odpłynąć do Ameryki.

Wysiadając z wagonu byłem zapytany przez urzędnika miejscowego o papiery. Nie rozumiejąc dobrze jego języka, wyjąłem z kieszeni książeczkę z papierkami na cygareta, oderwałem listek i ofiarowałem Niemcowi.

— Nein, nein, euer Passport! zagadnął.

Dopiero przypomniałem sobie, że miałem kiedyś paszport; odszukawszy go więc przedstawiłem wedle żądania i jako człowiek formalny wsiadłem do najbliższej doróżki, potoczyła się po posępnych starożytnego miasta ulicach i stanęła przed wspaniałym hotelem pod godłem: „Wiktorya.“

Odźwierny w dzwonek uderzył, kilku *kelnerów* w spancerkach wyskoczyło z bramy na me spotkanie; jeden z nich wziął parasol, drugi laskę i torbę, trzeci kalosze, i tak z okazałością zaprowadzono mię do przeznaczonego pokoju.

Czułem się mocno strudzony, pragnąłem spocząć; z tem wszystkiem pomyślawszy, że wypada korzystać z czasu, aby rzucić okiem na odwieczny gród handlowy, którego może nie obaczę więcej, spoczynek odłożyłem na później.

Dosyć będzie czasu spocząć na okręcie, a kto wie, może i na dnie morskiem . . .

Na przeciwko hotelu znajdował się kram bławatny; z za kryształowej szyby wielkiego okna wyglądały z niego towary; z wyrobów można czasem sądzić o kraju i o ludziach . . .

Obaczmy naprzód kram!

Czerwone flanelowe koszule były najpierwszym przedmiotem, co uderzył wzrok mój. Flanela, to rzecz najpotrzebniejsza dla tego, kto się puszcza na Ocean! Wszedłem zatem do sklepiku, a rozmawiając na migi z jejmością kupcową, kupiłem trzy koszule na raz. Ale otóż i chustki do nosa! na jednej z nich litografowany plan miasta; prawdziwy plan! z kościołami, pomnikami, ogrodami. Cóż to za wygoda dla cudzoziemca, co nie umie po nie-

miecku, nie lubi gestykulować, a pragnie obaczyć coś w mieście. Zapłaciłem 10 sylberów, wziąłem chustkę i udałem się z nią na praktyczną przechadzkę, poglądając w ulicach na prawo i na lewo, i nikogo nie napastując pytaniami o drogę.

Obok kościoła katedralnego, co pamięta XIIIgo wieku początek, stał Anglik turysta z drukowanym przewodnikiem w ręku, i z zadartą w tył głową patrzał przez szkiełko na wieżę.

— Jakby z koronki uwita! — zawołałem.

— O! yes — rzecze — i nuż mi wyszczególniać ciekawości katedry, a mianowicie, że są pod nią groby mające własność zachowywania trupów przez wieki całe.

Na tę rozmowę nadszedł jakiś młodzieniaszek, który przyczepiwszy się do nas, z kolei rzeczy zaczął coś opowiadać. Anglik sądząc, że to *ciceroni*, wsunął mu talara do ręki, życząc dnia dobrego. Młodzieniec zaczerwienił się po uszy, talar upadł z brzękiem na kamienie. Myślałem, że przyjdzie do jakiej awantury, lecz turysta odszedł w milczeniu, sztywny jak gdyby kij połknął.

Spojrzałem z uśmiechem na młodziana i zawiązała się między nami rozmowa. Urodzony Paryżanin, były student Sorbony, mieszkał

on także w hotelu Wiktorya. Zamierzał udać się do Hawru dla złączenia się tam ze swym starszym bratem, z kąd obydwa mieli popłynąć do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Dowiedziałem się, że stryj jego szczęśliwym trafem przyszedł tam prędko do majątku: posiadając kolonję, wartość jej ogromnie poszła w górę, gdy wedle nowego rozkładu dróg żelaznych, jednę jej gałęź przeprowadzono przez jego posiadłość. Staruszek bezdzietny, a wielce uradowany swą pomyślnością, owocem pracy chciał się podzielić z synowcami i zapraszał ich do siebie.

Przypadkowo więc znalazłem towarzysza podróży, którego tak mieć pragnąłem! . .

Należał on do liczby tych otwartych młodych ludzi, pełnych nadziei i złudzeń, poglądających na świat różowo, u których serce widać jak na dłoni; przytem był miły i uprzejmy — imię jego Alfred.

Postanowiliśmy porzucić nazajutrz Bremen; siadłszy zaś razem na statek parowy rzeką Wezyrą dostać się do portu, z tamtąd okrętem wyruszyć do Hawru, a następnie, w imię Boże, do nowego świata!

Na pożegnanie nudnego mieściska, podobnego pod tym względem do wszystkich miast północnych Niemiec, zaszliśmy do owej sławnej

piwnicy w podziemnych sklepieniach ratusza, gdzie znajduje się olbrzymia beczka, podobna do Heidelbergskiej. z tą różnicą, że ostatnia stoi próżna, gdy Bremeńska jest napełnioną winem reńskiem, klarującem się w niej od lat stupięćdziesięciu. Dano nam po lampeczce tego wina, rozumie się za zapłatę. Doskonałe! dotąd mi po niem smak pozostał w ustach.

Ktoby życzył sobie pokosztować go, niechaj się spieszy, gdyż i Niemcy mają zwyczaj dolewać beczkę młodym nektarem w miarę jak ubywa starego.

Za przybyciem naszem do Hawru, Alfred zastał nad spodziewanie brata swego w łóżku, w stanie zdrowia zatrważającym. Z pierwszego nań wejrzenia wniósłem, że czekała nieboraka dłuższa pielgrzymka niżeli do Ameryki. Opóźniać wszakże dla tego wykonanie przedsięwziętego zamiaru nie było moją myślą; lecz wyczytawszy w dzienniku „Havre“ doniesienie, iż okręt zwany „Helwecya“ odpłynie do Nowego Jorku za dni piętnaście, a pierwszego rzędu statek parowy „Arago“ za dni dziesięć, poświęciłem ten czas na oglądanie miasta i nawiedzanie chorego Francuza. Miał się coraz gorzej.

Havre jestto miasto i port razem, położony

przy ujściu Sekwany wpadającej do zatoki zaokrąglonej w kształcie amfiteatru. Okręty przybywają kanałami do bassenów, przeżynających miasto do środka. Z balkonów i z okien można się przypatrywać płynącym poważnie statkom, za zbliżeniem się których zwodzone mosty na kanałach podnoszą się otwierając drogę. Na rogach ulic uwijają się majtkowie kupujący pieczone kasztany. Przed wielu domami chuśtają się papugi na bronzowych obręczach, z łańcuszkami na nogach.

O tem to mieście Napoleon I wyrzekł: „Paryż, Ruen, Hawr, składają jeden gród, którego wielką ulicą jest Sekwana.“ Przeszło 15,000 okrętów przybywa rocznie do jego przystani; oprócz tego posiada czterdzieści własnych statków do połowu wielorybów.

Nader zajmujący widok, kiedy okręta o rozdętych żaglach wydalają się z portu. Długa, kamienna grobla, opatrzona latarnią na wyniosłej kolumnie, śmiało wkraczająca w morze, podobna do języka liżącego słoną wodę Atlantyku, jest ulubionem miejscem, gdzie cudzoziemcy zwykli używać przechadzki.

Na głównym placu Hawru znajduje się giełda, świątynia handlarzy z powołania. Przed nią zbiera się w południe grono spekulantów robiących interesa pieniężne.

— Czy widzisz pan tego chudego jegomości w ryżej peruce? rzekł do mnie Alfred.

— Tego, co tak pysznie stąpa? . . .

— Właśnie! Zaczął nos zadzierać od chwili, gdy udało mu się w jednym obrocie handlowym oszukać pewnego Holendra, od razu, pod zasłoną prawa, na 200,000 franków . . . Patrz pan teraz na tego małego, grubego, co ma nogi krótkie jak raciczki . . .

— Paleto w prążki? . . .

— Tak! Ten przyszedł do majątku przez założenie fabryki liniowania kajetów szkolnych i ksiąg kupieckich; — tamten zaś co z nim rozmawia i zażywa tabakę, niegdyś tragarz paryzki, zbogacił się tutaj sprzedażą hermetycznie zamkniętych pokarmów w puszkach blaszanych, używanych do odległych podróży; a potem rozwiódł się ze swą połowicą, w nadziei ożenienia się z księżniczką . . . zadłużoną księżniczką.

. . . .

— Na którym statku popłyniemy Alfredzie? . . . na Helwecyi, czy na Arago?

— Pierwsze miejsce — rzecze — na parowcu Arago kosztuje do Nowego Jorku franków 600, wyraźnie sześćset, drugie czterysta. Na okręcie żaglowym „Helwecya“ jest tylko jedno miejsce, szerokie, wspólne, dla wszy-

stkich, a tem samem najpierwsze z pierwszych — cena franków dwieście. Wybieraj kolego! Co do mnie, wolę być głową muchy niż ogonem lwa, czyli, przenoszę wspólne miejsce na Helwecyi, niżeli drugie na Arago.

— Niech więc żyje Helwecya! zawołałem.

I podaliśmy sobie dłonie.

Na tydzień przed wyjazdem brat Alfreda nie poznał mię, gdy zaszedłem do niego w odwiedziny — w trzy doby później przeniósł się do wieczności.

Biedny Alfred, uroniwszy gorącą łzę na mogile brata, przybył na okręt w dzień naznaczony.

Zaprawdę, smutny był nasz wyjazd.

„Helwecya“ zawiódł mię ogromnie. Nie miałem wyobrażenia o okręcie żaglowym, zwłaszcza emigranckim; widywałem go tylko z daleka. Właściciele podobnych okrętów, ich spółki, owi że tak powiem *liweranci ciał ludzkich*, umieją gładko przedstawić w pismach publicznych podróż na statkach emigranckich, w celu przywabienia jak najwięcej łatwowiernych nowicyuszów; umieją ją ubarwić każdemu z przychodzących do ich kantorów dla zasięgnięcia bliższych wiadomości.

Ale biada temu, kto popadnie w pułapkę

owych liwerantów bez sumienia, obiecujących zwykle złote gruszki na wierzbie! . . .

Krótkowidz nie dozna niestety rozczarowania, aż w ostatniej chwili odjazdu, gdy ujrzy się na tym samym statku, co tak wspaniale wygląda z pozoru; skoro opłacił już swój przejazd przez Atlantyk, przygotował się do niego, pożegnał ze wszystkiemi, i gdy nie pora się cofać . . .

Na oznaczoną godzinę przybyłem do wybrzeża, gdzie „Helwecya" stał spokojnie w szeregu swych żaglowych towarzyszy, na których powiewały różnosymboliczne flagi rozmaitych narodowości. Po schodkach, trzymając się liny służącej za poręcz, wstąpiłem na pokład; kilku majtków, kucharz, murzyn z szerokiemi nozdrzami w białej szlafmycy — pierwszy Afrykanin, którego w życiu spotkałem — i dwa buldoki angielskie, własność kapitana, wałęsały się tam i owdzie.

Powoli zaczęły się schodzić różne osoby w towarzystwie krewnych, przyjaciół i znajomych, mężczyzn, kobiet i dzieci. Za kilka zaś godzin taka stała się ciżba na statku, że ludzie cisnęli się jak śledzie w baryłce.

Nie można jeszcze było wiedzieć, którzy są podróżni, a którzy odprowadzający. Wyrazy rozmaitych języków krzyżowały się jak

w Babelu. Stuk kufrów, pudełek, narzekania niewiast, pisk pacholąt, wszystko to mieszało się razem, składało kocią muzykę, głuszyło, drażniło nerwy.

Ale otóż i żandarm nodchodzi; — zmiana dekoracyi! Majtkowie podnoszą ogromne wicko nakrywające kwadratowy otwór na środku pokładu, żandarm staje przy nim na straży; każdy z podróżnych, jeden za drugim, zbliża się do granatowego mistrza porządku — i okazuje mu paszport. Mistrz rzuca okiem na pieczęć policyi miejscowej i kiwa głową, podróżni spuszczają się przez otwór do wnętrza, jak do grobu.

Przyszła kolej na mnie i na Alfreda.

Postępując za drugimi, ujrzeliśmy się za kilka minut w głębi nawy, podobnej do podłóżnej sali o drewnianych podporach, z poprzyczepianemi do nich dwupiętrowemi rusztowaniami z przegrodami z tarcic.

Były to sypialnie dla szanownego zgromadzenia.

Alfred potrząc na nie zaczął dowcipkować z całą zgrabnością wrodzoną Francuzom, gdy ja tymczasem idąc za radą jakiegoś doświadczonego wędrowca, wybierałem kącik najbardziej oddalony od otworu, przez który

wiatr zwykł dmuchać, a czasem i mokry bałwan zaglądać.

Złożywszy manatki, rozciągnąwszy siennik (własność mą prywatną), na pierwszem piętrze wyniesienia z desek, i nakrywszy go grubą wełnianą kołdrą, zostawiłem sąsiadów zajętych jużto przywięzywaniem kuferków do słupów, zabespieczając je od wywrotu w razie, gdy Ocean tańcować, a okręt chuśtać się na nim zacznie, — już rozwieszających wędliny u sufitu, lub hałasujących pośród ogólnego nieładu, zamieszania i sporów o wygodniejsze miejsca.

Wyszedłem na pokład.

Goście raczyli ustąpić z niego i czekać nad brzegiem. Pozostali ci tylko, których przeznaczeniem było dzielić razem przygody morskiej wycieczki.

Kobiety płakały, mężczyzni wstrzymywali się od łez przez obawę, aby ich nie posądzono, że są kobietami.

Kapitan z pomocnikiem przechadzali się na tyle okrętu wydając rozkazy służbie. Majtkowie chwycili za liny i rozwijali płótna śpiewając. Za każdem pociągnięciem następował przestanek, zakończony jękiem całego chóru żeglarzy. Śpiew to smętny, na nieznaną nutę, jakby jakieś narzekanie przeplatane westchnieniami. Są one wydatną cechą marynarzy, wal-

czących całe życie z fatalizmem, mieszkających na wątłej desce zawisłej między otchłanią i niebiosami, pokonywających nieustannie wzburzone żywioły i pokonanych najczęściej przez nie, ludzi zrodzonych do istnienia i śmierci na wodzie.

Dziwna rzecz, że śpiew ich w łączności z miarowym jękiem, na który mało kto z obecnych zdawał się zwracać uwagę, — śpiew ten silne w duszy mojej pozostawił wrażenie.

Okręt nareszcie wyruszył powoli, salwa z działa rozległa się w przystani, passażerowie wylegli na pomost, nastąpiła mowa mimiczna, lecz tkliwa, pełna wyrazu, między tymi co się oddalali i tymi co zostawali na lądzie. Secina chustek wionęła nad głowami wędrowców, a druga secina z brzegów im odpowiedziała. Było to ostatnie, rzewne, pożegnanie żyjących, z których nie jeden rozstał się z ukochanym przedmiotem — na wieki!

Dopóki ziemia była widzialną, wszystkich twarze były ku niej zwrócone, jak ku najlepszej matce, którą się porzuca.

Potem ręczne telegrafy ustały, Havre nikł nam z oczu, ludzie w nim zmaleli, i tylko przez teleskop dojrzeć ich można było. Nakoniec i miasto i ludzie zamienili się w szarą, niewyraźną plamkę, wkrótce znikli zupełnie,

a natomiast pomroka wieczorna ogarnęła widnokrąg.

Nie mieliśmy obaczyć znowu stałego lądu, aż na drugiej półkuli globu ziemskiego.

Bądź zdrowa kolebko nasza! stara, kochana Europo!

Trudno jest wyrazić co się dzieje z człowiekiem, gdy stąpając pierwszy raz po podłodze chwiejącego się statku, zdaje mu się, że go coś podrywa, słowem gdy zacznie kołysać się.

Nieprzyjemny zawrot głowy mię opanował, jakieś omdlenie, posępność i mimowolna chęć do spoczynku. Powróciłem pod pokład i położyłem się, czując się być usposobionym już to do marzeń, już do snu, lecz zasnąć nie mogąc.

Przy bladem świetle wiszącej lampy u sufitu ogólnej kajuty, przesuwające się ludzkie postacie wyglądały jak ruchome cienie o zmroku. Obok mnie rozciągnięty na łożu poczciwy Alfred opowiadał przerażającą historyę z romansu morskiego *Maryata.* Roztasowana pod nami rodzina francuzka z zajęciem go słuchała, odzywając się doń po każdym przestanku. Rozmowa się toczyła swobodnie między pierwszem piętrem i dołem naszego rusztowania.

Rzęsy mi się już kleiły, gdy jeszcze Alfred nad uchem mi szczebiotał; wielki maszt, przebijający statek aż do dna, skrzypiał za każdem pochyleniem się z trzaskiem jednostajnym; pomimo to zasnąłem.

Na niezwykły krzyk ocknąłem się nagle. Był to gruby, chrapowaty od trunku głos Amerykanina, stróża okrętowego. Dawał on przestrogi jakiemuś chłopcu i potwierdzał je boksami.

Rzecz cała, że chłopiec chcąc się dostać do Ameryki, a nic mając czem opłacić podróży, wsunął się tajemnie przed odjazdem do ciemnego i ciasnego zakąta, zkąd nie wylazł, aż gdy byliśmy na pełnem morzu.

— Daj mu pokój! puść go zaraz! wołałem — mały robaczek a przemyślny, to widocznie dar boży . . . wybierzecie go kiedyś na prezydenta Stanów Zjednoczonych!

Służalec puścił ofiarę mrucząc, poszedł na skargę do kapitana i zjawili się obydwa, aby wyprowadzić śledztwo z człowieczka.

Zdjęty ciekawością zeszedłem z posłania i zbliżyłem się do nich. Czupurny malec, przedsiębiorca wyprawy ryzykownej, mogący mieć około lat dwunastu, z zadartym noskiem, z wyrazem zmyślności i dowcipu na obliczu, stawiony w obec straszliwego areopagu, śmiało

odpowiedział, że: ponieważ ojciec lubił zalewać gardło, nie dbał o niego, macocha zaś biła go okropnie, użył więc fortelu ucieczki. Oznajmił nadto, że w Ameryce ma ciotkę, u której się niegdyś w Hawrze wychowywał; postanowił zatem z pomocą „Helwecyi“ dostać się do niej.

— *Goddamm!* zaklął kapitan, słuchacze zachychotali, i rzeczy powróciły do dawnego trybu.

— Jak ci na imię? zapytałem chłopca.

— Zowią mię *petit Jacques* (Jakóbek).

— A gdzie twoja ciotka mieszka w Ameryce?

— W Ameryce.

— Lecz w którem mieście?

— W Ameryce.

Odpowiedź ta zatrwożyła mię.

Po bliższej rozmowie przekonałem się, że chłopię wyobrażało sobie Amerykę nie większą od Hawru, i że w niej łatwo odszuka starą ciotkę, gdy będzie szła do kościoła.

Jasna jego główka pociesznie wyglądała z szerokiego surduta, przykrojonego na starego, z obciętemi połami i rękawami.

Stróż dostawszy należytą burę od zwierzchnika za nienadzór, przewinął się około podlotka i chciał go szczutkiem w nos po-

częstować, atoli surowe me spojrzenie zbawiło małego od dalszego prześladowania.

Przeniknął on, iż znalazł we mnie przyjaciela i ujął mię za suknię.

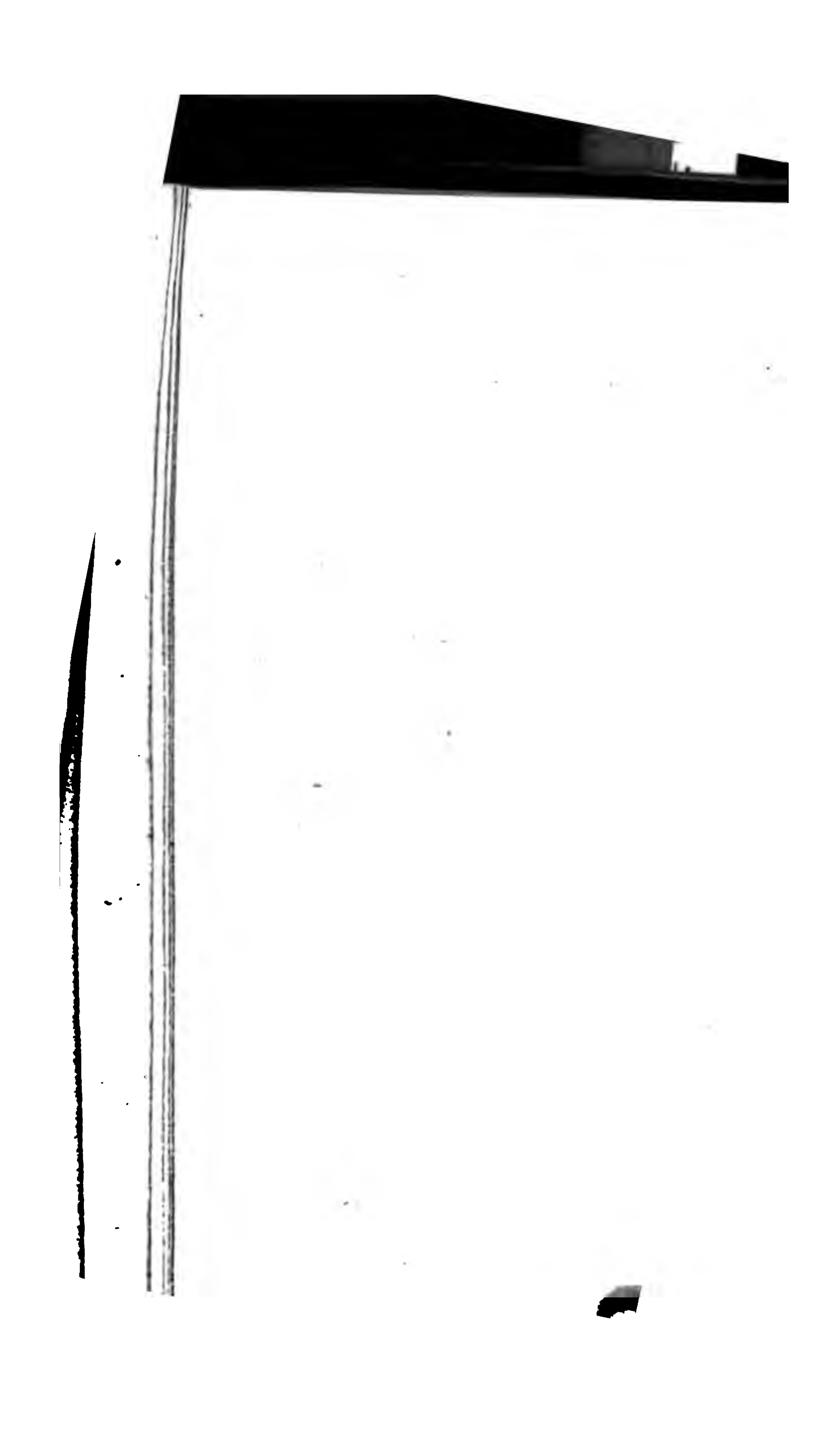
— Niech co chce będzie — rzecze — ale ten kapitan z sinym nosem nie każe mię przecie utopić?

— Nie bój się nic; pojdź Jakóbku, zmów pacierz i połóż się przy mnie.

II.

Co są Stany Zjednoczone?

2*



II.

Odważny żeglarz, ten sam którego nagrodzono kajdanami, Krysztof Kolumb, przy pomocy igły magnesowej i szczęśliwych okoliczności, odkrył Świat Nowy. Tym sposobem poznajomili się ludzie dwóch stron okręgu ziemskiego, którzy nie znali się przedtem ani wiedzieli o sobie.

Dziś mają oni wyobrażenie o kształcie i rozmiarach całego obszaru mieszkania przeznaczonego im przez Stwórcę, znoszą się między sobą, korzystają z płodów różnych ziem i klimatów — przyroda stoi dla nich otworem. Przestwór wody i lądów, które pośród niej pływać się zdają, ze wszystkiemi odnogami, zakrętami, ujściami rzek i potoków, jest im dostępny.

W tem leży właśnie postęp okazujący wyższość naszę nad starożytnymi, zajmującymi wszakże tak świetne karty w historyi powszechnej.

Odkrycie Ameryki przyczyniło się więcej do dobra ludzkości, niż wynalazki wszystkich wieków razem wziętych, co poprzedziły tę epokę.

Na całej powierzchni globu, ubarwionego cudami wszechstworzenia, tam gdzie dawniej nie stąpała noga człowieka, nie ma dziś prawie zakąta, któregoby nie obejrzano z bliska; nie ma dzikiego plemienia, któregoby nie oznaczono rasy, początku, nie zbadano charakteru i nie dano mu stósownego miejsca w anatomii porównawczej rodzaju ludzkiego; nie ma góry, którejby nie żmierzono, nie określono podstawy, łączności z łańcuchem innych gór, jej własności, kopalń i wpływu na fenomena przyrodzenia.

Ten sam człowiek, który przed laty trzystu zaledwo ośmielił się oddalać o pół mili od brzegów swojego gniazda, co rysował mappę świata z jakąś ręką olbrzymią w miejscu Ameryki, teraz ściąga z niej wszystko na własny użytek.

Jedna część ziemi dostarcza mu roślin służących do przyjemności, rozkoszy, lub zabespieczenia go od chorób; z innej sprowadza miękkie jedwabie, puchy, drogie kamienie i kruszce dla ozdoby swych pałaców.

Jedynie przez porównanie dawnej Europy

z wytworną i okazałą Europą tegoczesną, dochodzi się do ocenienia skutków z odkrycia nowego świata, jakkolwiek starego stworzeniem.

Dało ono popęd do rozwinięcia na olbrzymią stopę przemysłu, handlu, marynarki, astronomii, fizyki, nauk przyrodzonych i ścisłych. Po długiem uśpieniu rzucono się w świeży żywioł nie tylko świata zmysłowego ale i duchowego.

Nieznane morza i wyspy ukazując człowiekowi niezmierne krainy roślinności, tudzież miryady obcych mu tworów organicznych, zmusiły go do rozmyślania. Nigdy obfitsze żniwo nie nastręczyło się dla umysłu chciwego zawsze pożywnego karmu dla wiedzy.

Odkrycie Ameryki jest jedną z tych wielkich er, której skutki dla ludzkości nie są jeszcze dostatecznie obliczone; świat nasz badawcze rzucił spojrzenie na tę obcą półkulę która wieki spoczywała w złotym poranku nadzwyczajnych opisów. — Żądza wiedzy i złota, chęć sławy i panowania, skłonność do przygód i swobody, wywoływały tam tysiące mieszkańców Europy.

Przeludnienie krajów niemieckich — gdzie na każdym niemal kroku spotyka się kobietę z psem zaprzężoną do wozu — dostarczyło Ameryce licznej emigracyi.

Gościnnie też ona przyjmowała Europejczyków i otworzyła im drogę do zajęcia obszarów ziemi i nieprzebytych lasów swoich, chroniła ich przeciw despotyzmowi świeckiemu i duchownemu. Przybysze do tej nowej krainy przekładali znosić największe niebezpieczeństwa i niedostatek, niż uciążliwe poddaństwo we własnym kraju.

Zagrzani duchem, który zwykle ożywia ludy w ich przedsiębiorstwach, rozwijali nadzwyczajną działalność i wytrwałość, usiłując wśród *pracy* zapomnieć niedoli doznanej w przeszłości. — Musieli co krok zaciętą staczać walkę z przyrodą, bronić się od napadu dzikich zwierząt, zwalczać i cywilizować barbarzyńców miejscowych, znosić głód i niedostatek wszelkiego rodzaju, osuszać bagna, wycinać lasy, spławiać rzeki, uprawiać pola, *itp.*

Jakoż, dziewicza rola wdzięcznie wynagradzała ich usiłowania; przeszkody zostały zwolna usunięte, a tam gdzie niedawno była pustynia, wznosić się poczęły kwitnące osady, wsie i miasta.

W ten sposób powstały zamożne kolonie: Nowy Hampshire, Massachuset, Rhod-Island, Connecticut, noszące nazwisko Nowej Anglii: do tych przyłączyły się następnie Wirginia, Nowy Jork, Pansylwania, Delaware, Nowy

Żersej, Maryland, północna i południowa Karolina i Georgia.

Owe trzynaście prowincyi, różniące się pochodzeniem, obyczajami, formą rządu, religią, jako też sposobem życia, niegdyś rozrzucone, tworzyły potem jedno ciało.

Zarząd tych zjednoczonych Stanów znamionowały trzy sprzeczne żywioły: angielsko-monarchiczny, patryarchalno-arystokratyczny i demokratyczny. Niektóre z tych kolonii przyswoiły sobie prawodawstwo angielskie: a rząd Wielkiej Brytanii w ciągu stuletniego panowania, wspierał je wszelkiemi środkami. W ten sposób kwitnęły one i zwolna utworzyły silny naród połnocnej Ameryki.

Potęga ich naturalnym była wynikiem swobody praw i wolności osobistej, która każdy naród do szybkiego wzrostu i pomyślności prowadzi, zwłaszcza w tych krajach, gdzie miejsce rozrywek europejskich zastępowało zamiłowanie pracy, którą zdwajała niezależność; bo tam przywilejów królewskich ledwo cień spostrzegać się dawał.

Większa część mieszkańców Ameryki północnej składała się z Anglików, co opuścili ojczyznę i przeszli na ziemię rządzoną swobodnemi prawami. Tam dążyli do rozwi-

nięcia równości obywatelskiej i wolności wyznania religijnego.

Amerykanie na wzór Rzymian kształcili się w naukach poważnych, uczyli prawodawstwa i poświęcali zatrudnieniom, które krajowi pożytek przynieść mogły, zaniechali zaś wszelkich rozkoszy zmysłowych panujących w Europie.

Nie zapominajmy, że w koloniach Ameryki północnej jedna tylko była klasa ludzi, która przez swój umiarkowany tryb życia nie wabiła do swych posiadłości bogaczów z Europy; dla tego nie cisnęły się tam żadne przywileje, żaden feodalizm.

Przybywała zatem do kolonii klasa ludzi pracowitych, a każdy w tych rozległych obszarach obrabiając swą rolę, czuł się być samoistnym panem, i miał to przekonanie, że swój byt i szczęście zawdzięcza robocie i Opatrzności, nie zaś królowi angielskiemu.

Do utrzymania spójni ducha i niezależności mieszkańców tych prowincyi przyczyniła się także zbytnia odległość stolicy i rządu, który z przyczyny trudności komunikacyi nie zdołał podtrzymać swego upadającego z każdym dniem wpływu. Węzeł łączący Amerykę z Anglią stawał się coraz słabszy; a to tem

bardziej, im rząd królewski więcej na swą korzyść usposobić go pragnął.

Protektor Kromwell dał pierwszy powód do niechęci po za Oceanem.

Prawo żeglugi wzbroniło, aby w posiadłościach angielskich obce okręta prowadziły handel, tudzież aby do Anglii wprowadzano towary obcego wyrobu. — Handel amerykański został tym sposobem ścieśniony, a kupcy pozbawieni możności odbytu.

Rozporządzenie to oburzyło przedsiębiorczego ducha Amerykanów, bowiem brak wolności handlowej spowodował, że między koloniami ruch handlowy ustał, tem bardziej że nałożony został podatek na płody krajowe jak: cukier, tytoń, bawełnę, indigo, *itd.*

Wkrótce potem zaprowadzono papier stęplowy, a wieść ta lotem błyskawicy wywołała najwyższy stopień oburzenia i stała się hasłem do wojny domowej.

Walne zgromadzenie zebrane pod tę porę w Wirginii, oświadczyło, co następuje: zważywszy, że obywatele kolonii wszystkie przywileje, swobody i prawa, jakich ludy Wielkiej Brytanii używają, wynieśli ze sobą z kraju; zważywszy, że te prawa przez Jakóba I[go] potwierdzone zostały, aby stósownie do tychże tylko, walne zgromadzenie kolonii, w poro-

zumieniu z N. Panem, jedyną miało władzę nakładać podatki i ciężary na mieszkańców kolonii; — a zatem wszelkie usiłowanie przeniesienia tej władzy na jednę lub kilka osób ogólnego zgromadzenia, jest nieprawne, niesłuszne, zasadom konstytucyi przeciwne, i obalenie swobód w Anglii i w Ameryce na celu mające.

Ministeryum uporczywie obstawało przy swych rozporządzeniach — powiedziało sobie, jak to uczynił świeżo p. Bismark w Prusach: „oręż przed prawem!“ — i zamierzało swe plany siłą gwałtu przeprowadzić. — Nastąpiło zatem pomiędzy Amerykanami to przekonanie, że trzeba się chwycić energicznych środków, i w tym celu zwołano kongres do Nowego Jorku na dzień 7 października 1765 r.

Uzasadniwszy raz jeszcze swoje prawa, które zasługiwały na wzgląd, kongres wystosował trzy prośby i wysłał je: do króla, do parlamentu i izby poselskiéj.

Długo oczekiwano skutku podania, aż dopiero 19 marca postanowił król, cofnąć prawo stęplowe, która to wiadomość z radością została przyjętą w Ameryce.

Lecz zaledwie nowe ministeryum stanęło na czele rządu, gdy znów odgrzebano dawną

sprawę i nowy podatek nałożono na rozmaite zagraniczne artykuły, pomiędzy któremi policzono herbatę.

Dla wykonania tego postanowienia ustalony został w Bostonie zarząd cłowy z pomocą władzy wojskowej.

Kompanja wschodnio-indyjska, której finanse szczególniej przez brak odbytu herbaty były w nieładzie, uzyskała pozwolenie na dowóz jej we wszystkie punkta bez cła; w Ameryce jednak za opłatą trzech pensów od funta.

W skutek tego przywileju wysłano do kolonii znaczne zapasy herbaty. Gdy jednak amerykańska spółka handlowa uznała, że skoro ten towar raz na ląd się dostanie, będzie też zaraz rozkupiony, użyła wszelkich środków, aby temu zapobiedz; w tym celu udało się kilku ludzi na pokład okrętu i cały zapas herbaty do morza wrzucili.

Strata wynosiła 18,000 funtów szterlingów.

Na wieść o tem przyszedł rozkaz z Londynu, aby port bostoński zamknąć i wojskiem obsadzić.

Walny kongres wszedł na nowo w życie i wysłał w tym czasie nową prośbę do króla o zniesienie panujących nadużyć. — Równocześnie jednak poczyniono przygotowania do

silnego oporu na wypadek, gdyby Anglia przemocy użyć chciała.

Niebawem nastąpiło krwawe spotkanie Anglików z milicyą, i od tej pory wszczął się pożar wojny domowej.

Wojska angielskie pod dowództwem jenerałów: Gage, Howe, Clinton i Burgoyne stanęły do boju; Amerykanie zaś pod wodzą walecznego Jerzego Washingtona (rodem z Wirginii 1732), którego kongres mianował naczelnym wodzem.

Wtedy zaczęła się walka prowadzona z obu stron z zaciętością.

Początek wojny wypadł na niekorzyść Stanów.

Washingtonowi zabrakło wojska, pieniędzy i innych potrzeb. Anglicy przeciwnie, z całą natarczywością naciskali Amerykanów, których szeregi przerzedzała nędza i niedostatek. Całe pułki poczęły się rozchodzić, a sprawa amerykańska zdawała się być bliską upadku.

Washington nie zwątpił jednak; jego odwaga, roztropność i stałość charakteru, ratowały ciężko uciśniony kraj. Wreszcie gwiazda szczęścia mu zabłysła.

W skutek usiłowań Benjamina Franklina, Francya przyrzekła w końcu swoją pomoc,

którą po dlugiem wahaniu się nadesłała. Była to eskadra spiesząca z posiłkiem uciśnionym ludom, a właściwie dla osłabienia rozległego już w ówczas wpływu Anglii na obu pólkulach; składała się ona z 12 okrętów liniowych i 3 fregat.

Przybyli też *Pułaski* i *Kościuszko*, z którymi się w dalszym ciągu tej podróży obaczymy.

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej wybiły się na wolność!...

Obecnie Europa panuje niejako jeszcze nad czterema częściami świata, których jest stolicą. Jednę część zaludnia swymi potomkami, mieszkańcom innych w pocie czoła pracować każe na siebie, a na tysiącach okrętów sprowadza dla się owoce tej pracy.

Bodziec to niepospolity do czynnego życia; dźwignia dla rządów mających na co nakładać podatki, tem samem będących w możności czynić przedsiębiorstwa odpowiednie obfitości środków.

Ale niebezpieczną na przyszłość rywalką Europy stały się bez wątpienia Stany Zjednoczone Ameryki.

Sto lat jeszcze nie minęło, jak uznane

za niepodległe, już zdołały rozszerzyć swe granice, wzmódz się w ludność, dobrobyt i bogactwo. Zasada wolności i sprężyna wydająca ten ciągły wzrost, okazała się tak potężną w skutkach, że historya nie przedstawia nic podobnego ani w starożytności, ani w późniejszych czasach.

Wedle rachunku Franklina, ludność Stanów Zjednoczonych winna się podwajać w dwadzieścia trzy lat.

Rachunek ten sprawdził się poniekąd; — następujący wykaz statystyczny, wzięty z przeszłości i obrachowany prawdopodobnie na przyszłość, najlepiej to objaśnia:

W r.	1817	ludność St. Zjed.	8,650,000. dusz
-	1840	- - -	17.300,000. -
-	1863	- - -	34,600,000. -
-	1886	- - -	69,200,000. -
-	1909	- - -	138,400,000. -
-	1932	- - -	276,800,000. -

Z kąd wypada, że za lat 69 od daty dzisiejszej, czyli w ciągu dwóch pokoleń, same Stany Zjednoczone powinny mieścić w sobie ludność wyrównywającą liczbą prawie całej ludności europejskiej.

Obecna wojna położyła na pewien czas tamę temu wzrostowi bez granic. Jest to kryzys chwilowa. Wszelkie sprawy muszą mieć swój

koniec jak miały początek: żywot pojedyńczego człowieka, podobnie jak życie narodów nie może strawić się marnie na wiecznych sporach i niepewności — pokój i stałość są celem i osią towarzystwa.

Zapamiętała walka północnych Stanów z południowemi zakrawa na szyderstwo z zasad społecznych. Namiętności wzięły górę nad owemi republikanckiemi urządzeniami, które miały zbawić człowieczeństwo i zgotować raj na ziemi.

Szczególniejsze fatum! Potęga, co nie miała współzawodnika na półkuli nowego świata, a odosobniona położeniem nie obawiała się potęg starego — oddzielona, że tak powiem, słupami Herkulesa od samowładztwa mocarzy europejskich — znalazła w samej sobie zaród choroby.

Ani wojsko Xerxesa, ani armje Napoleonów i Carów razem wzięte, nie wtrąciły tyle głów do grobu, nie zużyły tyle kosztów na tępienie bliźnich, ile jedne Stany północne Ameryki. Nader ciekawy jest rejestr ich wydatków na wojnę domową. W r. 1863 wystrzelano tam 13,000,000 funtów prochu! — dług zaś narodowy, który w r. 1837 już był umorzony, urósł w bajeczną summę 1,222,113,500

dolarów (licząc dolar po osiem i pół złotych polskich).

To dopiero połowa. Stany południowe nie podały budżetu swych wydatków.

I taki bezprzykładny w dziejach bratobójczy mord toczył się, kiedy koleje żelazne, telegrafy, parowce, wolność handlowa, sejmy przyjaciół pokoju, zdawały się zapowiadać erę zbratania się ludów.

Nie podobna wszakże z tego wyprowadzić wniosku, że wszystkie podwaliny, na których dotąd opierała się budowa nowego społeczeństwa, były z bardzo miękkiego drzewa i że prędko przegniły.

Źródła złego należy szukać gdzieindziej; strzeżmy się sądzić drugich pod wpływem stronnictw politycznych.

Niech co chcą prawią i piszą zazdrośnicy długiej pomyślności Stanów Zjednoczonych, stojących otworem jako wzór organizacyi obywatelskiej; niech agenci bonapartystowscy, zaćmieni blaskiem wzrastającego narodu, sypią bluźnierstwa na wewnętrzne życie i stosunki spółeczne północych Amerykaninów; niech oskarżają obłudnie ich republikanckie instytucye, jako przyczynę wszystkiego złego, to jednak pewna, że nie zasada ich prawa, oparta

na wyrozumowanej sprawiedliwości, była przyczyną krwi rozlewu.

Przyczyny tej szukać raczej potrzeba w braku należytego oświecenia szybko wzrastających mas ludności krajowej i napływowej.

Wszak ewangelia jest świętym Kodexem, a czyż go wszyscy wykonują?

W ogólnem znaczeniu, nie Rzeczpospolita stanowi zacnych obywateli, ale obywatele Rzeczpospolitą. Może ona być wielką tylko przez wielkie cnoty; wolność w niej osobista okupuje się drogo przez zaparcie się pod wielu względami siebie samego dla dobra publicznego.

W prawdzie masa ludności Zjednoczonych Stanów, w przecięciu, więcej czerpie nauki, niż w jakiemkolwiek państwie europejskiem, — ale nauka ta jest powierzchowną, jedynie na własny użytek w rękodzielniach lub handlowych zawodach obróconą. Lud, pragnąc zbogacić się nagle za jej pośrednictwem, połyka ją z pośpiechem, nie trawiąc.

Nic tam nie dzieje się dla zaspokojenia wewnętrznych pragnień, przez co umysłby się rozwinął, a duch dojrzał; istnieje tam tylko jednostronne podsycanie czynności władz umysłowych.

O wszczepieniu i rozwinięciu wzniosłych uczuć serca i wysokich pojęć, rzadko mowa. Liczba osób poświęcających się głębiej naukom i sztukom ograniczona. Ta więc niegruntowność wychowania w ogóle przyczynia się nie mało do nadania narodowemu charakterowi cechy lekkomyślności.

Lecz z drugiej strony, na usprawiedliwienie Amerykanów zważyć potrzeba, iż przeszkody do oddawania się wyższemu wykształceniu w nowym świecie są stokroć większe niż w starym.

Dla czego?

Bo ciało ma do walczenia z wpływami klimatu i kraju; i potrzeba być potężnym duchem, ażeby w Ameryce, takiej jaką jest dotąd, wyrobić się na człowieka harmonijnie rozwiniętego. Kraj to powstający z pustyni, człowiek w nim zamiast walczyć z sobą, aby się wznieść moralnie, zmuszonym się widzi zdobywać przedewszystkiem byt materyalny przez walkę z żywiołami natury.

Zresztą, kraj jest niemal jednostajny, zatem mało nasuwa wrażeń — a umysł ciśnie do ziemi. Co do klimatu, ten znowu winien, że dojrzałość fizyczna następuje tam przedwcześnie. Nagłe zmiany powietrza, suche wiatry, drażnią nerwy. Dodawszy do tego

nadzwyczajną czynność i pracę Amerykanów, nie dziw, że każdy z nich doszedłszy lat pięćdziesięciu zniszczył się i przeżył...

W Ameryce północnej nie ma prawdziwej młodości z ową niewinnością, swobodą igraszek dziecięcych i z poezyą, właściwą temu wiekowi — tak samo jak niema tam wiosny; bywa tylko cudowna jesień, wspanialsza niż lato, z widnokręgiem głębszym, światłem odbijającem się różnobarwnie w lasach, które nadchodząca zima pokrywa szatą nieznaną w podniebiu europejskiem.

Różnorodne sekciarstwo religijne, którego przykładu nie przedstawia żadne państwo na świecie, oprócz może Rossyi, jest także jedną z przyczyn tamujących jednolitą edukacyę młodzieży.

A jednak rasa anglo-saxońska, która składa obecnie większość Unii, przyniosła z sobą pierwowzór spójni religijnej i cnoty na kamień węgielny do nowej budowy.

W r. 1630 — przytaczam tu słowa professora Chasles — widziano w porcie miasta Delft, w Holandyi, stojący na kotwicy ubogi statek „*May-Flawer*“ (kwiat majowy). Uwiózł on dwunastu purytanów angielskich.

Byli to wychodźcy po większej części

podeszłego wieku, znużeni i smutni, w czarnych wytartych sukniach. Mieli Biblię kalwinistów dla pokarmu duszy i stos sucharów na pokarm ciała.

Gdy przebyli Atlantyk, szukali spokojnego miejsca, gdzieby mogli oddawać się modlitwie i obrzędom swego wyznania.

Otóż to ci ludzie założyli kolonie, które przeistoczyły się z czasem w Filadelfię, Nowy Jork i Boston.

Ależ, przynieśli oni z sobą coś więcej, niż wojsko, pieniądze i kredyt: posiadali potęgę moralną, która tworzy i utrzymuje narody. Zniewieścialcy na ich miejscu nie wytrzymaliby byli cierpkiego żywota Robinsona Kruzoe, istnienia pośród dzikich krajowców, niedźwiedzi, tęsknoty i nudów; a tem samem towarzystwo amerykańskie nie wzrosłoby było wcale.

Owi pielgrzymi, apostołowie w liczbie dwunastu, umieli wytrwać z wiarą wśród przeciwności!

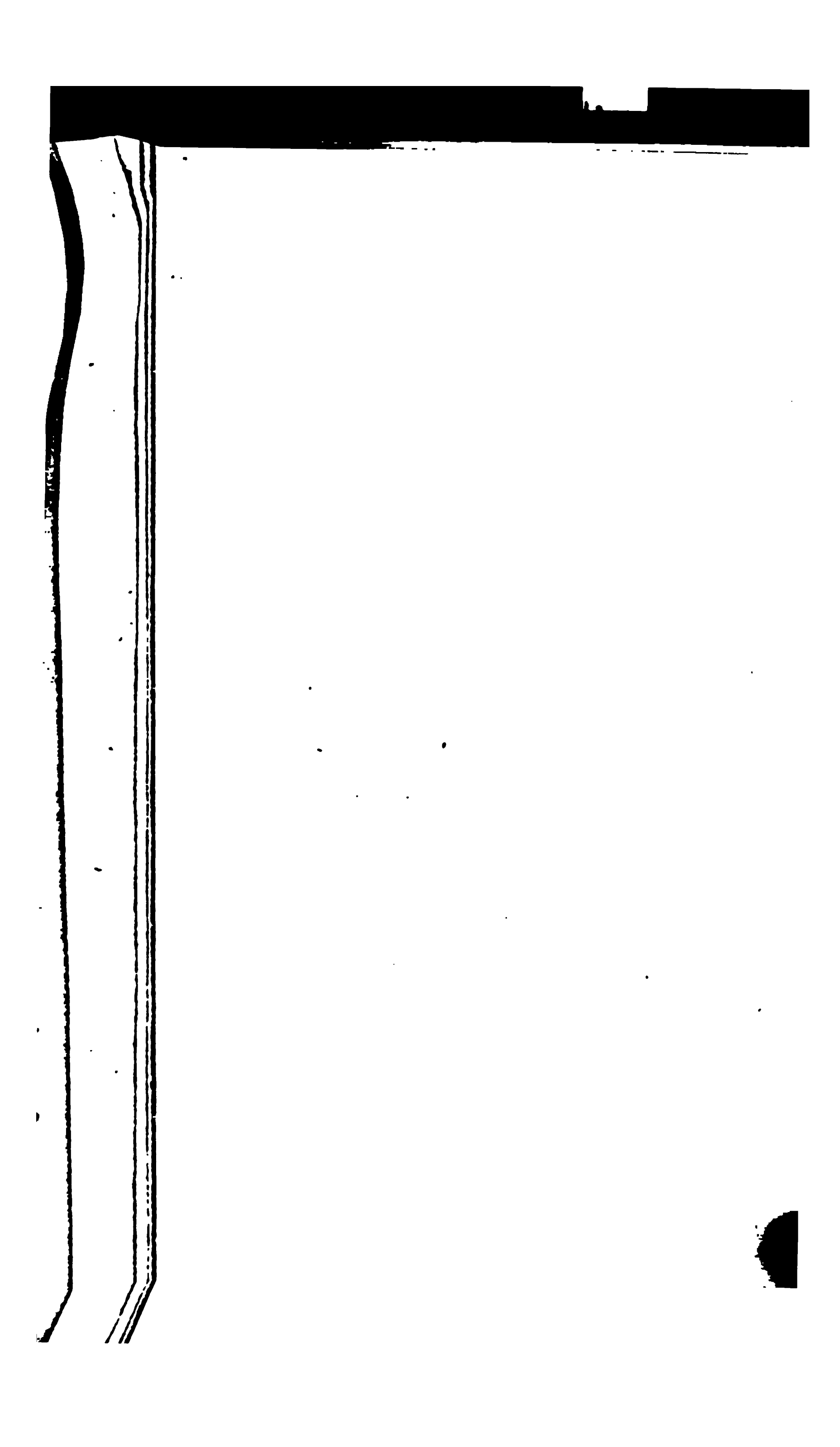
Na prochach ich powstała społeczność złożona z różnorodnych osadników.

Czyż krew, dopiero przelana, ma się stać cymentem do zlepienia naruszonego gmachu tej społeczności?

Zaiste, spodziewać się tego należy.

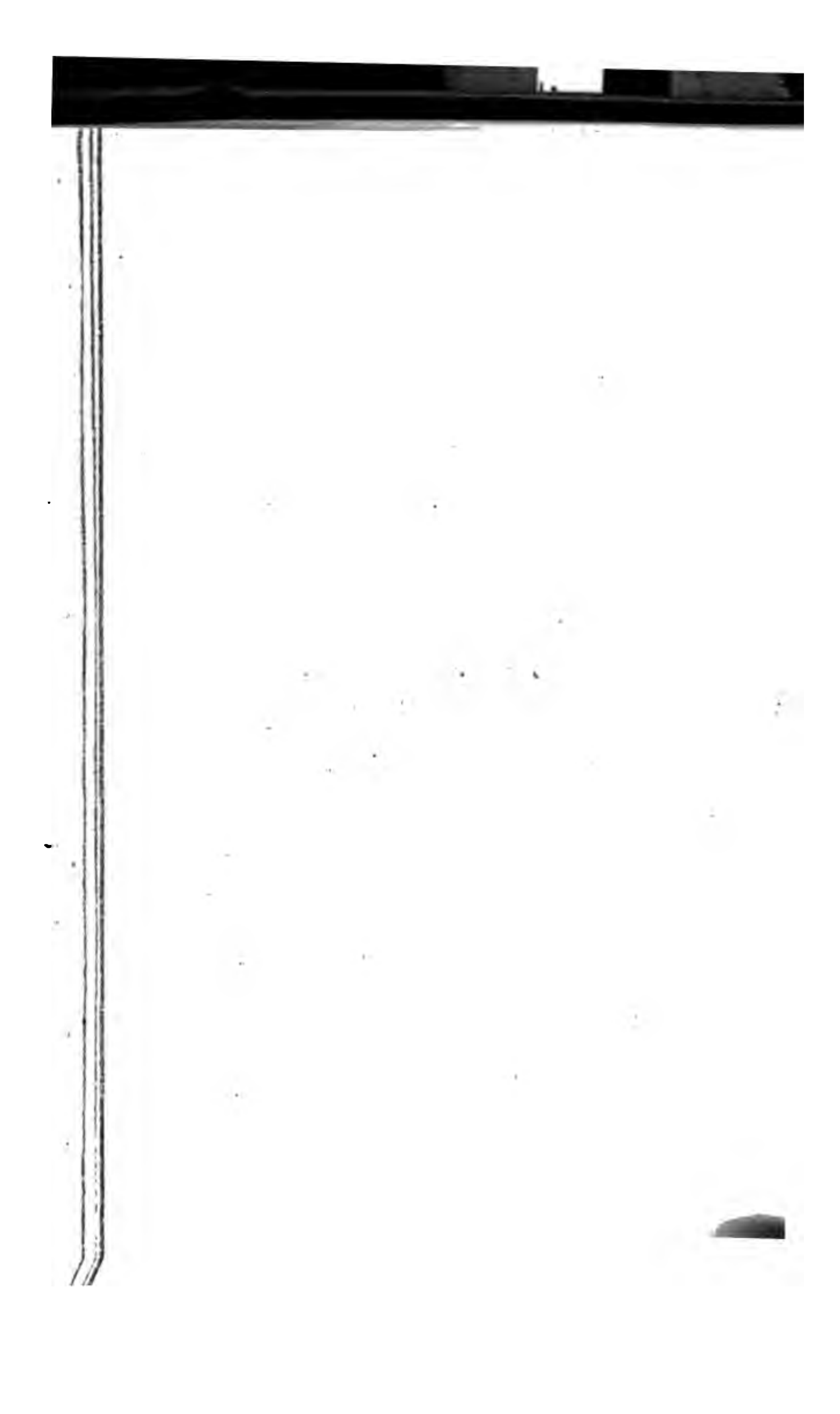
Żadna boleść, żadna łza nie ginie na próżno.

Jest w starych pieśniach serbskich podanie, że kiedy wznoszono mury miasta Skandru, zabito na nich dziewicę, aby krew jej ustaliła im trwałość.



III.

Ocean — Chrzciny na okręcie — Ptaszki na masztach — Bliskie wylądowanie.



III.

Miło to przyzywać niekiedy urocze złudzenia przeszłości! . .

Gdy się nudzę samotnością, lub gdy towarzystwo zaczyna mi ciężyć, odwracam mimowolnie od niego głowę i poglądam po za siebie, karmiąc się zasobami własnego żywota.

Czarowne dumania! wdzięk tajemniczy duszy obcującej z sobą . . .

Oto bezbrzeżny Ocean roztacza swe dziwy przed memi oczyma i szumem fal potoczystych opowiada o nieskończoności dzieł wszechstworzenia.

Morze ma swoją historyę, rozdzieloną na epoki, podobnie jak i ziemia. Morze, to wielka szranka w zawodzie wrażeń, przypadków i rozmyślań! Dziś wszystkie ruchy ludzkości noszą cechę lądową i wodną.

Okręt jest to wyraz treściwy na oznaczenie płodów cywilizacyi. Łączy on w swoim szczupłym obwodzie wysilenie przemysłu współ-

czesnego. Dla zbudowania go wyczerpano wszelką umiejętność, skupiono na nim wszelkie środki obrony; słowem, okręt jest to obraz, podobnie jak arka Noego, małego świata i społeczeństwa w oderwaniu, unoszącego się nad bezdenną tonią.

Uchodząc z ziemi ucisku, na której mocarz północy dał mi się we znaki, czułem się swobodnym na okręcie, chociaż względnie, gdyż w ścisłem znaczeniu nie jest on czem innem, jak więzieniem pływającem — ale czyż ziemia nie jest także więzieniem?...

Nazajutrz, po zgubieniu z oczu brzegów Irlandyi, sklepienie niebieskie zdawało się być zamienione na wybrzeże morskie. Widać na niem było wyraźnie pokłady horyzontalne obłoków, zmarszczki równoległe, narysowane wiatrem, niby piaski poszczerbione przypływem i odpływem wody. To znowu mieszały się one w runa, kędziory wełniste, podobne do rozrzuconych rąbków śnieżnej białości waty, tak miłych dla wzroku, miękkich i elastycznych, że brała ochota sięgnąć po nie ręką.

Uglądałem, czy nie ma na pokładzie jakiej bladej twarzy tułacza rodaka, z którymbym mógł podzielić się odebranemi wrażeniami. Nie było nikogo. Alfred więc stał się powiernikiem mych myśli i uczuc.

Jakóbek, pozbywszy się słabości morskiej, zaczął w olbrzymiem dziele stworzenia poznawać Boga.

Brak styczności z ziemią usposabia na Oceanie do koniecznego przyjmowania innych wrażeń. Przestrzeń wody rozdzielająca dwa światy, jest to karta nie zapisana w historyi człowieczeństwa; nie ma na niej tych odcieni stopniowanych, za pomocą których rysy jednego narodu mieszają się prawie niepostrzeżenie z rysami drugich. Od chwili, gdy jedna ziemia znikła, wyobraźnia nasza odrywa się od niej, dopóki nie ujrzy innej, w zupełnie świeżym kolorycie. Przebycie Oceanu jest długim antraktem między dwoma obrazami uderzającemi rozmaitością świetnej dekoracyi.

Opuściwszy Europę, zamknąłem jeden tom świata, mając dość czasu do rozmyślania, zanim otworzyłem drugą jego księgę. Kto puszcza się w długą, niepewną drogę, nie mogąc przewidzieć gdzie go losy zawleką, co zobaczy, czego doświadczy, mimowolnie oddaje się dumaniu.

Morze przedstawia liczne przedmioty godne uwagi, lecz są to cuda przepaści, przestrzeni, które oddalają umysł od zwyczajnych scen światowych.

Wszystko, co urozmaica jednostajność

tej przestrzeni, ruchome chmury, kłębujące si
obok nawy stado potworów, morskie ptastwc
huk działa w oddaleniu zwiastujący trwog
silnie odbija się na duszy. Tak stopy czło
wieka, a nawet zwierzęcia, wyciśnięte n
piaszczystej pustyni, są dla wędrowca wa
żniejszem zjawiskiem, niż piękna dama
salonie.

Kawał oderwanego masztu, który po
strzegłem bieżący z falami, zwrócił myśl moj
na tych nieszczęśliwych, co zmarli, już t
głodną śmiercią, już spalili się żywcem, lu
tonąc przecięci zostali przez rekinów. Bałwa
położył pieczęć milczenia i zapomnienia n
ich ciałach. Nikt opowiedzieć nie jest
stanie historyi ich zgonu. Westchnąłem,
na oderwanym maszcie wyobraźnia moja czy
tała w ognistych głoskach napis: „co mni
dzisiaj, to tobie jutro!“ ....

Ilekroć razy ważyłem na szali rozkosze
boleści doczesnego żywota, stawałem się zimny
obojętny, bez obawy i żałości; nabierałe
rezygnacyi w obec niebezpieczeństwa, z t
ufnością, jaka popycha śmiertelnika mimo wie
dzy ku jego przeznaczeniu.

Gdy noc pokryła czarnym całunem wi
dnokrąg, schodziłem pod pokład, jak d

piwnicy. Było to nagłe przejście ze świata eterycznego do nagiej rzeczywistości; otaczające mię widowisko przypominało życie zmysłowe w swej rubaszności.

Też same Niemki, które tak płakały w porcie Hawru, unosząc pamiątki na sercu, — skoro się raz usadowiły pod pokładem ze swojem gospodarstwem kuchennem, pakami i skrzynkami, gdy znalazły opróżniony kącik, nuż hasać sztajera przy kociej muzyce, złożonej z harmonijek i flecików, której śpiewem wtorowały.

W miarę jak wypijano wymierzane oszczędnie przez władzę racye wody, a tem samem gdy ubywało beczek, sala stawała się obszerniejszą, tańcujące wieczorki częstszemi.

Chyba że się Neptun na nie zagniewał, pogroził trójzębem i rozkazał staremu Eolowi rozpuścić wiatry, wtedy Niemki, każda przyczepiona do swego rusztowania, kiwając się cerowały pończochy lub skrobały ziemniaki.

Dla wesołków, tancmistrzów i muzykantów była to pora gry w karty i kości. Każdy z graczy przytrzymywał je i składał w korytko, aby się nie rozsypały z nachyleniem się okrętu.

Lecz czegóż mieli się smucić? Czyż cała ta ludność nie przebywała Atlantyku w słodkiej

nadziei pochwycenia z drugiej strony owego *majaka*, miłego widma, co się zowie Fortuną?...

Pewnej nocy narodziła się na statku *na jada*, przyszła obywatelka Stanów Zjednoczonych. Nie było doktora... starsze doświadczeniem matrony przyszły w pomoc młodszej. Brakowało także pastora — malutką ochrzcono z wody.

Chrzciny zakończyły się fetą. Niemcy wieźli z sobą do Ameryki różne gatunki wódek gdańskich. Ucieszeni ze znalezienia sposobności do wspólnej biesiady, nie dość że się sami uraczyli, ale trącali także kieliszkami do niektórych majtków, zwykle łakomych trunku. Ci ostatni przebrali miarę w napitku, następnie w obrotach żaglowych coś się nie popisali.

Kapitan odgadnął zaraz przyczynę złego. Kazał im chuchać na się, maszerować po szparce od podłogi, a który się potoczył został obity powrozem.

Potem pan kapitan nikogo o nic nie nagabując, zapalił latarkę, przyzwał służbę, zeszedł do Niemców, zrobił rewizyę, skonfiskował wszystkie baryłki, oplatane gąsiorki, blaszane manierki, flasze i butelki pełne spi-

rytusowej obfitości, i kazał je wrzucić do morza.

— Zostaw im pan choć jednę! wołałem.

— Ani kropli . . . żadnej kapitulacyi! odrzekł zagniewany.

Niemcy zrospaczeni wzdychali, gdy zapasy wódczane tonęły.

Z tem wszystkiem nie śmieli bardzo sarkać: Kapitan, to dyktator na okręcie, pan życia i śmierci, komendant broniący swą fortecę od upadku i odpowiedzialny za nią.

Dzięki jego czujności zawiązało się u nas towarzystwo wstrzemięźliwości.

Stratni, mszcząc się, czy za swą wstrzemięźliwość, czy też za wszechwładztwo kapitańskie, otruli mu za kilka dni krowę.

Ucieszyłem się nie z zemsty, lecz z czynu; albowiem biedne bydlę męczyło się stojąc oparkanione w cieśni; widać mu tylko było łeb rogaty z wywieszonym językiem z po nad ogrodzenia; w czasie burzy ryczało żałośnie, mściło się też ze swej strony i nie dawało mleka.

Niemcy dowiedziawszy się od kucharza negra, iż kapitan ze swym pomocnikiem i jego narzeczoną pijali już od dawna kawę bez śmietanki, zatruli kojec kapłonów. Nie po-

zostawało arystokracyi okrętowej, jak karmić się szynką, na równi ze wszystkimi.

Gburowaty kapitan nie mogąc wyśledzić spółki trucicieli, groził całemu ekwipażowi procesem i kozą za przybyciem do Nowego Jorku.

Sześć tygodni spędziłem na „Helwecyi,“ długie jak sześć wieków.

Pewnego poranku obaczono zabłąkane ptaszki, które świegocąc czepiały się masztów. Były one posłankami zgody i pokoju dla wszystkich. Zapędzone wiatrem od brzegów lądu, zgubiwszy drogę, chroniąc się od śmierci, przyfrunęły do nas zwiastując najpierwsze, że ziemia nie bardzo daleko. Choć jej nie widać było jeszcze, czuliśmy już jej zbawienne sąsiedztwo.

Kapitan się udobruchał i włożył prymkę do ust, majtkowie się uśmiechali i także wysysali tytoniową prymkę, podróżnicy promienieli zadowoleniem.

Poważnieni podawali sobie dłonie, przepraszając się wzajemnie za urazy różnemi językami, chociaż nie wszyscy się rozumieli. Jakóbek nieborak skakał z radości, w nadziei obaczenia swej ciotki, gdy będzie szła do kościoła.

Nie rozczarowywałem biedaka z tej płonnej otuchy...

Niezadługo z wierzchołka najwyższego masztu zawołano: ziemia!

Kapitan przyłożył lunetę do oka i powtórzył „ziemia!“. Gdy pozwolił mi spojrzeć przez swoje szkło, dostrzegłem zaledwie podłużny cień, niby fryzowany obłoczek śpiący na wodzie.

Pałałem niecierpliwością ujrzenia jak najprędzej z bliska owej plamki, która w rzeczywistości była krańcem Ameryki, miejscem mego przeznaczenia; lecz wiatr przybrał niepomyślny kierunek i okręt leniwo posuwał się naprzód. Nareszcie płótna obwisły na masztach.

Napróżno kapitan rozpinał je, aby je rozdąć, choć cokolwiek napuszyć, byle tylko wpłynąć z okazałością do przystani, jak łabędź z rozpostartemi skrzydły, — byle popisać się przed oczekującą go tam kochanką; wszystkie jego usiłowania okazały się daremnemi, żagle zupełnie oklapły. Gdyby to się przytrafiło było na środku Atlantyku, moglibyśmy wiekować na nim, jeśliby się wiatr nie zlitował.

Ale na ten raz obaczono nasz kłopot z Ameryki i mały parowiec przybył z pośpiechem na nasze usługi. Kapitan zmuszony

mu się poddać, z żalem spoglądał jak na jego ogromną Helwecyę zarzucono linę z parowca, i ten wlókł go za sobą po błyszczącej bróździe rozpuszczając nad nim słup dymu.

W miarę zbliżania się do brzegu, coraz mocniejszy zapach roślinności mięszał się z wyziewami słonej wody; widok był coraz więcej ożywiony i przeświadczający o nadzwyczajnej czynności ludzi drugiego świata; mnóstwo różnokształtnych statków krążyło tam i owdzie; łoskot z maszyn, a zgiełk zalatywał chwilowo z wielkiego miasta; seciny bark rybackich o trójkątnych żaglach przesuwały się majestatycznie: jedne zdążały w przeciwną nam stronę, drugie płynęły z nami póki mogły, aleśmy je wyprzedzili. Oświecone słońcem rysowały zalotnie swoje sylwetki w powietrzu, rzucając cień na płaszczyznę morską, na której iskrzyły się gdzieniegdzie srebrne skrzela pluskających się rybek.

Nie potrzeba być marynarzem, aby z pierwszego rzutu oka ocenić lekkość i dokładność budowy statków, w czem Amerykanie nad innemi narodami celują.

Nie było to już morze, lecz drugie błękitne niebo, po którem żeglowaliśmy. Okręt nasz kołysał się na niem powoli, miękko, lubieżnie. Ruch okrętu żaglowego jest milszy

od ciągłego drgania statka parowego; pomimo swych niedogodności przedstawia poemat piękna.

Na wstępie do zatoki przybyli do nas goście, a mianowicie: lekarz kwarantanny, celnicy, gazeciarze chciwi nowin, chłopcy z adresami hotelów, tudzież przekupnie ze świeżemi bułkami, które wymieniali u biedniejszych podróżnych za pozostałe im resztki sucharów — było handel szedł.

Lekarz brał z powagą podróżnych za pulsa, aby się przekonać, czy który z nich nie przywiózł z sobą zarazy z Europy. Wszyscy, dzięki Bogu, mieli się dobrze; powietrze morskie ożeźwia i wzmacnia.

Celnicy w jedwabnych kapeluszach, jak panowie, opatrywali rzeczy, które wedle zwyczaju miejscowego miały być odesłane pod ich nadzorem na komorę do ściślejszego przeglądu.

Korespondenci gazet najwięcej robili hałasu: każdy z nich spieszył się zasięgnąć najświeższych wiadomości, stósownych do organu dziennika, którego był przedstawicielem; zmieszane słowa, urywki mowy, wyrazy: Europa . . . dolary . . . maszyny do szycia . . . Napoleon . . . bankructwo . . . cena bawełny . . .

patentowe koszule i zegarki... parowe sikawk ... itd: dawały się słyszeć dokoła.

Winienem tu dodać, że Ocean ma swoj(poczty. Każdy statek spotykający. swego płynącego kolegę zamienia z nim wiadomości już to za pomocą tuby (rodzaj trąby), ju: zobopólnych znaków wywieszanych na flagach Ten, co prędzej staje u lądu, roznosi wieść od wszystkich, które pozostawił za sobą.

Zanim dostaliśmy się do Nowego Jorku już tam wiedziano o nas — znano liczbę podróżnych, ładunek okrętowy, i zakładano spekulacye na niego, nim przybył.

Moi współtowarzysze pisali listy do swych rodzin i odprawiali je z morza do głównego kantoru pocztowego i do telegrafu Nowego Jorku przez rybaków pływających pędem strzały na czołnach, które za zbliżeniem się do „Helwecyi“ wyglądały przy nim jak wózki czekające przed kilkopiętrową kamienicą.

Przed ukazaniem się więc osobistem w mieście, kto chciał urządził swe interesa; a wszystko to odbywało się na wodzie.

Jedną z największych potrzeb człowieka przebywającego Ocean, jest danie rychłe znaku życia o sobie istotom drogim dla serca jego. Widzi on się tak drobnym owadkiem

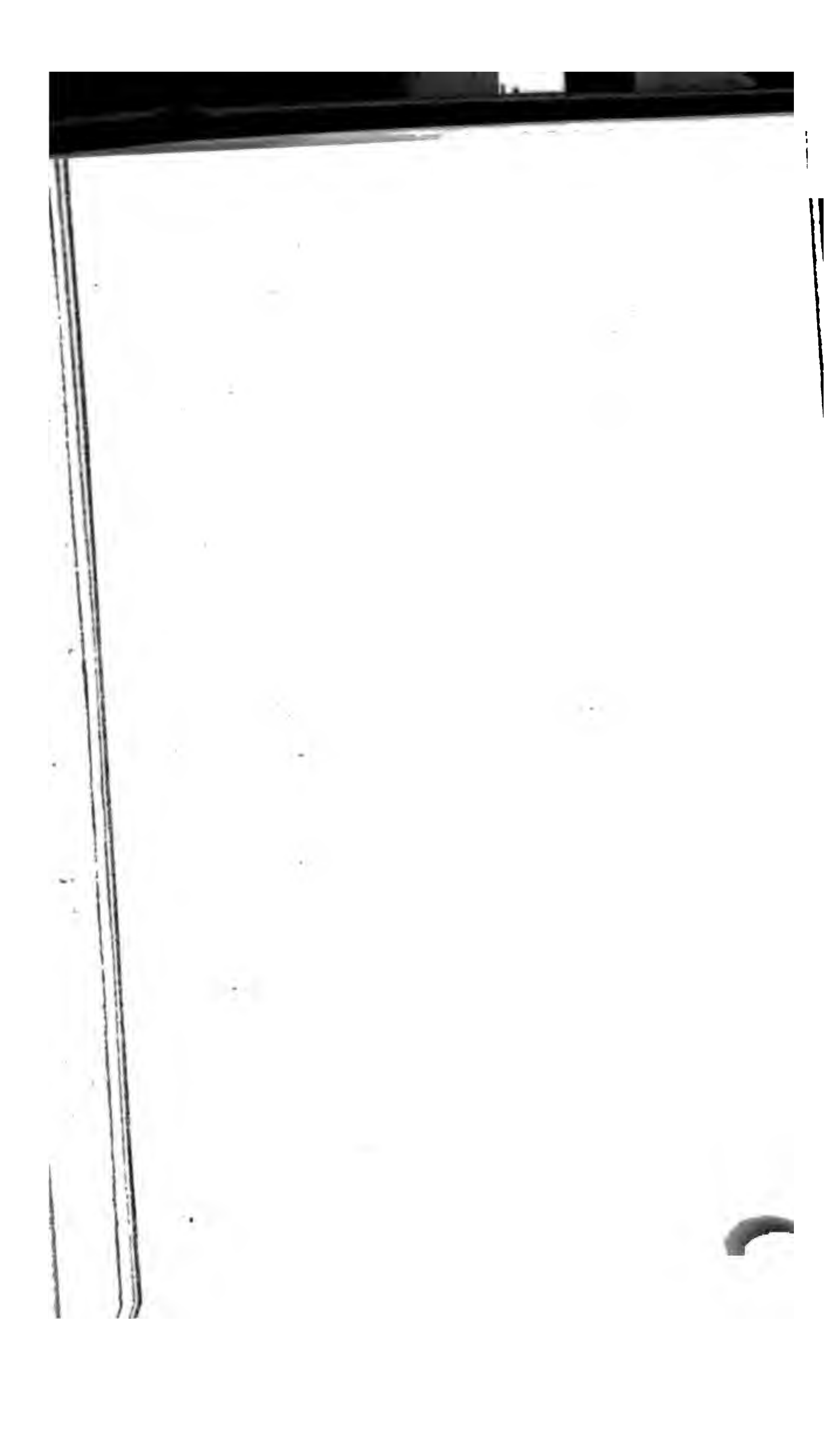
na tym olbrzymie wodnistym, iż pragnie się zaczepić co prędzej choć głoską piśmienną o ziemię, pocieszając się pewnością, że jeszcze nie zginął.

Nieszczęśliwy, kto znalazłszy się w podobnem położeniu, nie ma komu donieść o sobie!...

Pod pokładem panował rejwach nie do określenia. Ten sobie gadał i ów sobie gadał, pełno było rad, zwierzań się, uciechy i krzyku.

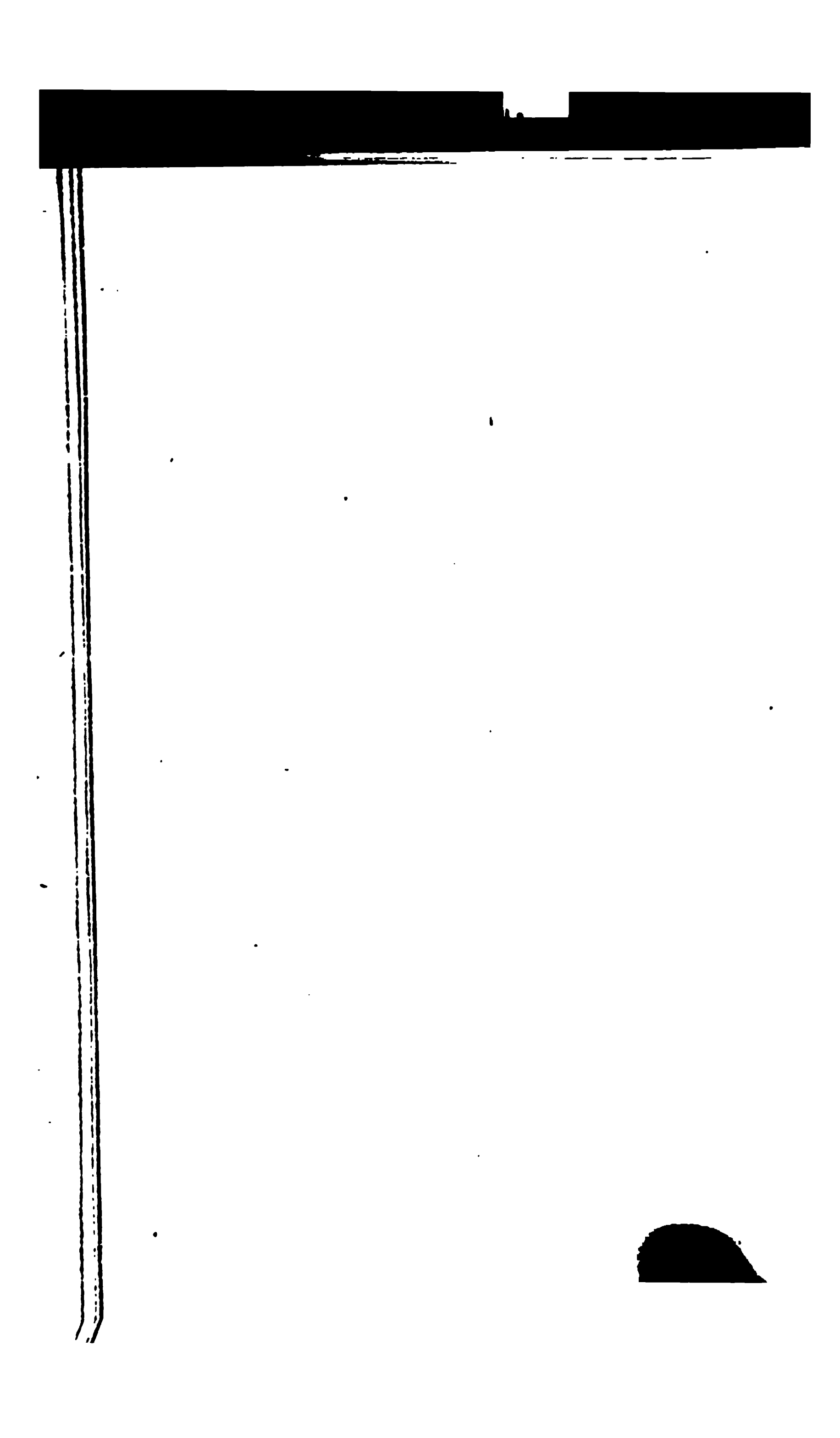
Brodaci się golili, czyniąc straszliwe wykrzywiania; inni zmieniali bieliznę lub odświeżali swe nadobne oblicza przeglądając się w kieszonkowych lusterkach.

Potem całe prześwietne zgromadzenie z parasolami, laskami, torebkami, wystąpiło w świątecznych szatach na wierzch okrętu i przypatrywało się uroczyście ziemi Nowego Świata.



IV.

Widok Nowego Jorku — Żydzi polscy — Straż ogniowa — Rodzina indyjska.



IV.

Ogromna zatoka roztaczała się przed nami. Z przed zatoki po lewej stronie uśmiechała się zielenią i kwieciem wyspa Long-Island, zwana także Calipso, z powodu rozrywek, jakich dostarcza mieszkańcom Nowego Jorku. Przy niej widać było małą wysepkę, odznaczającą się śladami starej fortyfikacyi Lafayetta — pod jej murami słaniał się obłoczek.

Brzegi zatoki, zdające się uciekać przed nami, ciągnęły się przez godzin parę, urozmaicone lesistemi wzgórzami, z pośród których wyglądały osady, podobne do małych miasteczek, tudzież rozrzucone domy, wiatraki i chaty.

W oddaleniu wznosił się poważnie, otoczony lasem masztów, wychylający się gdyby z za kortyny uszytej z żagłów, Nowy Jork, owa wielka strażnica Ameryki, rozpościerająca swe ramiona z południowego rogu trójkątnej



wyspy, oddzielonej od stałego lądu rzeką Hudson.

Po za rzeką na pagórkach widać było wśród gajów przedmieście Brooklyn.

Nowy Jork ze swoim milionem mieszkańców jest największem miastem w całej Ameryce. Jest to, że tak powiem, ogromny kantor, pływający wśród interesów handlowych. Widok jego zdaleka w ogóle jednostajny i posępny. Ze składów nadbrzeżnych idą koleje żelazne do morza, dla ułatwienia ładowania okrętów. Przed każdym składem sterczą olbrzymie windy o zębatych kołach.

Z pośrodka miasta wystrzeliwają gdzieniegdzie wieżyce kościołów gotyckiego stylu; a na stronie widać kuźnie, wysokie kominy, zakłady fabryczne, zkąd dochodzi stuk młotów, wark maszyn obracających się na osiach, i zalatuje nieprzyjemna woń gazu z rostopionego tłuszczu.

Oto początek ziemi, którą wielu wystawia sobie tak dziewiczą i romantyczną!..

„Helwecya" zarzucił kotwicę. Wszyscy podróżni przesiedliśmy na statek parowy, zawinęliśmy do brzegu i wylądowali — Europa wkroczyła do Ameryki... Było to w r. 1855.

Amerykanie zanim nas wpuścili do swej dziedziny, zapisali każdego po szczególe do

wykazów statystycznych. Żadnych zresztą formalności, papierów, pieczęci nie było. Deklaracye składały się ustnie.

Potem każdy udał się w którą chciał stronę.

Ale gdzie tu teraz moja strona?...

Alfred pożegnał się ze mną, spiesząc do szybkowozu, co go miał uwieść niezwłocznie do Cincinnati; Jakóbek zaś widząc, że towarzysze podróży zaczynają się rozchodzić, powiedziawszy sobie: „*Zum Wiedersehen!*“ począł płakać oglądając się do koła.

Wziąłem go za rękę i poszliśmy do miasta dzielić razem przygody losu.

Obadwa nie rozumiejąc języka angielskiego, wstąpiwszy do najbliższej gospody rozmawialiśmy z dziewczyną fartuszkową na migi. Okazało się, iż Jakóbek był wymowniejszy odemnie.

Służąca dorozumiała się wnet o co chodziło i przedewszystkiem podała nam herbaty, tudzież porządną porcyę befsztyku; a potem przywiodła młodego Francuza, zostającego w tej samej oberży, aby się z nami rozmówił.

Francuz, jakiś poczciwy człowiek, a do tego przyjaciel Polaków, ofiarował mi swe usługi, jakie cudzoziemcy spotykający się zdala od ojczyzny zwykli sobie wzajemnie

świadczyć; lecz co ważniejsze, że obiecał mi nauczyć najpotrzebniejszych wyrażeń po angielsku. Przyglądał się tylko ukradkiem zabawnej kapocie Jakóbka, w której mały wyglądał jak w niewłasnym domu.

Wypadało naprzód pomyśleć o oporządzeniu człowieczka. Poprosiłem Francuza, aby nas zaprowadził do tandeciarzy. Chętnie na to przystał; udaliśmy się więc do miasta.

Na pierwszy rzut oka ukazuje się ono zwłaszcza dla Polaka co nie zna Londynu, w nader wydatnych rysach. Wszystko tam prawie dla niego jest nowe. W tem wielkiem ognisku rozbudzonego życia wszystko uderza cudzoziemca i wraża się w pamięć.

Drogi żelazne niemal po wszystkich ulicach, z wyjątkiem najgłówniejszej (zapewne z powodu zbytniego na niej ruchu); toczące się na nich sznurami, jeden za drugim, mnóstwo różnokolorowych omnibusów; równoległe, częściowo wysadzane drzewami, poprzecinane w szachownicę szerokie ulice; pięcio i sześciopiętrowe domy; wystawa w sklepach najrozmaitszych towarów i surowych płodów — począwszy od rzeźnika, jubilera, aż do straszliwej rękodzielni trumien i nagrobków — wszystko znamionuje handel w ogromnych rozmiarach.

Nie ma tam w ogóle pałaców, nie ma przed kamienicami owych wspaniałych galeryi i portyków, pod któremi w czasie lata tak miła przechadzka we Włoszech, nie ma żadnych zamków ani zwalisk, podobnie jak w całej Ameryce; gmachy tam publiczne, są to zakłady dobroczynności, wodociągi, szpitale, ponure więzienia otoczone szarym murem, magazyny i fabryki.

Domy prywatnych są jednakie, każda cegiełka obrachowana na przyniesienie dochodu, a nie efektu. Są one podobne do poprzegradzanych klatek; zwyczajem zaś dawnych Holendrów, posiadaczy niegdyś Nowego Jorku, pokostowane na kolory jaskrawe — kolor ceglasty przeważa.

Każdy z tych domów podzielony jest na części, na każdej części zawieszony numer; jedna część nie ma żadnej łączności z drugą, głuche mury je rozdzielają. Pod każdym numerem mieszka rodzina bez sąsiadów. Nie spotyka się ona z nikim obcym ani w sieni, ani na schodach, gdyż ma wchód osobny od ulicy, nadto ogródek ze sztachetami, co ten wchód otacza.

Chłód samolubstwa wieje z takich domów!

Częstokroć napotyka się części domów oznaczone numerami, które mają tylko po

jednej stancyi na każdem piętrze; lecz że te pokoje składają razem zupełnie oddzielny apartament, są przeto lubione przez mieszkańców pomimo niewygód na jakie swym rozkładem narażają.

Od tego ogólnego prawidła wyjątek stanowi główna ulica Nowego Jorku, zwana Broadway, przecinająca go na dwie połowy i dochodząca aż do morza. Jest to arterya długości pięciu mil angielskich, puls krążenia miejskiego.

Będąc ona środkiem handlu wewnętrznego, a tem samem pełną magazynów, sklepów, hoteli, teatrów, *itd.* ma najwięcej podobieństwa do ulic europejskich stolic i cechuje rozwój życia publicznego. Broadway jest tem dla Nowego Jorku, czem jest *np.* Krakowskie Przedmieście łącznie z Nowym Światem dla Warszawy. Widok jej poważny, nakazujący i wspaniały. Kto obaczył Broadway, poznał stolicę Merkurego na wytwornej stopie.

Pomimo tego, mieści ona w swem łonie jeden tylko budynek zajmujący pod względem sztuki architektonicznej. Jest nim pałac, w którym odbywają się sądy, zwany City-Hall (ratusz), z przedsionkiem porządku jońskiego i z posągiem Franklina przed frontem.

Nie znam większej przyjemności w po-

dróży, nad pierwszą przechadzkę w krainie nieznanej, nad błądzenie bez wyraźnego celu w obcym grodzie. Każde miasto ma swoją cechę, swoje piętno, swój nawet zgiełk odrębny, jemu samemu właściwy. W Nowym Jorku wszystkie przedmioty żywiej mię zajmowały niż gdziekolwiek indziej. Dostawszy się zaledwie od kilku godzin do Ameryki, jej życie było nowym światem dla mnie. Podobnieby się rzecz zapewne miała, gdybym był do Pekinu zawędrował. Hałas, ruch, turkot, co mię otaczał, gardłowe dźwięki obcej mowy, czyniły wrażenie na mym umyśle, przywykłym do stepu, uroczystego szumu fal morskich i zgrzytu łańcuchów kotwicznych.

Zatrzymaliśmy się nakoniec przed kramami tandeciarzy. Za pierwszem na nie spojrzeniem przypomniała mi się ulica Franciszkańska w Warszawie. Domy wsparte jeden na drugim wznosiły się wysoko ku niebu, w oknach suszyły się pończochy i bielizna, czarnobrewe dziewczęta o wschodnich rysach twarzy przesuwały się tam i owdzie szczebiocząc do siebie. Całe to miejsce składało jakby jednę synagogę. Do koła wisiały przechodzone i nowe suknie, buty, i inne rupiecie tandeciarskie; przededrzwiami sklepów stały skrzynie z żelastwem — a wszędzie

słyszeć się dawał krzyk i szwargot, jak gdyb
to pokolenie zwoływało się w podróż za morz
Czerwone.

— Czy pan nie z Pociejowa?!.. zawoła
łem do zapraszającego nas po angielsk
kupczyka.

— Aj waj! panowie Polacy! odpowiedzia
z uśmiechem.

Dowiedziałem się od owego starozakon
nego rodaka, że wiele składów z tandetą w
Nowym Jorku należy do polskich Izraelitów
przybyłych do Ameryki, chroniąc się od na
boru wojskowego, szczególniej z Księstw
Poznańskiego. Są oni tam w swoim żywiole
trzymają się razem i mają się dobrze. Cha
rakterystyką ich w Ameryce jest to, że o il
zajęci handlem, przestali być żydami pod
względem wyznania, zaniedbując obrządków
bużnicznych i obchodzenia szabasów (z któreg
to powodu niektórzy z nich za powrotem d
ojczyzny prowadzili spory z rabinami), o tyl
pod wielu względami nie przestali być Po
lakami. Nie zapomnieli mówić po polsku:
radością byłem przez nich powitany, służyli m
w daniu wielu informacyi miejscowych, wspo
mnieli nawet o pomniku Kościuszki w okolic
Nowego Jorku; nadto obiecali przyjąć Ja

kóbka do rzemiosła krawieckiego, jeśli nie da się odszukać jego ciotki.

Jeden z nich, uprzejmy żydek, wyręczył mię w zatrudnieniu przez zamieszczenie w pismach ogłoszeń w celu znalezienia owej ciotki.

Oczekując skutku, powróciłem z ubranym już przyzwoicie Jakóbkiem do gospody, w nadziei wygodniejszego noclegu niż na okręcie, gdzie częstokroć woda sącząca się przez szpary, padała mi kroplami na twarz.

Aliści po północy, zaledwie najmocniejszy sen zmrużył me powieki, gwar uliczny przebudził mię nagle. Pożar wybuchnął w pobliskości.

Gromada straży ogniowej, złożona z *ochotników*, przebiegała pod oknem. Jej okrzyk: „Fire! fire!" (ogień) rozlegał się do koła. Ubrani w bluzy czerwone, ciągnęli sami, z szybkością kłusa końskiego, sikawki błyszczące od czystości. Trzech ludzi wysokiego wzrostu pędziło naprzód: dwóch z nich niosło pochodnie, a jeden w środku między nimi zachęcał pozostałych do pośpiechu, za pomocą trąby powietrznej.

Orszak ów otoczony ciżbą widzów, rzucał na ściany domów podłużne cienie splecione w

czarowne grupy — nareszcie się przewinął znikł jak widziadło na zakręcie ulicy.

Później jakiś przechodzień gwizdał kra jowe piosenki, podobne nótą do krakowiaków Ubrałem się na prędce i pospieszyłen do ognia. Kilka kompanii straży ogniowe zbiegło się z różnych części miasta. Są sto lice, jak *np*: Londyn, gdzie w czasie pożaru policya i konstable otaczają dom gorejący łańcuchem, broniąc doń przystępu pospól stwu; lecz w Nowym Jorku nie mogą tego zwyczaju wprowadzić w wykonanie — tal dalece lud nawykł tam brać udział we wszy stkiem, nie wyłączając gaszenia ognia, prze: co wkrada się nieporządek.

Lecz wielkie mają ułatwienie do gaszeni z powodu kanałów napełnionych wodą po ulicami. Rozciągają się one nie tylko w kwartałach najwięcej zabudowanych, ale i w ulicach poprzecznych, co są nazwane p większej części liczbami: „ulica jedenasta," dziewiętnasta, dwudziesta, *itp*. Na nich c kilkanaście kroków spostrzega się na boku chodnika żelazny słupek przytwierdzony pro stopadle do ziemi. W chwili pożaru straż ni wiezie żadnych beczek z sobą, żadnych cię żarów, lecz dobiega do najbliższego słupka o miejsca pogorzeli, odśrubowywa go w oka-

mgnieniu i zapuszcza w otwór rzemienną kiszkę, przez którą woda sama wytryskując z kanału do wysokości dachu, zalewa w prędce palące się przedmioty.

Przez puszczanie podobnym sposobem wody myją okna, mury kamienne, skrapiają chodniki i place w czasie gorącej kurzawy. Niekiedy dostanie się świgus niedorostkom, co zwykli swemi figlami przeszkadzać robotnikom.

W środku miasta, przy ulicy Broadway, znajduje się obszerny „plac Washingtona“ zabudowany w kształcie kwadratu.

Nazajutrz podczas przechadzki zatrzymałem się tam przed siedzącym w ubiorze jeneralskim na spiżowym koniu Washingtonem, jedynym w swoim rodzaju zabytkiem Nowego Jorku, który możnaby nazwać pomnikiem. Jest to ciężka bryła kruszcu, obrobiona grubem dłutem bez względu na uczucie piękna.

Wśród parku na placu, rozpamiętując dzieje bohatera ludowego, przyjaciela Kościuszki, postanowiłem korzystać z pobytu w zamorskiej dalekiej stronie, aby rzucić gałązkę wawrzynu na mogiłę wiekopomnego ziomka naszego.

Zaledwie zwróciłem kroki ku rzece Hudson, aby nią popłynąć do West-Point,

gdzie się ta mogiła znajduje, gdy w tem spostrzegam znienacka rodzinę indyjską — najpierwszych Indyan, których napotkałem w życiu!..

Washington i Indyanie ... jakież to sprzeczności? nie dowierzałem własnym oczom. Prawdziwi Indyanie! z piórami na głowach, w kolczykach, naszyjnikach z muszli, z czarnemi, ponsowemi i niebieskiemi pręgami na miedzianych twarzach.

Nieszczęśliwcy ci wystąpili na dziwowisko pacholąt i nianiek, rzucających im po drobnym pieniążku.

Widok ten sprawił mi bolesne uczucie.

Owi naturalni posiadacze kraju, stali się żebrakami we własnej ojczyznie. Byli oni o tyle w niej obcymi, o ile by nim był Lapończyk lub Hotentot w Krakowie.

Cała historya dwóch ras ludzkich, odbija się tu jak w zwierciedle! Naczelnik najdzikszego pokolenia na puszczy nie uderzyłby tyle mej wyobraźni, ile owa rodzina, dzieci leśne, na brukach nowoczesnego Jorku, potężnego parą, o której cudownych skutkach ani się śniło pierwotnym mieszkańcom.

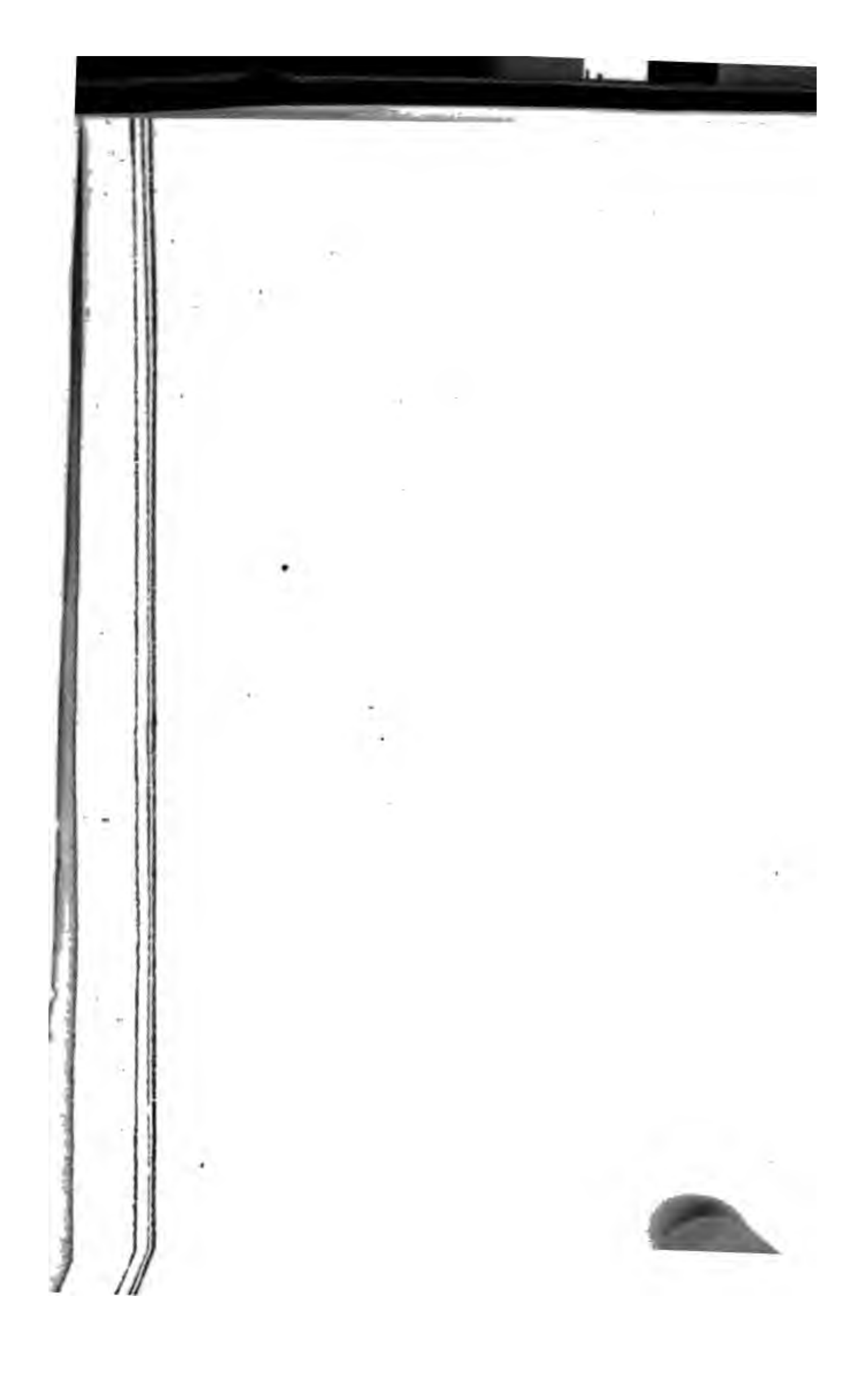
A jednakże teraźniejsze niedobitki indyjskie, którym wydarto wszystko, przyjmują jeszcze białych gościnnie do swych szałasów;

przyjmują pomiędzy siebie toż samo plemię, które ich ród ogniem i mieczem tępiło.

Zaprawdę, dusza niezepsutego wychowańca przyrody jest w wielu razach wyższą od duszy człowieka cywilizowanego, z błędami cywilizacyi, z zepsuciem niewoli...

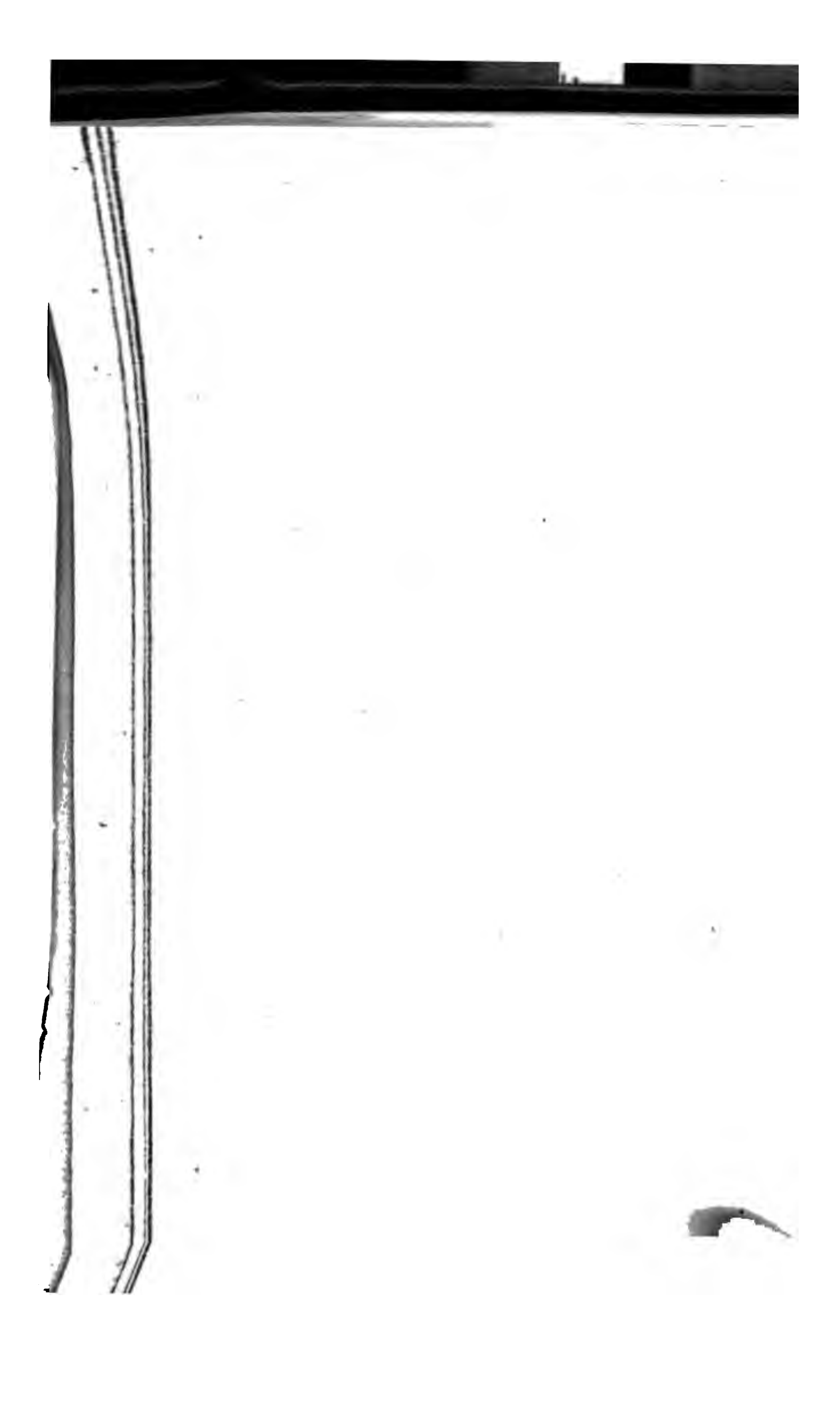
— Co pan taki smutny? zagadnął Jakóbek, przerywając me dumanie.

— Nic, nic, mój mały, bądź dobrej myśli... Pójdź kochanie! zrobimy wycieczkę, pojedziemy do West-Point, opowiem ci żywot Kościuszki na jego mogile.



V.

Kościuszko i Puławski w Ameryce.



V.

Do którejby części świata Polak zapędzony nie został zbiegiem okoliczności, wszędzie napotyka kamienne głoski przemawiające do niego o dziejach jego praojców.

Stany Zjednoczone Ameryki pod tym względem tę wyższość posiadają, iż dostarczają faktów odnoszących się do żywota, spędzonego na ich łonie, najczystszego z wodzów: Tadeusza Kościuszki. Z pomocą jego ramienia wywalczyły one swą niepodległość.

Imię Kościuszki należy więc do dziejów dwóch światów.

Najdrobniejsze szczegóły o tym znakomitym mężu po wszystkie wieki przypominane być winny dla nauki i pożytku młodego pokolenia, które nań jako na najlepszy wzór cnót obywatelskich zapatrywać się winno.

Zakres niniejszego pisma nie dozwala nam wchodzić w rozbiór życiorysu wodza, ale niech mi przynajmniej wolno będzie skreślić tu

kilka szkiców z pobytu jego w Ameryce, której opis przyjąłem sobie obecnie za zadanie do spełnienia.

Powodem przybycia Kościuszki do Ameryki była okoliczność następująca:

Powróciwszy po ukończeniu nauk z za granicy, został zaproszony do Sosnowic w Lubelskiem przez wojewodę Sosnowskiego i zobowiązany do dawania lekcyi rysunków i historyi córce jego Ludwice.

Przy codziennem przepędzaniu kilku godzin razem, uczuli ci młodzi skłonność wzajemną. Że zaś krewna Sosnowskich, Karolina Żenowiczówna, zawsze była obecna tym lekcyom, trafili na sposób rozmowy tego rodzaju, że Tadeusz co miał powiedzieć pannie Ludwice, zwracał do Karoliny.

Oboje przewidywali, iż wojewoda nigdy nie zezwoli na związek ubogiego szlachcica z bogatą wojewodzianką; a więc p. Tadeusz udaje się do Warszawy, objawia królowi Stanisławowi Augustowi stan rzeczy, zgodę panny, i prosi go o wstawienie się za nim.

Z początku król odradzał, przedstawiał trudności; ale w końcu przyrzekł swoje pośrednictwo i ... zdradził.

Król ten wiekuiście dwuznaczny, tak w sprawach publicznych jak prywatnych, zamiast

przemawiać za Kościuszką, nadużył zaufania dostojnego młodziana i ostrzegł wojewodę, aby się miał na baczności.

Dyplomacya trzyma się głowy, nie serca..

Oburzony do żywego wojewoda, gotów był posunąć się do zbrodni, gdyby Kościuszko nie opuścił był kraju, tajemniczo i nagle.

Wroku więc 1776 udał się do Gdańska za pożyczone pieniądze, a znalazłszy tam okręt odpływający do Ameryki, przybył do Stanów Zjednoczonych, które się właśnie wybijały na wolność, i gdzie już zastał Kazimierza Puławskiego i Lafayetta, walczących za sprawę tejże wolności.

Puławski, jako wódz konnicy, zjednał sobie już był podówczas swoją nieustraszoną walecznością wielkie względy u Washingtona, jako też poważanie i miłość żołnierzy amerykańskich.

Puławski przedstawił Kościuszkę naczelnemu wodzowi.

Washington, owa najznakomitsza postać swojego wieku, był wysokiego wzrostu, szlachetnych rysów twarzy — oczy miał jenialne, nos orli, usta zamknięte, czoło wysokie. Jego ubogi mundur w pośród błyszczącego sztabu oficerów podwyzszał powagę postaci żołnierza

filozofa. Był to biegły strategik, a przyter skromny — dyplomata a przecież nie szalbier.

Kościuszko mile przyjęty przez Washin gtona, korzystając z chwili, zaciągnął się d służby wojskowej jako ochotnik.

Lecz w krótce zdolności i męztwo mło dziana wyniosły go, 18 listopada 1776 r. n stopień pułkownika, i był następnie adjutar tem jenerałów: Gates, Armstrong i Greene; nareszcie, samego Washingtona.

W czasie zaciętych walk z Anglikami zbuntowanymi przez nich Indyanami, cho burze losu huczały nad jego głową, odznacza się nietylko sławą oręża, ale niósł wszelk możebną pomoc nieszczęśliwym, jak na rycerz przystało. Tu klęcząc obok rannego, obwija mu bliznę; tam, rospaczającemu niósł słow pociechy i dodawał otuchy nadzieją lepsze przyszłości; pomagał nieść krwią zbroczonyc obywateli do lazaretu; owdzie w zgorzał osadzie był pomocnym w sporządzeniu na miotów; a wszędzie działał szlachetnie, zacni czyniąc więcej nad proste okazywanie litoś ofiarom wojny. Był zbawcą i bożyszczem pozostałych przy życiu.

Czyny te wynagradzały go za trudy tęsknotę za krajem i tyle smutnych chw

życia. Czuł w duszy pociechę, że mógł świadczyć dobro bliźniemu.

Tymczasem w Polsce oblubienicę jego zmuszono wyjść za mąż za wojewodzica kijowskiego ks. Józefa Lubomirskiego.

Przytoczony tu list może posłużyć za dowód okropnego samowładztwa magnata polskiego.

Brzmi on jak następuje:

Kochany Tadeuszu, drogi przyjacielu!

Uczucia, jakie pragnę wylać przed Tobą, są nie do opisania — o! bo ja Ciebie, drogi Tadeuszu — po Bogu najgoręcej kocham. Me serce w tej chwili jest wzburzone, gdyby fale morskie, których nic ukoić nie zdoła po doznanych wstrząśnieniach; opisanie ich samo, grozą mnie przejmuje — bom cierpiała... wiele cierpiała — lecz jak róża bez cierni! ... tak miłość bez cierpień — jest niepodobieństwem.

Od chwili gdy nas do wiecznego zmuszono rozstania, znoszę wciąż najstraszniejsze przeciwności losu. Przypuszczając śmierć Twoją, świat stał się dla mnie pustynią — moje serce było martwe i próżne tak, że sama przed sobą zadrżałam. Gdybyś był zginął w moich objęciach, byłabym cierpiała i w gwiazdach śledziła Twą miłość, lecz ręka mego

ojca wyrwała Cię od mego serca, więc sądziłam się być przyczyną Twej mniemanej śmierci, burzycielką szczęścia i pokoju domowego.

Moja miłość dla Ciebie była czysta, święta, od Boga zesłana — z utratą Ciebie zbladła gwiazda szczęścia mego, bo miłość Twa była duszą mego istnienia.

W takim stanie oddanie ręki innemu byłoby tylko krzywoprzysięztwem — a jednak surowy rodzic nalegał, bym się przygotowała do wejścia w związki małżeńskie z księciem Józefem Lubomirskim.

Oh!... myśl to była okropna — postanowiłam się schronić w zacisze klasztorne, wyrzec się rodziców, ludzi i świata. Ze łzami błagałam ojca, aby mi pozwolił odpokutować błąd mój w murach klasztornych, lecz on milczał — i był zakamieniały na cierpienia dziecka swego.

Postanowiłam więc bez wiedzy rodzica ten krok wykonać, a poczciwa ochmistrzyni Kaczkowska była mi pomocą ku temu.

Pomimo czujnego oka mego rodzica, wśród nocy, przebrana za wieśniaczkę, na chłopskim wozie, opuściłam Sosnowice; przez trzy dni i trzy nocy odbywałam podróż najniebezpieczniejszą, wśród bezdroży leśnych unikając pogoni; starałam się dostać do klasztoru Kame-

dułek położonego w bezludnem ustroniu — wśród lasów niedaleko Kowla. Trudno byłoby mi cel ten osiągnąć, i tylko myśl o Tobie dodała mi wytrwałości i siły. Sądziłam, że jesteś na tamtym świecie, uznawałam więc za jedyną możliwość poświęcenia Tobie reszty życia mego, rzucając się w objęcia Boga — na łono kościoła.

Przełożona klasztoru, będąc już uprzedzoną o mem przybyciu przez Kaczkowską, przyjęła mię jak najuprzejmiej i we wszystkiem starała się przynieść ulgę i pomoc.

W pierwszej chwili byłam w bezpiecznem ukryciu; lecz aby na przyszłość ochronić się od wszelkich prześladowań ze strony familii, poradziła mi przełożona podać prośbę do króla o pozwolenie, abym bez żadnej z nikąd przeszkody pozostać, żyć i umierać mogła w klasztorze, gdzie znajdowałam się.

Jakoż prośba moja otrzymała pomyślny skutek, i od tej pory byłam szczęśliwą na łonie naszej świętej religii — Ty zaś, kochany Tadeuszu, jako należący do innego świata, stałeś się ideałem mej duszy. Zapomniałam o tym padole, moja istność ziemska przeszła w Boga; z tęsknotą oczekiwałam tylko chwili by przywdziać suknię zakonną.

Pod tę porę wynalazł i ujrzał mię na

cmentarzu nasz wspólny przyjaciel Niem
cewicz — ale zaparcie się świata zmusił
mnie uniknąć jego wzroku — by żadn
dawna znajomość nie naruszyła spokojnośc
mojej.

Lecz widać, niebo szczęścia mi kosztowa
nie dozwoliło — a w krótce cały wątek meg
żywota klasztornego przerwany został.

Jednej burzliwej nocy, gdy śnieg okry
martwą ziemię, a wiatr dzwonił szyban
klasztornemi, usłyszałam z okna mej celi jaki
płacz i jęki rozlegające się na cmentarz
wśród ciemności nocnych. Czemprędzej po
spieszyłam do sąsiedniej celi, aby uwiadomi
starszą zakonnicę i pójść na ratunek cier
piącej istoty. Obie tedy przywdziawszy pła
szcze pobiegłyśmy przekonać się o przyczyni
tego płaczu.

Jakież zdziwienie nas ogarnęło, ujrzawsz
pod murem kobietę w łachmanach z mał
dziewczynką — która w niebogłosy wołał
o pomoc dla umierającej z nędzy matki.

Brodząc wśród śniegu i zimna, pospie
szyłam do tej biednej opuszczonej kobiety,
ledwośmy ją opatrywać poczęły, gdy z po z
muru wypadło kilku ludzi, pochwycili mni
w pół i nim zdołałam się opamiętać, uniósł
w głąb lasu, złożyli na saniach, które nieba

wem ruszyły z miejsca; a ja niby we śnie, niby na jawie, spostrzegłam dopiero grożące niebezpieczeństwo, lecz już było za późno.

Konie leciały równo z wiatrem, co świszczał po za uszami — niewiem jak długo trwała ta jazda, bo leżałam prawie bez przytomności — zdaje mi się jednak że następnej nocy stanęliśmy przed bramami jakiegoś zamku, którego okna rzęsiście były oświecone.

Na pół martwą wniesiono mnie do komnaty, jak się zdaje, dla mnie przygotowanej. Na kominie palił się ogień — na stole stała przygotowana wieczerza — i było do spoczynku gotowe łoże. W drugim, dla służby przeznaczonym, pokoju, ujrzałam — tę samę żebraczkę z jej dzieckiem — grzejących się przy ogniu. Ach jakiż okropny podstęp dokonany został!...

Znużona, zawlekłam się na łóżko.

Nazajutrz, zbudzona ze snu, patrzę... i wyobraź sobie, co za widok uderzył oczy moje!... Przed łożem stał mój ojciec.

W miejsce mych szat, leżały wytworne suknie świeckie.

— Jesteś tam gdzie przynależy; czekam twego wstania — rzekł mój ojciec i oddalił się do drugiej komnaty.

Przywdziawszy odzież jaką nadybałam w krótce ujrzałam go znów przed sobą.

— Witam cię — mówił — nie jako za konnicę, lecz moją córkę, która dziś ... z godzinę ... stanie przed ołtarzem do ślubu księciem Lubomirskim!

Te słowa, wymówione groźnym tonem zaparły mi oddech i dopiero po chwili wyrze zdołałam:

— Nie, mój ojcze, to być nie może, — bom rozbrat zrobiła z tym światem — książ mógłby poślubić bogatą dziedziczkę rodu Sosnowskiego, ale nie biedną, opuszczon sierotę klasztorną.

— Wszystko zostało do dawnego stanu przywrócone, król pragnie tego związku — książe nalega na spełnienie danego przezemnie słowa, aby moją córkę poślubić i moim zosta spadkobiercą — ty znajdujesz się w tej chwil w jego zamku, którego wkrótce staniesz si panią — i tym jedynie sposobem zmażes twe winy, których się dopuściłaś przeciw twemu ojcu.

Padłam do nóg jego błagając o odwrócenie tego postanowienia.

— Moje postanowienie jest niezmienne — zawołał stanowczo — za godzinę książe zaprowadzi cię do ołtarza.

— Nie tak spiesznie — odpowiedziałam — o ślubie nie może być mowy; król Stanisław dał mi piśmienne zapewnienie, iż resztę życia mego spokojnie w klasztorze zakończyć mogę.

— A księciu — rzekł ojciec — dał król Stanisław piśmienne zapewnienie, w którem przyzwala na związek.

— To musi być omyłka, król przecież nie może odwołać raz danego słowa.

— Jeśli to uczynił — rzecze szyderczo — to nie po raz pierwszy.

— Czy być może?... wołałam w rozpaczy — aby król swe słowo złamał!

— Stało się — a twój związek z księciem, jest króla, moją i twego przyszłego małżonka wolą — i punktem.

To rzekłszy, wyszedł mój ojciec z komnaty, a w kilka minut wszedł kapelan zamkowy.

Oświadczyłam mu, że tylko Ciebie kocham, że wyrzekłam się posiadania Twej osoby, lecz nie Twej miłości, i aby Ci wierną pozostać rzuciłam się na łono Kościoła. Kapłan zdawał się to pojmować, ubolewał nademną — lecz wyższa jakaś władała nim potęga, która wszelki z mej strony opór zdawała się niweczyć.

Nie pomogły ani łzy, ani mój upór, ani

błagania — a w krótce nadszedł ksią
wiąc: Pani!... przychodzę Cię zapro
do ślubu — wszystko czeka w pogoto
Tu myślą goniłam za Tobą —
moja dusza była przy Tobie, tak moj
należy do Ciebie — a tylko moją niez
z duchem osobę oddałam księciu.
Wyznałam to jemu przed ślubem
znaję to Tobie Tadeuszu — po ślubie.
Po kilku miesiącach przybył tu Niem
uwiadomil mię że żyjesz — dał do p
tania Twój list — a ja nawzajem posp
Cię zawiadomić przez Juliana, że jestem
niezmiennie i dozgonnie Twoją

Lud

Równe d. 17 maja 1781.

Gdy wojna z Anglią z pomyślny
tkiem na korzyść Amerykanów się skońc
ze stratą wszakże Puławskiego, który p
szturmu pod Sawanah d. 9 października
życie zakończył — otrzymał Kościuszk
roku stopień jenerala brygady, order
nata, tudzież nagrodę narodową w pieni
i w ziemskiej posiadłości.
Pieniędzy tych użył głównie na za
szkoły wojskowej w West-Point; ziem
(opuszczając ostatecznie Amerykę) s

kazał na wykupienie na wolność pewnej liczby niewolników czarnych amerykańskich.

Dekret najwyższego sądu Stanów Zjednoczonych w sprawie spadkobierców Kościuszki, przeciw rządowi amerykańskiemu wytoczonej, spowodował niedawno ponowne ogłoszenie ze strony rządu rozporządzenia o którem mowa.

Brzmi ono:

„*Dnia 15 maja 1798 r.*

„*Ja, Tadeusz Kościuszko, zamierzając opuścić „Stany Zjednoczone, oświadczam i żądam, „że w razie, gdybym w żadnym innym testa„mencie nie rozrządził moją posiadłością „położoną w Stanach Zjednoczonych, upo„ważniam mego przyjaciela Tomasza Jeffer„sona, aby za całą jej wartość, podług wła„snego wyboru murzyńskich niewolników za„kupił i takowych w mojem imieniu wolno„ścią udarował, wykształciwszy ich poprze„dnio dobrze w przemyśle, rzemiośle, itd: — „pouczywszy ich tak o nowem ich stanowisku, „ażeby stali się dobrymi sąsiadami, ojcami, „matkami, mężami, żonami i obywatelami. i „poleciwszy im w końcu być zawsze obroń„cami wolności i ojczyzny, pożytecznymi i „pracowitymi członkami ludzkości.*

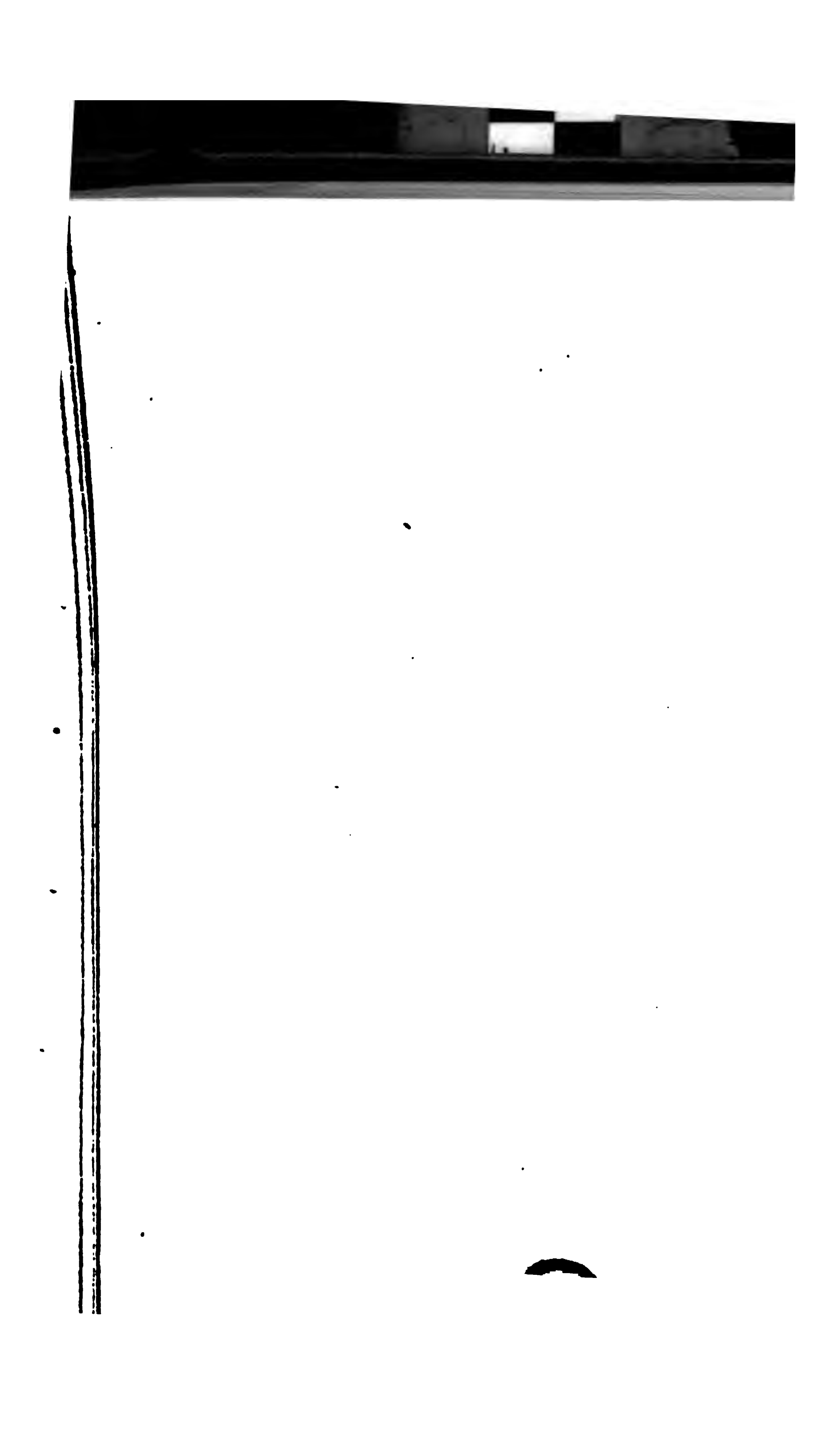
„Mianuję więc rzeczonego Tomasza Jeffer-
„sona wykonawcą mej woli.“

(podpisano) *T. Kościuszko.*

Czyż ten czyn najwznioślejszego dostojnika Polski, który całkowicie poświęcił się dla ludzkości, — czyż nie powinien zachęcić nie jednego z rodaków do oddania wszystkiego, byle tylko w braciach rozszerzyć pojęcie obywatelskie obrońców wolności?...

VI.

West-Point — Szkoła wojskowa — Pomnik bohatera ludowego.



VI.

Płynęliśmy na jednym z owych wielkich parochodów, podobnych do piętrowych pałaców, gdzie ściany salonów są zwierciadlane, a podlogi wysłane kobiercami: które bezustannie prują błyszczącą powierzchnię Hudsonu.

Przy jej to ujściu kwitnie teraźniejszy Nowy Jork, przeistoczony z dawnego Nowego Amsterdamu, drobnej posiadłości holenderskiej, w r. 1664 zabranej przez Anglików, poglądających na jej wzrost okiem zazdrości.

Czarowna to rzeka! Przejażdżka po niej przypomniała mi wycieczkę po Renie, tak dalece wybrzeża ma malownicze; przypomniała mi nadto nazwisko odważnego a nieszczęśliwego żeglarza, kapitana holenderskiego, pierwszego na niej europejskiego wędrowca, co się puścił z miasta La Haye, celem odkryć, do przestrzeni nieznanych jeszcze w r. 1610.

Zwolna brzegi Hudsonu wznosiły się coraz bardziej, krajobraz coraz więcej był

zajmujący; lecz najpiękniejszy przedstawiał widok za zbliżeniem się do West-Point.

W tym punkcie koryto rzeki się zwęża, a okolice przybierają kształty gór zaokrąglonych, cechujących w ogóle przyrodę amerykańską.

Zdają się one być napływowe, nie zaś powstałe z porozrywanych gwałtem wnętrzności ziemi przez wybuchy wulkaniczne, jak na Kaukazie i w Szwajcaryi.

W Stanach Zjednoczonych przyroda, zarówno jak jej ludność, nie przedstawia tak urozmaiconego wdzięku, do którego przywykły oczy nasze; nie ma ona skał wystrzyganych w rąbki, plecionych gdyby z koronki, nie ma owych drobnych ruczajów, snujących się po nich nakształt galonków srebrzystych, ale ma powagę, siłę i wielkość!..

Amerykanie, zazdrośni nieco Europejczykom, zwykli przyrównywać rzekę Hudson do Renu. Brakuje jej tylko zwalisk, wieżyc, kamiennej historyi, jako w kraju nie mającym przeszłości, lecz wielką przyszłość przed sobą.

Z kąd inąd Hudson przewyższa Ren pod względem żeglugi. W każdej chwili, szczególniej w lecie, napotyka się tam mnóstwo bark i parochodów w ruchu. Statek nasz płynął, jakby w pośród flotylli. Owe seciny

żagli, co mię otaczały, niby białe obrazki rozrzucone na kanwie błękitnej niebios, wyryły się na zawsze w mej pamięci.

West-Point jest najwięcej uroczą stroną z nadbrzeży rzeki sławionej przez podróżnych. Szkoła wojskowa ukazuje się tam na wyniesionej równinie, w miejscu gdzie rzeka zakręca się w kolano i ginie z obu końców pośród gór.

Stanąwszy na płaszczyznie West-Point, rozpościera się pod nogami najcudowniejszy obraz.

To jest właśnie punkt, wielce strategiczny, który Kościuszko wybrał na założenie szkoły.

Przeznaczoną ona była pierwiastkowo na kształcenie w naukach wojskowych synów biednych obywateli, że zaś wszystko z czasem podpada zmianie, tak też i z nią się stało. W r. 1817 została rozszerzoną, niby na wzór szkoły politechnicznej paryskiej, i przestali mieć do niej wstęp ubodzy, a zaczęła się cisnąć arystokracya kupiecka.

Nie jest to godne pochwały w zasadzie, ani odpowiada instytucyom równości republikanckiej kraju, że uczniowie zamiast tam być przyjmowani w miarę zdolności i przykładania się do nauk, na mocy konkursu examinów,

jak się to dzieje w całym świecie oświeconym, otrzymują miejsca za pośrednictwem przywilejów.

Każdemu członkowi kongresu służy prawo rozporządzenia jednem z tych miejsc.

Jest to błąd do poprawienia.

Błąd ten tamuje rozwój i postęp. Wynika z niego, że gdy się wciśnie do szkoły kilkunastu nieuków (a zwykle panicze do nich należą), wszyscy pozostali młodzi ludzie muszą, aby się do nich zastósować, powtarzać z nimi kursa elementarne, a tem samem tracić na czasie. Dla tego też zapewne kurs szkoły wojskowej rozłożony jest na cztery lata, gdy możnaby go ograniczyć, jak to gdzie indziej ma miejsce, do lat dwóch.

Pierwszą więc zmianą do przeprowadzenia w organizacyi szkoły w West-Point byłoby przedewszystkiem odsadzenie panów członków kongresu od władzy patronowania i zaprowadzenie konkursu, w skutek czego możnaby wymagać od zapisującej się młodzieży wiadomości przygotowawczych nierownie rozleglejszych i obrocić czas na wykład przedmiotów wyższych.

Zresztą w szkole West-Point wszystko godnie odpowiada powołaniu tego instytutu. Widać tam, podobnie jak w innych zakładach Stanów Zjednoczonych, przymioty właściwe

narodowi amerykańskiemu, przymioty ludzi przywykłych do robienia interesów: dokładność matematyczną, porządek, regularność, mianowicie oszczędność czasu w drobnych zatrudnieniach zwyczajnych, odpowiadającą przysłowiu krajowemu: „czas jest to pieniądz.“

Wedle doniosłego rozgłosu o tej szkole, ma ona wydawać dobrych oficerów. Ci, którzy z niej wyszli, odznaczyli się szczególniej w wojnie mexykańskiej.

Chociaż sztuka wojskowa i nauki ścisłe są w rozkładzie dziennym, — jednak wielu jej wychowańców — jak się to okazuje z wykazów, wyszło nie tylko na oficerów, tudzież inżynierów cywilnych, ale stali się kupcami, urzędnikami, gospodarzami wiejskimi; znajdują się nawet między nimi księża i jeden biskup.

Jest w zwyczaju amerykańskim nie przywięzywać się do jednego fachu. Każdy powinien być gotów do wszystkich rodzajów zatrudnień, stósownie do potrzeby. W skutek tej właśnie potrzeby, handel nawet w Stanach Zjednoczonych nie ma tak stałych, wytkniętych prawideł, jak u nas w Europie, lecz podlega zmianom. Trzeba być urodzonym Amerykaninem, ażeby we wszystkich odcieniach tej gałęzi módz wytrwać z korzyścią.

Anglikowi, Niemcowi, łatwiej to przy-

chodzi jak innym, bo tamten za przybyciem do Nowego Jorku staje zaraz za kantorem kupieckim i chociaż nie zna jeszcze obrotów tamecznych spekulacyjnych, wyciąga przynajmniej zręcznie towary na łokciu, cyfruje i jest niejako w swoim żywiole, jako handlarz od dzieciństwa; lecz dla przybysza z kraju czysto rolniczego, z Polski, trudne to zadanie, zwłaszcza przy nieznajomości krajowego języka.

Nad handel, nad szkołę wojskową, czarujące położenie Hudsonu, West-Point, i nad całą Amerykę, droższą jest dla Polaka, co ścigany losem zabłąkał się w tamtę stronę, droższą mu jest skromna mogiła z granitu, stojąca na ustroniu w cieniu drzew, roztaczających nad nią rozploty zwisłych warkoczy....

Jest to czworoboczna pyramida: na każdym jej boku wykuto wieniec z kamienia; z piramidy wystrzela kolumna z fryzą u wierzchu; szum jodły i brzozy stanowi melodyę uroczystych pamiątek — zdaje się pielgrzymowi, że duchy jego praojców szepcą nad mogiłą.

Jest to skromny znak wdzięczności uczniów szkoły West-Point dla jej założyciela, Kościuszki.

Żadnemu, oprócz niego, cudzoziemcowi, Amerykanie nie stawiali pomnika.

Nikomu jeszcze w Polsce nie usypano tak wysokiego kopca, trwalszego od wszelkich pomników, jak ten który poświęcono na górze Bronisławy pod Krakowem cieniom bohatera z pod Racławic.

Trzeci pomnik widziałem w Szwajcaryi, w okolicy miasta kantonowego Solury (Solothurn), założonego przez Rzymian, gdzie bohater życie zakończył w 1817 r., w domu swoim obok poczty pod Nr. 5 przy ulicy Gurzelengasse. Okolica gdzie stoi monument zowie się Zuchwyl. Szmaragdowe wody rzeki Aar oddzielają ją od miasta. Jest tam kaplica, a za nią wiejski cmentarz; na krańcu wzniesiono pomnik, w którym zachowano serce wiekopomnego męża.

Towiański i jego zwolennicy ozdobili tę pamiątkę popiersiem Kościuszki w płaskorzeźbie, odlanem z bronzu, otoczonem gałązkami liści dębowych.

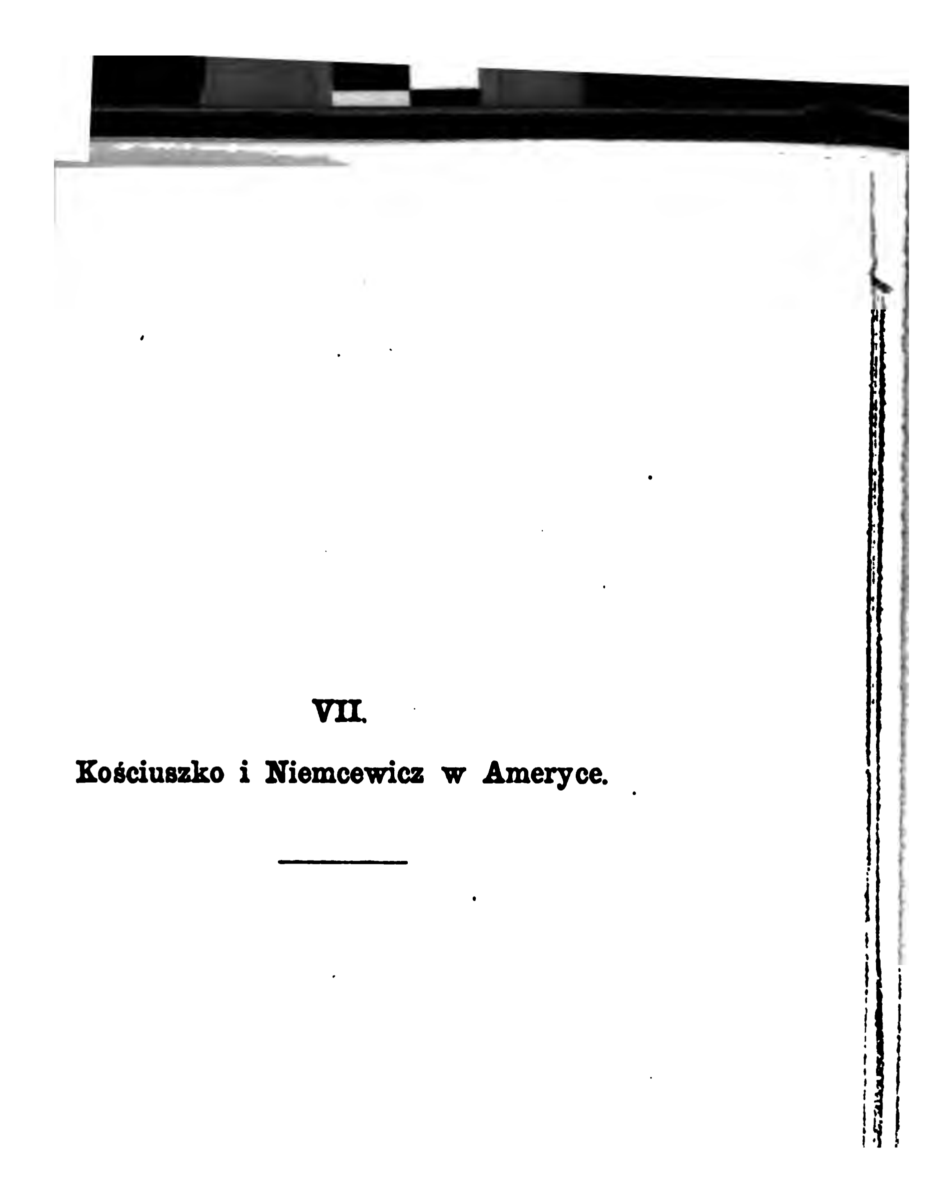
I z kądże to pochodzi, że sława ziomka naszego rozeszła się po szerokim świecie, że jeden ląd podał ją drugiemu, kraj jeden przekazał innym, że imię jego jest zapisane nie tylko w księgach nieśmiertelności, ale żyje w pamięci?...

W proch się obrócą dumne marmury i zardzewieją złotem klecone pochwały, a wspomnienie o Kościu zaśniedzieje nigdy.

Dla czego? A oto, że był on bo ludowym! że nie należał do żadnej ka jedynie dobro całego narodu, całej sp ści miał na celu; słowem, że kocha lecz umiłował go inaczej, niżeli Fa rządzący się pod znakiem krzyża Ch wego.

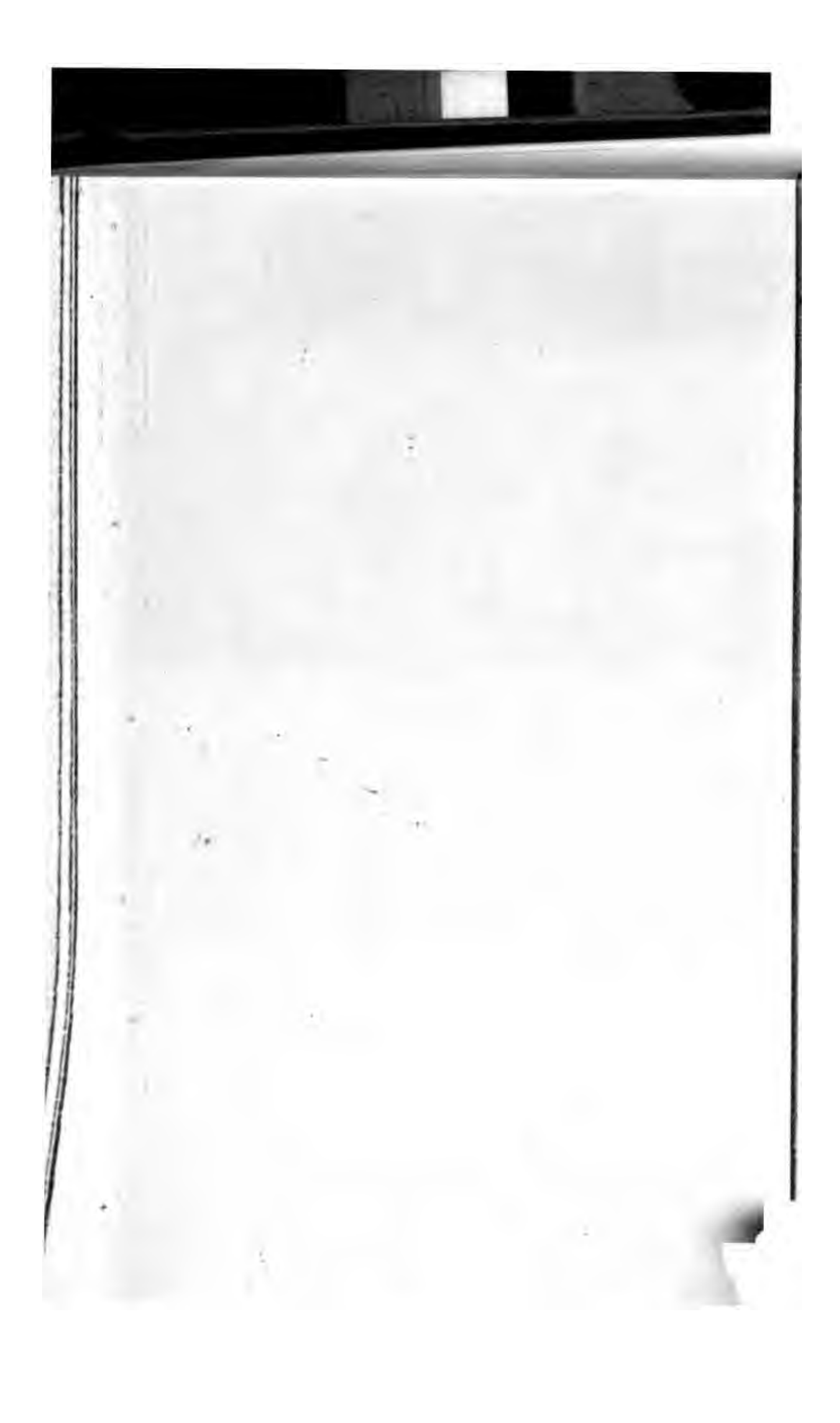
Wieczna cześć obrońcy takiemu!

Świat cały przeminie, ale dążno nie przeminą — prawda pozostanie przepadnie, lecz sprawiedliwość na wi ków istnieć będzie!...



VII.

Kościuszko i Niemcewicz w Ameryce.



VII.

Jenerał Kościuszko po powrocie z Ameryki na obronę Ojczyzny — po zupełnem oddaniu się świętej jej sprawie i po dokonanych cudach waleczności, dostał się do niewoli pod Maciejowicami. Odsiedziawszy dwuletnie więzienie w twierdzy Petropawłowskiej w Petersburgu, po śmierci Katarzyny uwolniony przez Pawła z kaźni wraz z towarzyszami niedoli (1796) — zwrócił się do Niemcewicza, zamierzającego wrócić do Polski i zawołał: „Czyż mię opuścisz w tym stanie?“ . . .

Na te słowa nieszczęśliwego wodza, Niemcewicz zaniechał zamiaru, i postanowił towarzyszyć koledze w powtórnej jego podróży do Stanów Zjednoczonych.

Dnia 19 Grudnia 1796 roku opuścili carski gród i udali się przez Finlandyą, Szwecyą i Anglią do Nowego Jorku.

Udał się także z nimi Libiszewski współ-

towarzysz więzienia, tudzież Tomasz Wawr
cki, murzyn służący Kościuszki, i kucharz.

Kościuszko po opuszczeniu murów n
skiewskiej fortecy był nie do poznania, t
fizycznie jak i moralnie. Ten stan umy
nie opuszczał go przez całą drogę do An
ryki, i dop ..ro tam, na gruncie świetny
pamiątek, wspomnienia przeszłych czynó
widok i łagodne powietrze wolności, wróci
zdrowie jego ciału i duszy.

Bo też i podróż morska Naczelnika n
rodu polskiego była nie do pozazdroszczen
Przybył on do drugiego lądu okryty rana
jak Łazarz na łożu boleści, kosztem cara o
stawiony. wśród burzliwej pory roku. Osie
dziesiąt jeden dni zmuszony był spędzić
Oceanie, zanim wylądował w Filadelfii.

Okręt unoszący Kościuszkę z Niemc
wiczem, zdawał się uwozić po za Atlant
znikające światło w niewoli pogrążonej Pols

Przyjęcie ich w Ameryce opisuje Nie
cewicz w liście do jednego z przyjaciół,
sposób następujący*):

Mount-Vernon, 25 Czerwca 1797.

Kochany Przyjacielu i towarzyszu bro
„Przyrzeczenie jakie Ci dałem przy rozst

*) Wyjątek z rocznika: „Postęp."

niu się naszem w Petersburgu, było dla mnie uroczystem — dla tego pospieszam Cię zawiadomić o losie Jenerała.

Jest on o tyle zdrów, o ile mu rany dozwalają; o tyle spokojny, o ile zbolałe serce mu nie dolega. Cześć i sława towarzyszą mu wszędzie, lecz Ty pojmujesz dobrze jak mało potrzeba człowiekowi, co poprzestaje na kwiecistej ziemi i jasnem niebie, temu — co szczęście narodu przenosił nad koronę. On miał tylko dwa żądania w swem życiu: kraj widzieć wolny i Ludwikę zwać swoją — Opatrzność odmówiła mu spełnienia tych skromnych życzeń — serce więc jego obumarło. —

Gdyśmy się z Tobą rozstali, udaliśmy się naprzód do Kronstadu, z tamtąd do Sztokholmu, a potem do Londynu. W Londynie przyjmowano naszego przyjaciela z zapałem; a że cierpienia wielce go skołatały, byliśmy więc przymuszeni nieco tam spocząć.

Po wielkich staraniach przyszedł jako tako do siebie, popłynęliśmy zatem dalej.

Wiadomość o przyjeździe Kościuszki do Ameryki uprzedził okręt, który przed nami wypłynął, i jak błyskawica rozległ się odgłos po wszystkich prowincyach: „Kościuszko przybywa!“

Zaraz po wylądowaniu przyjmowała g
deputacya kongresu i towarzyszyła mu n
zgromadzenie rady narodowej.

Życzyłbym Ci być tu obecnym, a stał
byś się niezawodnie dumnym, że się zwa
możesz przyjacielem człowieka, któremu wielk
i wolny naród cześć oddawał.

Nie tylko Filadelfia, Nowy Jork, ale cał
Stany Zjednoczone północnej Ameryki współ
ubiegały się w okazywaniu mu tej czci
hołdów. Gdzieśmy tylko przybyli, wszędzi
przyjmowano nas z radością, wszędzie tryum
falne bramy i przemowy, hymny i toasty –
tak, że ten przejazd możnaby bez przesad
nazwać pochodem tryumfalnym.

Serce Kościuszki nie było obojętne n
takie owacye, ale one go znużyły tak, i
wreszcie zatęsknił za cichem ustroniem. Gdzie
je mógł znaleść, jeżeli nie w objęciach Wa
shingtona?...

Ten wielki bohater, równie skromny ja
Kościuszko, po wyswobodzeniu północnej Ame
ryki osiadł na małem dziedzictwie Mount
Vernon; żyje tu z przyrodą i trudni się upraw
roli. Raz tylko po wojnie, idąc za wolą na
rodu, stanął ne czele jako prezydent Rzplitej
lecz po spełnieniu swego powołania powróci
natychmiast w wiejskie zacisze.

Do jego więc siedziby skierowaliśmy podróż naszę. Trudno sobie wystawić tak piękne ustronie jak Mount-Vernon. Miejsce to położone jest w Wirginii na prawym brzegu rzeki Potomaku i ozdobne całem bogactwem dziewiczej przyrody. Bujne łąki, żyzne pola, pełne zwierzyny lasy, otaczają powabny dwór na pagórku, zkąd na około roztacza się wspaniały widok.

Tu zamieszkuje Washington, tu zastaliśmy największego człowieka tego wieku.

Gdy go Kościuszko ujrzał, padł w jego objęcia i przemówił: — Ach! kochany ojcze... czy poznajesz twego syna? — a stary Washington zapłakał łzami radości i przycisnął go do łona.

Jeżeli przeznaczoną była dla Kościuszki chwila szczęścia, to było nią owe spotkanie.

Tu pozostaniemy czas jakiś — bo pan Tadeusz ma opowiadać staremu wodzowi historyę polskiej rewolucyi..."

Dwaj przyjaciele, Niemcewicz i Kościuszko, przyjechali później do Nowego Brunświku. Tu mnóstwo dawnych znajomych odwiedzało jenerała. Jedna z pierwszych gości była pani Kean, młoda wdowa po zmarłym jego przyjacielu. Nie zgadywał wówczas Niemcewicz, że ona za lat kilka miała być

z nim złączoną najściślejszym węzłem; al
pierwszego wejrzenia podobała mu się i u
go, bo była hoża, przystojna, posiadaj
wiele wiadomości i pięknie ułożona.

Kościuszko, tchnieniem swobody k
tnącego kraju odżywiony, wrócił był
zdrowia; jego rany się zagoiły; jego
odzyskały pierwotną sprężystość. Skutki
tego odżycia było, że będąc w Ameryce
w drugiej ojczyznie, uczuł się w pra
wzięcia udziału w sprawach krajowych, spr
jał opozycyi i złączył się z wiceprezydent
Jeffersonem przeciw prezydentowi Ada
następcy Washingtona.

Nie tak było z Niemcewiczem. Wid
się cudzoziemcem w tym kraju, sądził, że
powinien wchodzić w żadne stronnictwa; a
był skłonnym wspierać raczej rząd, niż j
przeciwników.

Niemcewicz przez swe zwyczaje, gu
postępowanie nie był rewolucyonistą, nale
do arystokracyi, co jednak nie przeszkadz
aby hrabiem z przywarami i księciem d
mozjadem w duszy nie pogardzał.

Kościuszko postępował bardziej za sz
chetnem i wspaniałem uczuciem, niż za ch
dnem wyrachowaniem. Niemcewicz, cł
poeta, szedł w działaniu za popędem rozł

rającego, zimnego rozsądku. Ta różność ich charakterów była przyczyną jakowejś oziębłości, która się poczęła naówczas zjawiać między nimi i która rozdzieliła ich wkrótce.

Zimę całą z 1797 na 1798 rok przepędzili w Filadelfii. Różnica zdań politycznych i z Jeffersonem nie naruszyła przychylności tego ostatniego dla Niemcewicza. Ów mąż stanu w wielu razach dał mu dowody przyjaźni, zawiązanej w Paryżu przed kilkunastu laty, kiedy Jefferson był tam pełnomocnikiem amerykańskim. Za jego staraniem Niemcewicz został obrany członkiem Towarzystwa Filozoficznego w Ameryce; ofiarował on temu gronu na pamiątkę pieniądz złoty, za rewolucyi po raz ostatni bity ze stęplem: „Króla Polskiego, Wielkiego Księcia Litewskiego.“

W lutym doszła do Filadelfii wieść o zgonie Stanisława Augusta Poniatowskiego w Petersburgu.

Było w trafach przeznaczenia Niemcewicza, że w czasie długiego swojego zawodu spotykał i znał wszystkich prawie w świecie europejskim znakomitych ludzi poprzedniej, równoczesnej i po nim idącej generacyi.

W ciągu tej zimy zdarzyło się, że młody książe Orleanu — w kilkadziesiąt lat później król Ludwik Filip — i dwaj jego bracia,

wydaleni z Francyi przez dyrektoryat, znajdowali się w Filadelfii. Obowiązani byli co tydzień stawić się przed konsulem francuzkim, aby swoję obecność udowodnić. Często wieczorami bywali oni u Kościuszki i mieli to sobie za szczęście: bo nasz naczelnik był w ówczas we wzięciu u republikanów i miał popularne imię we Francyi.

Niemcewicz często z nimi obcował; później znowu spotkał ich w Nowym Jorku i widywał tam ich poufale, w chwilach różnych bied, trwog i przeciwności, któremi młodość ich była doświadczoną, póki się do Anglii nie schronili.

W czterdzieści lat potem, gdy tułacze polscy w Paryżu udali się do Tuilleriów, aby królowi Francuzów wyrazić swoję radość, Niemcewicz będąc z jenerałem Kniaziewiczem na czele deputacyi, przypomniał królowi owe dawne czasy i szczegóły ich pobytu w Ameryce, ale Ludwik Filip nic na to nie odpowiedział*).

Na wiosnę 1798, Kościuszko wezwany przez Dąbrowskiego, aby przybył do Europy w celu objęcia dowództwa nad legionami we

*) Ob. Żywot Niemcewicza przez Ks. Adama Czartoryskiego.

Włoszech, zgodził się na powrót, lecz odmówił swego zwierzchnictwa na stare lata. Przed wyjazdem rzekł do Niemcewicza: „Zostań tutaj, gdyby żadnej nie było nadziei wrócę nazad i razem będziemy gospodarowali na kawałku ziemi.“

Niemcewicz przeczuwał, że się ta obietnica nigdy się nie ziści — mając atoli więcej zaufania i lubiąc więcej prostych, rozsądnych i w ten czas jeszcze bez skazy republikanów Ameryki północnej, aniżeli przesadnych a bez dobrej wiary republikan francuzkich, wolał pozostać między pierwszymi.

Tak więc dla niektórych odrębnych przekonań rozstali się dwaj przyjaciele, którzy wychodząc z więzienia myśleli, że się nigdy z sobą nie rozdzielą.

Kościuszko przybywszy do Francyi, pod nazwiskiem pewnego kupca amerykańskiego, wziął udział w tworzeniu legionów, podobnie jak w innych zajęciach tyczących się nieszczęśliwej sprawy ojczystej, i nie wrócił więcej do Ameryki.

Wolność odzyskała swego najgodniejszego obrońcę w Europie.

Niemcewicz za pozostawioną mu szczupłą kwotę pieniężną wyprawił wkrótce potem do Hamburga sługę Kościuszki, Stanisława,

tęskniącego za krajem, a sam znajdując się w potrzebie, zmuszonym się ujrzał pożyczyć sto dolarów od Jeffersona, chcąc zaś rozbić smutek i dogodzić swej ciekawości, postanowił zwiedzić szczególniejsze miejsca Stanów Zjednoczonych. Jednocześnie napisał do ojca o zasiłki.

Z ułomka jego podróży wydanego przez Mostowskiego pokazuje się, że pomiędzy innemi miejscami zwiedził także nowozałożoną stolicę Washington, w której wytknięte już były szerokie ulice i place, czekające na domy.

Po odbyciu podróży osiadł dla oszczędności w małem miasteczku Elisabeth-Thown, gdzie najął sobie izdebkę u krawca, nazwiskiem Rivers, jadał z nim i z jego czeladnikami, kupował drzewo na opał i sam je sobie piłował.

Zdolności Niemcewicza, jego interesujące położenie, i postać ujęły czułe serce pani Kean, która mieszkając w tem mieście, była świadkiem jego życia.

Raz więc, podając mu rękę zwyczajem angielskim, rzekła z szczerością pełną prostoty: „*Czy chcesz ją mieć?*“... Niemcewicz ucałował podaną rękę, ale nie naglił o spełnienie obietnicy, nie chcąc, aby choć na chwilę

mogla myśleć, że jej znaczny majątek wabi wygnańca.

Rzecz ciągnęla się przez dwa lata.

Szwagier i siostra odwodzili ją od zamęścia z nieznanym cudzoziemcem; ona sama nareszcie zaczęła się wahać. Już Niemcewicz zamyślał odjechać do miasta Washingtonu i założyć tam księgarnię. Zatrwożona tem pani Kean, która się była prawdziwie do niego przywiązała, ponowila stanowczo swoje oświadczenie.

Wtedy przystał na nie, ale pod warunkiem, że w intercyzie zapisane zostanie jego zrzeczenie się majątku żony. Ta szlachetna delikatność ujęla brata i siostrę, którzy sami odtąd naglili do zawarcia ślubu.

Pani Liwingston Kean pochodzila z pierwszej rodziny Nowego Jorku, była slusznego wzrostu, blondynka, oczu niebieskich, bialej cery, bardziej hoża i przystojna niż piękna; wiele czytala i pamiętala, przyjemna w mowie, dowcipna w odpowiedziach — nerwowe tylko napady czyniły ją czasem drażliwą; lecz rozum miala mieć rzadki i serce wyborne.

Przed ślubem kupila przy Elisabeth-Town dom ze stajenką, z ogrodem, łączką, i ośmnastu morgami ornego gruntu, gdzie

nowożeńcy mieli zamieszkać. W papierac
publicznych posiadała znaczną fortunę, któı
starannie zachowywała dla syna swego, l
czącego lat dziesięć. Ile ona wynosiła, Nien
cewicz nigdy nie pytał.

Sam nie mając już jak 100 *złp.*, przy
niósł ze stancyi obywatela krawca swoje za
winiątko, i w stajence próżnej jeszcze prz
domu ubrał się na wesele. Kilku tylko przy
jaciół było zaproszonych. Po ślubie herbat
i poncz zakończyły skromną biesiadę.

Zdaje się, że Niemcewicz przejął si
chęcią żony, zachowania, a nawet powiększe
nia dla jej syna matczynego miana. Saı
uprawiał własnemi rękami ogród i sad prz
domu, a za miastem łąki i rolę. Wracał c
dzień znużony i przebrawszy się zasiadał d
wieczerzy. Z rana na koniu jeździł na tar
po mięso lub rybę; czasami pomagał żonie v
kuchni, wieczorami zaś dawał lekcye językóv
łacińskiego i francuzkiego, oraz historyi i geo
grafii młodemu pasierbowi.

Dziwna rzecz, że pani Niemcewiczowa
która męża podobno kochała, przy swoicl
dostatkach dozwoliła, aby tak ciężko pra
cował.

Wszystkie podobne przygody i prac

przyjęte bywają z ciekawością i wytrwałością, póki wiek i zdrowie nie miną.

Miła towarzyszka osładzała znoje. Tak upłynęły dwa pierwsze lata ich pożycia.

„Spokojny i bezpieczny pod skromną mą strzechą,
Praca była ucieczką, sumienia pociechą;
Zorza mnie zastawała nad mym polnym zbiorem,
A domowe ognisko czekało wieczorem."

Lecz w r. 1802 Niemcewicz odebrał od Matusiewicza wiadomość o śmierci ojca i wezwanie, aby choć na czas pewien wrócił do kraju dla załatwienia interesów familijnych.

Powrócił więc do Polski, a następnie do Ameryki, gdzie znowu upłynęły mu trzy lata w domowem spokoju.

W tem dowiaduje się o zwycięztwie Napoleona i o nowych nadziejach dla Ojczyzny; otrzymuje nadto, tytułem dawnego posła, list wzywający go od Stanisława Małachowskiego. Na magiczny wyraz „Ojczyzna" pomimo oporu żony wrócił znowu do Europy, i oddał się zatrudnieniom politycznym i literackim.

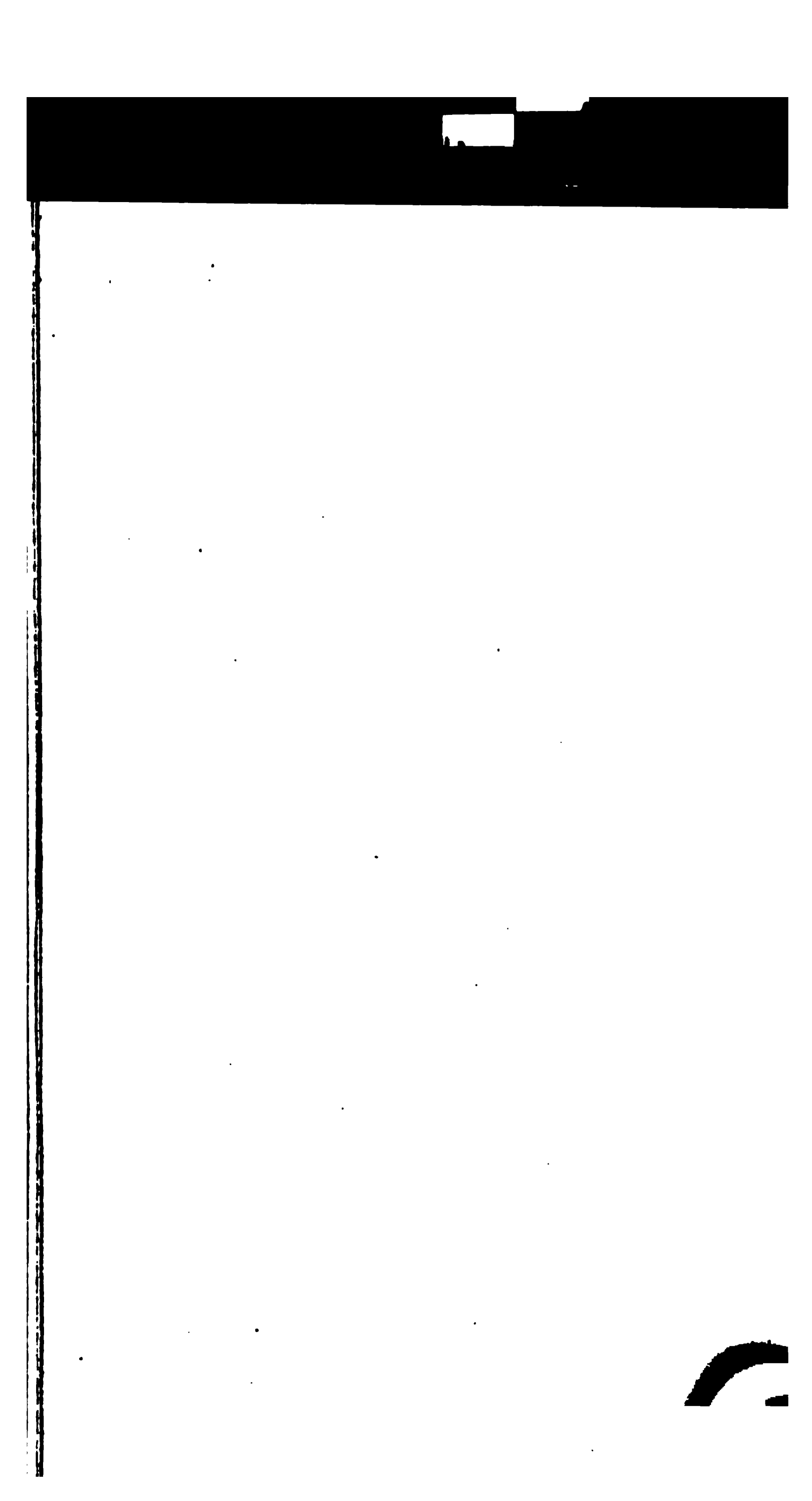
Pani Niemcewiczowa o dalszych nieszczęściach Polski i o biedach Emigracyi uwiadomiona, przysyłała zasoby mężowi, prowadziła z nim ciągłą korespondencyą, lecz sama nie przybyła do Europy; w testamencie zaś

swoim uczyniła dla męża zapis (rocznego do śmierci dochodu 600 piastrów czyli dolarów).

Zapis ten atoli nie był wiernie przez spadkobierców dochowany, chociaż pod względem wzrostu majątku, rodzina ta miała tyle do zawdzięczenia naszemu ziomkowi.

VIII.

Moja naturalizacya — Nabożeństwo Kwakrów.



VIII.

Powróciwszy z West-Point, mając jeszcze głowę nabitą dziejami rodaków rozproszonych po całej kuli ziemskiej, zacząłem się z kolei rzeczy zastanawiać i nad losem moim.

Nie dawno w Azyi po nad Uralem, obecnie w ojczyźnie Washingtona — cóż to za przemiana!... ależ ta sama siła, niewidoma potęga — mówiłem sobie — która mi torowała drogę z pustyń azyatyckich*) do zamorskiego świata, może mię też jeszcze raz popchnie z powrotem do Europy, a kto wie czy i nie do rodzinnej ziemi.

Cokolwiek bądź, postanowiłem przedewszystkiem obrać sobie jakiś punkt oparcia

---

*) Obacz:

a) **„Sołdat czyli Sześć lat w Orenburgu i Uralsku"** w Bibliotece pisarzy polskich, wydanie Brockhausa w Lipsku.

b) **„Sechs Jahre in Orenburg"** Dresden 1864.

c) **„Zlatá Praha"** (dziennik illustrowany czeski) 1864.

i o ile się da najkorzystniej czas przepędzić za granicą.

Od kilku już dni chodziłem z dykcyonarzykiem angielskim w kieszeni — gdyż grammatyki, która jest nadzwyczaj łatwą nauczyłem się jeszcze na okręcie — brakowało tylko słów.

Czytywałem szyldy kupieckie chodząc po ulicach, przeglądałem świeże gazety, robiłem co mógłem, aby te słowa jak najprędzej wlazły do głowy; wypisywałem najtrudniejsze z nich na małych karteczkach, z niemi kładąc się zasypiałem; nazajutrz zaś rano, gdy mózg mój nie był jeszcze strudzony wrażeniami dnia całego, wyciągałem owe karteczki z pod poduszki i odczytywałem je powtórnie.

Tym sposobem czyniłem tak ogromny postęp, że Francuz, mój nauczyciel dziwił się i winszował mi.

Mogąc już rozumieć cośkolwiek po angielsku, zamierzyłem chodzić na otwarte sądy, do kościołów na kazania, do teatru, a nawet jeśli będzie można znaleść sobie oblubienicę Amerykankę, jako żywy dykcyonarz.

Pomimo to wszystko, obrachowawszy się z siłami, poczułem, że dużoby potrzeba poświęcić czasu ciągłej nauce, abym mógł władać językiem dostatecznie do zajęcia jakiego sta-

nowiska w tym kraju. Przewidywałem zatem, iż lepiej będzie udać się na prowincyę Stanów Zjednoczonych, która należała kiedyś do Francyi, gdzie język mi znajomy i obyczaje pozostały francuzkie, i dla tego zamierzyłem parę miesięcy tylko zabawić w Nowym Jorku, zwiedzić osobliwości tego miasta a następnie pojechać do Nowego Orleanu.

Temi i tym podobnemi byłem zajęty myślami, gdy jakieś skomlenie w rogu izby uderzyło słuch mój. Cała rzecz, że Jakóbek, nie zawsze mogący ze mną rozmawiać, nudząc się, znalazł sobie pieska za towarzysza i uczył go służyć. Nie dość było zajmować się chłopcem, brakowało mi jeszcze pieska!...

Zbliżyłem się ku nim i wtedy dopiero zawieszone na ścianie malowidło zwróciło pierwszy raz moją uwagę. Zapomniałem i o Jakóbku i o piesku, a wzrok mój w obraz utkwiłem.

Przedstawiał on więzienie.

Przykuty do ściany urodziwy, w sile wieku mężczyzna, spoczywał na barłogu. Co najważniejsze, że był ubrany w czamarkę. Stojący przed nim kapitan statku wojennego amerykańskiego, witał więźnia wyciągniętą ku niemu dłonią. Drzwi więzienia były otwarte, a w głębi ciemnego korytarza ukazy-

wała się straż austryacka w białych mundurach.

Przebóg! zawołałem — czyż wiecznie, zawsze i wszędzie, nasuwać mi się pod oczy nie przestaną kajdany, pręgierze i szafoty; i czyż zniesiesz o wielki Boże! aby z twego pięknego świata zdarto szatę weselną, a zamieniono go w ponurą pieczarę nędzy, płaczu i narzekania?...

Nazajutrz, takie od Francuza o obrazie otrzymałem objaśnienie:

— Więzień — rzecze — który pana tak zajął szamerowaną czamarą, znany powszechnie w Ameryce, a mój niegdyś bliski znajomy — dopóki nie straciłem szacunku dla niego — nie jest Polakiem lecz Węgrem, nazywa się Kosta, dotąd mieszka w Nowym Jorku, i oto jego historya:

Za przybyciem tutaj chcąc zostać obywatelem krajowym, przystąpił do naturalizacyi przez złożenie urzędowej deklaracyi o swej chęci. Nie czekając atoli czasu przepisanego prawem do uzyskania obywatelstwa, wziął od władzy miejscowej paszport, gdzie tylko wyrażone było: *intencyonowanemu zostać Obywatelem Stanów Zjednoczonych Ameryki*, i udał się za nim do Smirny w czasie wojny krymskiej.

Konsul austryacki powziąwszy o nim wiadomość, zatrzymać go kazał jako przestępcę politycznego, który po wojnie węgierskiej 1849 r. zdołał ujść przed poszukiwaniem policyi, i uwięzić na okręcie mającym odpłynąć do Tryestu, nie zwracając bynajmniej uwagi na słaby rząd turecki.

W owym czasie stała fregata amerykańska w porcie Smirny. Nieszczęśliwy więzień dowiedziawszy się o tem, zawiadomił tajemnie kapitana fregaty o losie swoim. Amerykanin przyszedł więc do niego w odwiedziny, a następnie zażądał wydania więźnia, opierając się na zasadzie, że ponieważ Kosta złożył był deklaracyę na obywatelstwo Stanów, pozyskał tem samem prawo do opieki każdego współobywatela kraju, bezwzględnie na jego przeszłość.

Był to krok nader śmiały ze strony Amerykanina; nie będąc on bowiem naczelną władzą z Washingtonu, ani nie posiadając żadnego upoważnienia do obrony przybranego krajowca w obec rządu austryackiego, otrzymał od konsulatu odpowiedź odmowną na swe podanie, czy też nie otrzymał żadnej.

Wtedy Amerykanin, zagrzany niepowodzeniem, bierze rzecz całą na swą odpowiedzialność, stawia w szyku bojowym powierzoną

mu fregatę i zamyśla szturmem odbić austr)ackiego więźnia.

Konsulat przewidując skutki awantu niczej utarczki o jednego człowieka i do teg w cudzoziemskim porcie, wydał Kostę w rę kapitana, lecz zarazem protestował przeci jego postępkowi, drogą dyplomacyi, żądają od prezydenta Stanów Zjednoczonych skarce nia niesfornego oficera.

Tym czasem ten ostatni zabrawszy więźni przywiózł go z sobą do Nowego Jorku. N wieść o ich przybyciu, mnóstwo mieszkańcó wyległo na brzegi morza, i obydwóch wnie siono na rękach do miasta.

Kapitan dostał wprawdzie naganę o zwierzchności; lecz wkrótce ona na moc wyborów ustąpiła innej — a kapitana posunięt na stopień *kommodora* nawy amerykańskiej.

Imię Kosty przez jakiś czas było doś głośnem w Nowym Jorku — ale zdaje się że przenosił on pieniądze nad wziętość swoj — gdyż niezadługo później zaślubił tu bogat grzesznicę, należącą do liczby dewotek, któr na starość nie mogąc własnemi, frymarcz wdziękami młodych kobiet. Od tej pory rozumie się, drzwi wszystkich porządnyc domów zostały raptem zamknięte dla oswobodzonego Węgra. —

Opowiadanie to dało mi wiele do myślenia. Byłem wygnańcem na ziemi obcej, bez przytułku i opieki. Duma moja musiała ustąpić potrzebie protekcyi — zdecydowałem się więc przystąpić do naturalizacyi amerykańskiej. Kto wie na co się to przyda? powiedziałem sobie; upewnić jednak mogę, że jako obywatel nie miałem pretensyi zostać prezydentem Unii, podobnie jako szlachcic, zrodzony do korony, nie chciałem nigdy zostać królem polskim....

Poszedłem nazajutrz do City-Hall (na ratusz), do trybunału, wydziału naturalizacyi. Zaledwie tam wstąpiłem, pan urzędnik, w odzieży cywilnej, powstał, wziął Biblię czarno oprawną, zapytał mię pod jakim monarchą jestem urodzony, a potem szybko odmówił na pamięć rotę przysięgi, której z podniesioną do góry ręką słuchałem. Potem dał mi Biblię do pocałowania, z wykrzyknikiem:

— *Twenty five cents!* (25 centów, czyli dwa złote polskie).

— *Yes!* odpowiedziałem i wypłaciłem żądaną kwotę.

Wydano mi za nią drukowaną kartę z wyrażeniem roty złożonej przezemnie przysięgi wedle praw republikanckich, że: „wyrze-

kam się wszystkich królów, książąt i potentatów, a mianowicie cesarza rossyjskiego.“

A kysz! a kysz! . . . .

Przystępujący do naturalizacyi, po pięciu latach zamieszkania w Stanach północnych, licząc od daty przystąpienia, otrzymuje dopiero paszport do Europy z tytułem obywatela; a to na mocy okazanej karty trybunału, o której powyżej wzmiankowałem. W Stanach południowych (separatystowskich) naturalizacyę można było otrzymać w przeciągu lat dwóch.

Z prawdziwem zadowoleniem opuściłem City-Hall, zostawszy kandydatem na wolnego obywatela w kraju wolnym.

Po wielu latach niewoli był to nowy chrzest dla mnie!

I znowu rozpocząłem moje ulubione, praktyczne przechadzki.

Właśnie otwarty kościół przedemną.

Chociaż nie ma na kopule żadnego krzyża, żadnego posągu, dzwonnicy ani wieży, umówionych znaków, coby zwiastowały przybytek boży, powiedziano mi jednakże że to jest kościół.

Wszedłem tam, lecz jakież było me zdziwienie na widok mężczyzn siedzących rzędami w kapeluszach. Sądziłem z początku, że wstąpiłem do synagogi żydowskiej, i na-

krylem głowę, nie przez brak uszanowania dla wyznania, lecz żeby się nie różnić od innych. Szepnięto mi, że jesteśmy między *Kwakrami.*

Tyle czytałem, słyszałem, o owych pełnych prostoty, poczciwości, a surowych obyczajów i skromnych w życiu kwakrach, iż rad byłem przypatrzyć się ich nabożeństwu.

Zbliżyłem się do ławki, zrobiono mi siedzenie, zająłem je i czekałem.

Upłynęła godzina, a żaden obrządek religijny nie miał miejsca. Najgłębsza cisza panowała w świątyni. Modlitwa kwakrów była czysto wewnętrzna. Mężczyzni i kobiety siedzieli zatopieni w rozmyślaniu.

Oddać im słuszność potrzeba, iż w całem ich ułożeniu nie widać było najmniejszego roztargnienia, lecz przebijała się uroczysta powaga, wezbranie ducha, godne ludzkości i Tego, któremu w cichości cześć składali.

Oczy jednych zwrócone były ku błękitnemu niebu, co zaglądało do przybytku przez różnoszybne okna — drudzy spuszczali je ku ziemi — dziewice zasłaniały je sobie zroszoną łzami chusteczką — słyszeć się tylko dawały od chwili do chwili głuche ich westchnienia i dostrzedz można było jednostajny ruch pałającej gorącem uczuciem piersi.

W świątyni nie było żadnych ozdób, obrazów, rzeźb i posągów. Był to prosty dom modlitwy, mający w środku jednej ściany podwyższenie z umieszczoną na niem drewnianą mownicą.

Częstokroć kwakrzy, jak zasiadają w milczeniu ławy kościelne, tak też opuszczają je po skończeniu nabożeństwa, jeżeli żaden z nich nie poczuje w sobie siły ducha i daru słowa, natchnienia bożego, aby zająć stanowisko kapłana dla ogółu w przewodniczeniu mu mową swoją.

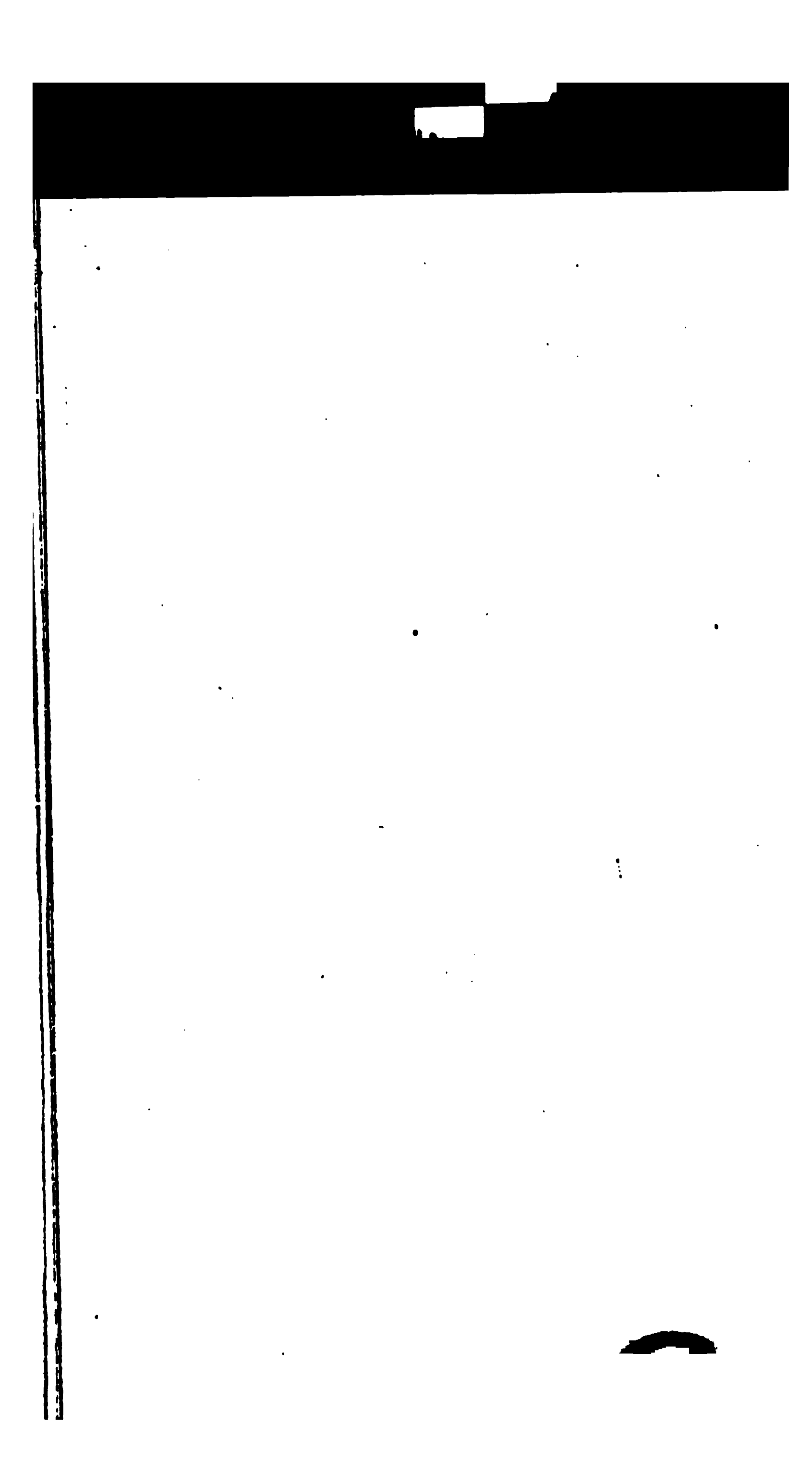
Ale na ten raz inaczej się stało. Już zabierałem się do wyjścia, gdy oto z siwą głową pochylona staruszka podnosi się powoli i postępuje ku kazalnicy. Usiadła, spojrzała okiem łagodności i słodyczy na swoich braci w Chrystusie i przemówiła do nich.

O ile zrozumieć mogłem, oprócz rozbioru textu Ewangelii, słowa jej zwrócone także były na stosunki towarzyskie, na wychowanie dzieci, obowiązki matek i przełożonych nad dziatwą. Pomiędzy wielu zdaniami wyraziła jedno, które bez wątpienia pokryteby zostało śmiesznością przez słuchaczy, gdyby ci nie byli z wiarą wstąpili w świątyni progi. Staruszka rzekła: „Za złe uważacie bracia mili, jeśli młodzież ugania się za dziewczętami... chce-

cież . . . aby panny starały się o młodzieńców?“ . . .

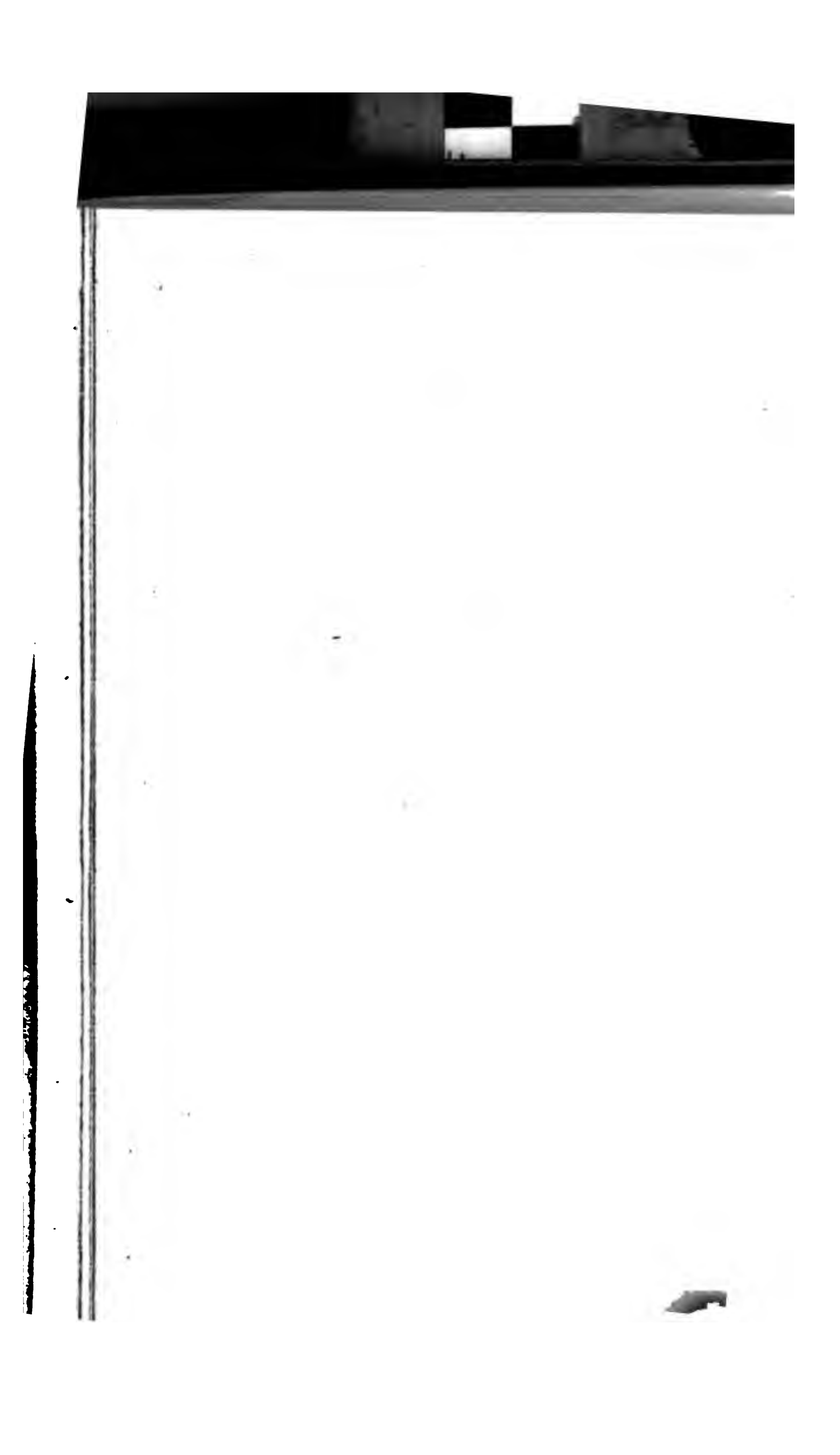
Gdy skończyła, zabrał głos młody człowiek z miejsca swego. W tym jego drżącym głosie zdawało mi się czytać z początku bojaźń bożą, którą serce mówiącego było przejęte; atoli stopniowo wolniejąc, wśród kwestyi religijnych dotykał i politycznych, a nawet ekonomii, przemysłu, handlu, i wszystkiego co człowieka obchodzić może.

Następnie całe zgromadzenie rozeszło się w prostocie.



IX.

Sekta Kwakrów tańcujących — Litwin między nimi — Mormoni — Anabaptyści — Metodyści — itd.



IX.

Ameryka północna z dawien dawna była gniazdem sekt religijnych, a wojna sprzyjała swobodzie ich wyznań i obszerne nastręczała im pole do jednania sobie licznych zwolenników.

Obecnie mieści ona w swem łonie około dwustu sekt różnych. Widziałem w Nowym Jorku nawet meczet tatarski. Nikt się tam atoli nie pyta bliźniego o jego wyznanie — tolerancya pod tym względem jest najzupełniejsza. Nie jestli ona dowodem ogólnej obojętności w przedmiocie religii?...

Do liczby propagatorów religijnych należała niegdyś nie pospolita istota, która wnet między dzikiemi pokoleniami Indyan zjednała sobie sławę prorokini i czarnoksiężniczki.

Była to Anna Lee, mówiąca wielu językami, rodem z Anglii, która jeszcze w młodości swojej przez czytanie pism religijnych, wykształciła się w teologii, a ogarnięta szałem

fanatycznym przyszła do tego przekonania, że posiada dar proroctwa i jest w możnośc objawiać wolę bożą.

Wkrótce zgromadziło się około nię grono wyznawców, którzy jej prawie bosk cześć oddawali, a kościół anglikański w obawi utraty swego wpływu rzucił klątwę na Ann i tak dalece ją prześladował, że postanowił r. 1774 udać się do Ameryki, miejsca schro- nienia i wolności dla wszystkich wyznań.

Tam przybywszy, osiadła wraz ze swym współwyznawcami w okolicach Albany, w kantonie Nowego Jorku, a utworzona sekta pod nazwą Shakers (tańcujący kwakier) wkrótce stała się znakomitą i rozległą.

Shakery wierzyli w odrodzenie i powró Chrystusa i uważali urzeczywistnienie tego w osobie Anny.

Do gromady ich łączyli się często In- dyanie i inne plemiona, które w czasie prze- chodu przez lasy i doliny, napotykały ten pod naczelnictwem Anny, wędrujący orszak.

Obecnie zajmują oni ustronną i spokojną kolonię, zwaną Niskayuma, obejmującą kilk wsi na przestrzeni kilku tysięcy akrów ziemi która jest ich własnością i którą uprawiają z wielkiem powodzeniem. Często można czytać

na afiszach gazet: „mąka kwakrów,“ „siano kwakrów,“ — bo te są najpokupniejsze.

Żyją zdala od zgiełku światowego, jakby na pustelni — wszelakoż mieszkają razem i urządzili się w sposób czysto komunistyczny. Zakład ich przypominał mi *falanster* wymarzony przez Furyego; tylko o namiętnościach nie ma tam mowy.

Kwakrzy ci czczą dotąd Annę Lee, założycielkę ich zakonu. Wierzą, że pani Lee — jakkolwiek sama żona ślusarza — narzuciła dogmat bezżeństwa dla zbawienia ich duszy. Potrafiła ona wmówić w sekciarzy, że koniec rodzaju ludzkiego byłby rzeczą najpiękniejszą. Naturalnie, że i sekta musiałaby jeszcze wprzód zaginąć, gdyby jej wyznawcy nie byli się chwycili ostateczności, ciągłego tworzenia nowo-nawróconych.

Wszelkie rozkosze cielesne są u nich najsurowiej zabronione. Dla tego też matka Anna zdołała tylko zgromadzić pierwiastkowo około siebie po większej części stare panny, które nie mogąc już kosztować słodyczy światowych, czyniły sobie zasługę z opuszczenia tego padołu w czystości.

I proszę sobie wystawić, że i tam nawet, w owym zakładzie, tak mało mającym powabów i ponęty, tam nawet napotkałem Polaka,

rodem z Litwy, wcale nie źle wykształconego pod względem naukowym, który zaniewieruszył się tam i zapisał do bractwa Kwakrów. Nazwiska jego nie wymieniam. Powrócił już na łono rodziny swej, dosyć zamożnej, w Polsce. Podejrzywałem go o wadę próżniactwa. Jakoż, i między Kwakrami wytrzymać długo nie mógł, bo i tam pracować potrzeba było.

— Dokąd to ojciec kwakier zdąża? dzień dobry!... zawołałem, spostrzegłszy go później na ulicy w Nowym Orleanie.

— A bracie, już wystąpiłem od Kwakrów... niech ich tam! — rzecze — i ot, jestem znowu w kłopocie... przeprowadzam się... gospodyni, jędza Irlandka, dała mi się we znaki, a z góry za kwaterę kanalja płacić sobie kazała...

— I cóż myślicie teraz robić?

— Myślę pojechać do Kalifornii, kopać złoto....

Mimowolnie spojrzałem na węzelek, który rodak nasz trzymał pod pachą.

— Nie mylisz się bracie, nie mylisz — dodał — wszystkie moje manatki są w tej paczce... oprócz świeżego kołnierzyka, co go noszę w pularesie.

Los, jakiemu popadł ziomek ów, spotkał niestety nie jednego i nie setnego, co popły-

nął dla zrobienia fortuny do wielkiego *majaka*, zowiącego się Ameryką.

Lecz wróćmy do Kwakrów.

Mężczyzni mają za ubiór kapelusze szerokie, spancerki, spodnie i kamizelki koloru cynamonowego, i białe chustki na szyi — kobiety suknie szare i czepki fałdowane. Ubiór ten jest czysty i schludny.

Podczas nabożeństwa każdy z nich może być mówcą, podobnie jak u kwakrów zwyczajnych; lecz nabożeństwo różni się tem, że nie modlą się w milczeniu jak tamci ale w śpiewie, i że na dany znak każdy z mężczyzn stanąwszy naprzeciwko jednej z przybranych sióstr i ująwszy ją za ręce, podryguje z nią w miejscu na znak wesołości, trzymając się dosłownie wyrażenia Biblii: „Bądźcie prości jako dzieci“... *itd.*

W ich urządzeniach jeden rys jest chwalebny, a to że nie wymagają ani rekomendacyi która najczęściej bywa stronną, ani prób, rekolekcyi i examenów, zgoła żadnych formalności od bliźniego, chcącego się zaciągnąć do ich grona. „Chcesz należeć do nas — powiadają oni — dobrze! dzielimy się z tobą wszystkiem, lecz pracuj, podobnie jak my pracujemy. Zobaczymy wreszcie, i poznasz sam wkrótce, czy ci będziemy dogodni.“

Do każdego używają zaimka osobistego *ty*.

Ze wszystkich sekt w Ameryce najgłośniejszą się stała za naszych dni, tak przez swą oryginalność, jako przez silną organizacyą i ogromny wzrost, sekta Mormonów, mająca głównie swoich agentów w Londynie i Liwerpoolu, zkąd liczni do niej zjawiają się przybysze.

Oskarżona o szkodliwe zasady, jakoby mające na celu wywrócenie porządku społecznego, wzmogła się wszelakoż w liczbę wyznawców.

Wiadomo, że sekta ta została założoną przez niejakiego Smitha, który dowodził, jakoby znalazł tablice złote, na których prawo boże było wyryte i przekazane do objawienia jemu, Jozuemu Smithowi, przez patryarchę Mormona przybyłego z Palestyny do Ameryki.

Prawo to — powiadają — wyczytać on miał w rękopisie nie wydanej powieści, przez pewnego pastora, który wpadł przypadkiem w jego ręce.

Ów Smith został wtrącony do więzienia i tam zamordowany w chwili rozlewu krwi o religię, którego Mormoni doznawali, pomimo wolności najdziwaczniejszych nawet

wyznań w Ameryce, wszędzie gdzie tylko odkryto ich osady.

Prześladowani schronili się ku rzece Mississipi, w okolicę miasta St. Louis, zbudowali tam świątynię w ogromnych rozmiarach, mogącą pomieścić 3000 osób, i w nieznanym dotąd stylu — gdzie na nowo ścigani bronili się zapamiętale, wytrzymali oblężenie, lecz pokonani, uprowadzić zaledwie zdołali swoje trzody.

Do tego czasu pozostały w małem miasteczku Nauwoo rumowiska ze zburzonej tej świątyni w 1848 r. Kosztowała ona pół miliona dolarów, czyli 4,000,000 przeszło złotych polskich.

Na tem to miejscu obrał sobie później mieszkanie p. Cabet, mistrz tak zwanych Ikaryanów, co jak wiadomo porzucili z nim Francyę i przybyli do Ameryki w celu zastósowania tam do praktyki swoich zasad komunistycznych.

Mormoni założyli ostatecznie rozległe kolonie w obwodzie Utah nad *Jeziorem-Słonem* (Salt-Lake), gdzie nie ma ryb wcale; wprowadzili rolnictwo, przemysł, rękodzieła, kuźnie, szkoły, biblioteki, domy przytułku dla emigrantów, drogi żelazne, maszyny wszelkiego rodzaju, a to wszystko siłą stowarzyszenia.

Rząd obawiał się, aby przez szybki wzrost sekta ta nie zwiększyła swej ludności do liczby mogącej składać Stan czyli kanton w kraju, gdyż miałaby w ówczas swych reprezentantów w senacie i w izbie prawodawczej.

W r. 1858 gdy powzięto wieść, że armia związkowa ma nacierać na Mormonów, ci założyli u siebie fabrykę karabinów, rewolwerów, dział, kul, prochu, i groźną przybrali postać, pod dowództwem swego naczelnika Brigham Joung. „Jeżeli mamy silną wolę — przemawiał do nich — posłać wrogów naszych do piekła, żadna potęga nie jest w stanie nas pokonać, gdyż było mi objawionem, że nie pozostanie ani źdźbła trawki na paszę dla koni nieprzyjaciół naszych!“ . . .

Skończyło się jednak na tem, że Utah, mimo oporu, został wcielony do rzeczypospolitej.

Mormoni, wprost przeciwni zasadzie Kwakrów (Shakerów), przyjęli u siebie wielożeństwo i nazwali się *świętymi dni ostatnich.* Oto wina, za którą starano się ich zgładzić z globu ziemskiego. Mówią oni, że Pismo S^{te} jest jako skała, na której wiara się ich opiera; że pierwsi patryarchowie wprowadzili wielożeństwo, i że jest ono wielce użyteczne dla domu z powodu rozdziału pracy pomiędzy

małżonki. Mianują się być pochodzenia żydowskiego i naśladowcami Chrystusa.

Donosiły gazety, że widziano naczelnika Mormonów, za którym jechał orszak złożony z szesnastu niewiast. Wszystkie były jego żonami i każda trzymała małego dzieciaka.

Cokolwiek bądź, fałszem są owe liczne a niesłychane, potworne pogłoski o obyczajach Mormonów, rozsiewane w celu oczernienia ich przed światem. Sekta ta, podobnie jak wiele innych pierwiastkowych, bredzi, uważa się za doskonałą, nieomylną, prześladowania ją drażnią, nie cierpi wszystkiego co się z jej nauką nie zgadza, co nie jest do niej podobne, prześladuje nawet sama będąc prześladowaną, dopóki postępowo nie dojrzeje, zapatrując się na dzieje przejść swoich. Wielkie prawdy zdobywają się tylko długiem doświadczeniem i przez długą walkę z sobą samym i z nieprzyjaciołmi swymi.

Przykłady tego dają nam Kwakrzy i krwawi niegdyś Anabaptyści, uchodzący dziś wszakże za najmoralniejszych ludzi na świecie.

Od dwóch już lat nawet (w 1863 r.) sekta Mormonów zrobiła pewien postęp za pośrednictwem p. Moris, który wprowadził w nią rozdwojenie, zdoławszy pozyskać stronników będących tego co i on przekonania, że wie-

łożeństwo jest doktryną najszkodliwszą w sobie i poniżającą rodzaj ludzki.

Obecnie 40 kobiet Mormonek wystąpiło gotowych w razie potrzeby do walki w obronie prawa jednożeństwa.

Księga ustawodawcza Mormonów, która jest przetłomaczoną i wydrukowaną, nosi cechę pewnego racyonalizmu. Jeden z jej artykułów wyraźnie opiewa: „Nie zdarza się, aby głos ludu żądał czegoś coby się sprzeciwiało dobru; lecz trafia się często, że mniejszość wymaga tego co nie jest dobrem. Dla tego prawem naszem jest rządzić się wolą ludu.“

Szczególna rzecz, że człowiek pomimo postępu oświaty, zdaje się być pod pewnym względem jednym i tymże samym zawsze i wszędzie. Najdziwaczniejsze kłamstwa znajdą do niego prędzej przystęp, aniżeli zbawienne prawdy, byle tylko były one zręcznie pokryte płaszczykiem jakiejś tajemniczej cudowności, nadzwyczajności, wyrażone językiem niezrozumiałym, ciemnym, mistycznym.

Mamy uderzający przykład na Mormonach, że kłamstwa takie, szkodliwe teorye, w kraju najwięcej postępowym i w czasach najnowszych, działały na umysły gorące, skłaniały do najwznioślejszych ofiar, wiodły do

heroizmu i męczeństwa, pod sztandarem fałszu, który czczono jako prawdę.

Zachodzi pytanie, czy Jozue Smith ze swojemi tablicami był szalbierzem, czy też chorym na umyśle?...

Uczeń jego, nazwiskiem Snow, który skreślił życiorys swojego mistrza, oznajmił, że Jozue w pierwszej młodości już miał stosunki z duchami; że w szesnastej życia wiośnie przybywali do niego z wizytą aniołowie; w dwa lata później, na jednem z takich sławnych posiedzeń, (21 września 1823) Serafin powiedział mu, że Indyanie Ameryki Północnej są niby szczątkami zagubionych pokoleń Izraela, o których Pismo wspomina; że tablice historyi tych pokoleń zostały ukryte w ziemi przed czternastu wiekami na wzgórzu Cumorah w kantonie dzisiejszego Nowego Jorku, i że on jest wybrany dla odkopania tych tablic, podstawy nowego kościoła.

Smith miał je znaleść dopiero w kilka lat później po objawieniu, 1827 r. Widzieli i dotykali je tylko dwaj jego przyboczni sekretarze. Były one wprawdzie nieznanego pisma, lecz obok nich Smith miał szczęście odkryć okulary z przezroczystego kamienia, przez które sam jeden czytać je i wykładać umiał.

Wszystko to być może, jednakże ja to między bajki włożę.

Jeżeli w najodleglejszej starożytności Numa Pompiliusz zasięgał rady u pięknej nimfy Egeryi; Mahomet porozumiewał się z gołębiem; Mojżesz, sam jeden mądry wśród tłumu ciemnego ludu, widział cud w krzaku gorejącym i sam czynił cuda; car udawał natchnionego, niby pomazaniec boży w obec *czerni nieproswieszczennoj*, — temu wszystkiemu bynajmniej się nie dziwię — ale że w obecnym czasie, w kraju chrześciańskim, a nadewszystko w Ameryce, mogły się przyjąć mniemane tablice i okulary Smithowe, i zrobić tam rewolucyą, nie przynosi to zaszczytu Stanom Zjednoczonym i całej ludzkości.

Fałszywi mesyasze, gdy im świat stary odmówił chleba i soli, rzucili się do nowego.

Protestanci Metodyści stanowią oddzielną sektę, którą można nazwać *kościołem wojującym*. Ośmiu jego biskupów są w ustawicznym ruchu; jego księża przenoszą się bezustannie z miejsca na miejsce, prowadząc życie, że tak powiem koczujące; rozdają Biblie i inne druki religijne, nawracają więźniów, pocieszają chorych. Misyonarze ci zbierają pod gołem niebem *meetingi*, gdzie odbywa się

często duchowna polemika, która zdawać się może nieco lekkomyślną tym, co nie przywykli do podobnego rodzaju zgromadzeń i mowców.

Metodyści, podobnie jak Baptyści, zajmują się najwięcej klasą ubogiej ludności, zaniedbanej przez Episkopalistów, Presbiteryan, Unitarystów i Kongregacyonistów, w kościołach których nie ma miejsca dla biednych, a jeśli są, to poniżające.

Metodyści i Baptyści przeciwnie, otwierają kaplice dla owej klasy roboczej, jednak opuszczonej; język ich też jest pełen goryczy przeciw kościołom przywłaszczonym przez bogaczów.

Rzeczywiście, kościoły one należą do pewnych zgromadzeń; pastorzy w nich są niejako urzędnikami płatnymi i zależnymi od tychże. Gdy im kościół jest niedogodny, sprzedają go innemu zgromadzeniu lub przenoszą na inne miejsce.

Kościoły są podzielone na akcye, a ławki w nich przedstawiają wartość kuponów tychże akcyi. Ławki pierwszych rzędów, wyobrażające największe kapitały, są zajmowane przez akcyonaryuszów należących do najwyższej arystokracyi pieniężnej.

W ławkach drugiego rzędu zasiada arystokracya mniejsza, i tak dalej. Ławka ko-

ścielna jest wartością na giełdzie, podobni
jak każda inna. Za jednym rzutem oka możn
widzieć w świątyni pańskiej, który śmiertelnil
jest najbogatszy. Wszystkie ławki są zamy
kane, klucze od nich posiadają właściciele.

Znajduje się wprawdzie parę niezamyka
nych i bez poręczy przy drzwiach, prze
znaczonych dla przybyszów nieposiadającycl
akcyi ani nie płacących pensyi pastorowi; lec
nikt nie chce tam siadać. W obec Bog
wszyscy winni być równi; a i w kraju demo
kratycznym równość obywatelska jest podstaw
prawa!...

Gdy pastor jest zamożny i swoim koszten
wybuduje kościół, wtedy wypuszcza ławk
w dzierżawę drogą licytacyi. Ochotnicy d
pierwszych miejsc wbijają się na tych licy
tacyach do sum szalonych, aby je uzyska
przemocą złota — za co pastorzy nie zwykl
się gniewać.

Nie wiedząc o owych zwyczajach, zasze
dłem raz w Niedzielę do pięknego i wielkieg
kościoła w gotyckim stylu, przy jednej z uli
Nowego Jorku. Był to kościół episkopalny
W miejscu wielkiego ołtarza stało podwyż
szenie, na którem wznosił się pulpit z rozło
żoną na nim księgą; stojący przed nim pasto
nader przyjemnej powierzchowności, trzymają

szkiełko tłómaczył słowo ewangieliczne czystym i dźwięcznym głosem.

Chcąc mu się lepiej przysłuchać, postąpiłem naprzód, ale za zbliżeniem się do pierwszych ławek, nie wiedziałem gdzie się podziać, gdyż były one z osobami pozamykane, a wnijść na podwyższenie do pastora nie miałem wielkiej ochoty. Obejrzałem się do koła i obaczyłem, że sam jeden pośród siedzących stoję, jak na widowisko. Korciło mię to trochę, nie śmiałem jednak zaraz za przyjściem zawrócić się z powrotem.

Lecz otóż jakiś grzeczny, podeszłego wieku jegomość, podnosi się, otwiera swe drzwiczki, lubiąc zaś zapewne siedzieć z brzegu, zaprasza mię do środka ławki.

Wszedłszy tam ujrzałem się nagle obok gładkiej i strojnej jejmości. Ma się rozumieć, skłoniliśmy się sobie oboje. Ławka mieściła w szufladzie mały księgozbiorek na pokarm duchowy, gdyż skoro kazanie się skończyło i rozpoczęły się kantyczki, piękna pani wydobyła jednę książkę z nutami dla siebie, a drugą dla mnie, i otworzywszy ją ukazała paluszkiem stronę, którą wraz z nią i z innymi pobożnymi śpiewać byłem winien.

Ale, jak to mówią, i okulary nie pomogą kiedy czytać nie umiesz. Skłoniłem się więc

powtórnie Amerykance za jej uprzejmość z największą gracyą na jaką się zdobyć mógłem i złożyłem ofiarowaną książkę.

W pół roku potem, gdy opowiadałem jednemu z moich dobrych znajomych o tem zdarzeniu, zawołał:

— Człowiecze, coś ty uczynił? Gdyby drugi Dżengiskan, lub jaki inny pazurant napadł był na Nowy Jork, nie byłby zrobił tyle wrażenia na Episkopalistach, ile twoja nieproszona wizyta w ich loży.

Wolność amerykańska sprzyja rozwijaniu się sekt. Dla tego też wyradzają się tam łatwo najrozmaitsze stowarzyszenia.

Jedno z nich, Milleristów, wierząc w bliski koniec świata, stało się przyczyną zawichrzeń, które nabawiły kłopotu policyę.

Nie trzeba szukać daleko, aby okazać tę łatwość tworzenia się amerykańskich związków religijnych. Oto obwieszczenie, które niedawno czytano na rogach ulic w Bostonie:

„Uprasza się, abyście przeczytali i przybyli na zgromadzenie ogólne Chrześcian wierzących: w osobiste i bliskie zstąpienie Chrystusa; w zmartwychwstanie umarłych; w nieśmiertelność sprawiedliwych tylko, w zupełną zagładę złych.“

„Posiedzenie odbędzie się w Chapman-Hall, we wtorek 9 kwietnia b. r. o godzinie pół do pierwszej po południu.“

... — I co też pan myśli o owych tak licznych sektach?.. zapytałem raz siedzącego w wagonie obok mnie Amerykanina.

— Im więcej ich będzie — rzecze z najzimniejszą krwią — tem lepiej dla naszego kraju.

— Jakto? zawołałem, nie dowierzając, czym dobrze dosłyszał.

— Nie ma się co dziwić — my lubimy różnice religijne, bardzo je lubimy. Są one — rzecze dalej — rękojmią naszego bezpieczeństwa, gdyż żadna z sekt nie mogąc stać się przeważną, nie zagraża naszej wolności.

X.

Yankee, typ Amerykanina — Praca, praca! — Ptaki składające guano.

X.

Amerykanin, co tak obawiał się utraty wolności, p. John F..., jechał z Nowego Jorku w jednę ze mną stronę. Po bliższem zapoznaniu się, postanowiliśmy zatrzymać się u wodospadu Niagary, a następnie odbyć razem podróż do miasta Cincinnati, leżącego na drodze do Nowego Orleanu, gdzie mieliśmy rozstać się z sobą.

W cudzych krajach mam zwyczaj wpatrywać się w ludzi, ażeby módz pochwycić typy narodowe. Badanie podobne wymaga cierpliwości i uwagi, gdyż z postępem ogólnej oświaty ludzie zbliżają się coraz więcej podobieństwem do siebie, wydatne postacie zacierają swą oryginalność.

W tej chwili, gdy rozpamiętuję przeszłość moją w Ameryce, i gdy przedstawia mi się obraz pana John F..., wnoszę, iż był on prawdziwy, najczyściejszej rasy *yankee.*

Czy wiecie, kto to jest *yankee?*...

Jest to handlarz w całem znaczeniu tego wyrazu, krwi anglo-saxońskiej, chudy, mający czaszkę w tył przedłużoną, owalną, w której środkowe siedlisko rozumu i woli jest rozwinięte kosztem skrajnych komórek, gdzie mają przemieszkiwać wysokie myśli, szerokie poglądy i wielostronność. Czoło jego nad oczami jest rozdęte czynnościami rozumu; — lecz za to dolna część twarzy będąc w zaniedbaniu, jest stosunkowo bardzo zwężoną.

Całkiem przeciwnie jak u nas, gdzie szczęki i zęby mając więcej do roboty, bywają rozwinięte.

Yankee nosi kapelusz w tył zadarty, surdut brunatnej barwy i wielki parasol w ręku.

Jest najczęściej zamyślony, oko ma bystre i przenikliwe, usta ruchome choć zamknięte, policzki wystające od prymki tytoniowej, którą przeżuwa i po której ciągle spluwa, mówiący angielszczyzną nosową, z rękami w kieszonkach od kamizelki i z nogami zadartemi na okno, stół, lub krzesło.

Przechodząc około hotelu lub kawiarni, najprzód się postrzega owe nogi w oknach. Słyszałem cudzoziemców, szczególniej Anglików oburzonych tym widokiem i nie chcących

zrozumieć, że yankee, którego głowa wiecznie jest zatrudnioną licytacyami, karczowaniem lasów, to kopaniem kanałów i tysiącem innych a śmiałych przedsiębierstw, nie ma czasu ani chęci współubiegać się o zgrabne ułożenie z elegantem z Westminsteru.

Ogniskiem domowem yankeego jest szybkowóz na drodze żelaznej — jego meble: torba podróżna i gazeta.

Jeśli ma córkę, nie daje jej posagu: kto ją kocha, weźmie ją i bez pieniędzy; — jeśli ma syna szesnastoletniego, powiada mu: „Rozpuść chłopcze skrzydła i marsz w świat! toruj sobie drogę jak ja torowałem moją; gdy sobie dobrze pościelesz, to się dobrze wyśpisz; zbieraj dla się owoce pracy, jak ja je zbierałem. Nic ci nie jestem dłużny i ty nie będziesz nic winien swojemu synowi; prawo sukcesyjne, mówiąc nawiasowo, nie jest u nas obowięzujące; a jeśli co zostanie po mej śmierci, tem lepiej dla ciebie!“..

I pędzi dalej, i miłość ojcowską zagłusza szalonemi spekulacyami.

Zapytaj go o kapitał, wykaże ci ogromny; lecz jest w nim zaledwie dziesiąta cząstka jego własnego, którym obraca; połowa wzięta w towarach na kredyt — a reszta leży w

planach na przyszłość, które dopiero w mózgu mu się roją.

I z kądże pochodzi ten duch osobistości trawiący siłę moralną? Cywilizacya nowoczesna, przebiegłszy krwawe drogi, miałażby posłużyć jedynie człowiekowi do powrotu na punkt materyalnego wyjścia?...

W żaden sposób przypuścić tego nie mogę!...

Sądzę raczej, że naród młody, potężny pracą, gdy zdobędzie sobie byt wśród cierni i mozołu, gdy zostanie otoczony nie pustynią, lecz sadem wydającym słodkie owoce; gdy nie potrzebując walczyć z dziką przyrodą, tem samem ulży swojej ciężkiej pracy, co go ciśnie do ziemi; zrobi w ówczas postęp w dziedzinie ducha, gdyż to jest naturalnem następstwem.

Często słyszałem użalających się Polaków w Ameryce „gdybym tak był pracował w Polsce — mówił nie jeden z nich — tobym sobie już dawno majątek zebrał.“ —

Trwałość pracy, stale wymierzona w całej Ameryce, stanowi dziesięć godzin dziennie i trwa zwykle od 7 do 12 z rana i od 1 do 6 po południu. Oprócz tego w potrzebie pracować należy po nad czas oznaczony, co jednak osobno bywa wynagrodzone.

Sposób pracowania jest zupełnie inny niż w Polsce. Przybądź - no tam kto z lenistwem, prędko odzwyczaisz się od niego. Albo nic nie zarobisz, albo wypędzisz z siebie próżniaka.

Nie napróżno mówi każdy rzemieślnik co się dostał na tę półkulę, że trzeba rozpocząć na nowo swój zawód nauką. — Jego czynność równie jak chód nawet muszą być odmienne w Ameryce, bo tam godzinę odbywa się w czterdziestu minutach.

Proszę się przypatrzyć *np.* polskiemu murarzowi — jak on stoi przy cegłach, których ma użyć do stawiania muru, jak wprzódy trzy razy opatrzy każdą, dwa razy obróci, potem nałoży fajkę, zapali, przywoła chłopca z wapnem i znów cegłę obróci, aż póki ją położy.

Ten sam murarz w Ameryce w tym samym czasie złoży dziesięć cegieł lub kamieni. Dom murowany postawiony zostanie (wprawdzie z pomocą maszyn) we dwa tygodnie; w Polsce potrzeba na to dwa lata.

Ale bo też tam całkiem dzieje się inaczej! Naprzykład aby wstawić okna potrzeba zaledwie jednego dnia, bo pójdziesz do fabrykanta okien, kupisz jedno podług miary, fabrykant w 10 minut przywozi ci wszystkie

przed dom i póty nie odejdzie póki nie zo staną wstawione.

Wieleż to czasu na to u nas potrzeba?..

U nas chcąc wstawić piec musisz pójś do kupca po kafle, potem do murarza, potem u blacharza obstalujesz rury, potem przy chodzi murarz by wybić dziurę, potem przy chodzi blacharz by rury wstawić. Musi iś spiesznie robota, aby zapalić w piecu z tydzień. W Ameryce idziesz po prostu d sklepu, wybierzesz piec gotowy, a za godzin stoi on przyrządzony w twoim pokoju.

U nas aby sporządzić lada drobnostkę przychodzi najprzód majster, wydobywa miar i mierzy pół godziny, potem w pare dn przysyła czeladnika, a ten znów mierzy i od chodzi, by przynieść czego potrzeba; potem zaczyna się robota; potem przychodzi znów majster i przypatruje się robocie czeladnika w końcu przynosi rachunek.

W Ameryce odbywa to wszystko san majster w kwandrans, a czeladnika nie odrywa od warsztatu. Lecz w Polsce majster jes wygodnicki, chorujący na pana, na nieszczę śliwego *wielmożnego.*

— To nie moja rzecz! — mówi dla tego tylko, że się wstydzi przejść przez ulicę ze

sznurem w ręku, aby go nie obaczył kancelista co się umizga do jego córeczki.

W Ameryce ujrzysz bogatego kupca, gdy nie raz dopomaga stróżom zdjąć pakę z wozu. Pójdź tam, a w jednym roku odrzucisz przesądy. Ileż to Polaków, co byli pieczeniarzami u siebie, prowadzili wygodne życie cudzym kosztem mimo pogardy towarzystwa, ciągłego ubóstwa, zaczęli swój zawód w porcie Nowego Jorku, znosząc towary ze statków, a dziś krociowymi są kapitalistami.

Robi to nie małe wrażenie, gdy po długim pobycie w Ameryce północnej wróciwszy do Europy jest się uważanym według stanu lub rangi; gdy tam każdy się przyzwyczaił do prostego miana „sir" (pan). Pan N. N. według potrzeby to albo inne zatrudnienie prowadzi, a o które nikt nie ma prawa ani śmiałości go zapytać.

W Ameryce nie jest się literatem lub drukarzem, lecz panem X., dziś właścicielem, wydawcą lub współpracownikiem dziennika, jutro czcionkoskładaczem i posiadaczem prasy parowej.

Pan X. był zeszłego roku nauczycielem, a po czterech lub pięciu latach staje się dyplomatą, archeologiem, albo prezydentem jakiego Stowarzyszenia przemysłowego. Może

też odkupić od pana Z. dobra ziemskie, a o
pana Y. skład sukien; praktykuje przyten
jako doktór, ma udział w jakiej firmie adwo
kackiej, lub jest pułkownikiem w milicyi,
Bóg wie czem. Słowem, zmienia on zajęci
jak koszulę, byle wynikiem jego zachodów
była brzęcząca moneta.

Mało jest w Ameryce ludzi powołania
lecz są ludzie *zatrudnienia*, miłujący prac
nadewszystko, jako najpewniejsze źródło bo
gactwa krajowego.

Yankee, mój towarzysz podróży — wedł
jego własnego opowiadania — był w młodośc
prywatnym nauczycielem języków, następni
przez długi czas dentystą; że zaś miał nie
szczęście nadwerężyć szczękę jednej damie
która zepsuła mu wzięcie przez ogłoszenie g
w pismach publicznych jako niezgrabijasza
— porzucił więc rzemiosło i zajął się dosta
wianiem do Europy nawozu ptasiego, zwaneg
guano, na czem ogromną zrobił fortunę.

Przed opuszczeniem Hawru widziałen
tam w przystani okręt naładowany workam
napełnionemi *guanem*, delikatnym i miękkin
proszkiem czokoladowego koloru, sprowadzo
nym dla rozproszenia go po polach w celt
użyznienia takowych. W niemiły sposób

raził on me powonienie mocnym zapachem amoniaku.

Obecnie, gdy handel *guanem* nabrał tak wysokiego znaczenia na całym świecie, nie od rzeczy będzie poznajomić czytelnika z peruwiańskiemi ptakami, znoszącemi *guano*.

Gniazdo ich, ciekawy i malowniczy to obrazek!

Rzecz doświadczona, że te narody są najbiedniejsze, których ludność ubiega się jedynie za poszukiwaniem drogich kruszców i kamieni na ziemi swojej, a zaniedbuje uprawę roli. Podobnie się stało z prowincyą Peru, gdy najezdnicy Hiszpanie rzucili się tam z chciwością do kopalni złota. Rolnictwo tej kwitnącej prowincyi upadło i nie podniosło się aż do r. 1840 — *guano* poszło w zapomnienie.

W tem, jeden z przyjaciół pana John F..., podobny do niego *yankee*, nazwiskiem Franciszek Quiros, zjawia się w Limie, staje przed rządem peruwiańskim i prosi o wypuszczenie mu w arendę *guana*, ofiarując za wywóz rocznie 10,000 piastrów (80,000 *złp.*).

Niespodzianka ta zwróciła uwagę publiczną. Zaczęto szperać i dowiedziano się, że nawóz ten przedawano już cichaczem od

niejakiego czasu w Anglii po cenie 140 pi strów za beczkę.

Wypuszczono go więc w dzierżawę ı pięć lat, lecz za cenę 480,000 piastrów; ı upływie tego czasu w r. 1847 rząd zachował d siebie prawo wywozu drogiego produktu.

W 1852 r. handel *guana* wzrósł w taki postępie, iż przyniósł 4,500,000 piastrów d chodu.

O kilka mil od brzegu peruwiańskieg znajdują się wyspy, czyli raczej grupa sk zwana Chinchas, nakryta pokładem, gruboś około piętnastu łokci, nawozu *guano*, zbiteg ciężarem wieków na masę. Pył ulatujący niej wpada do gardła, zamienia się w klej watość, przenika odzież, osiada na oczach, uszach, lecz nie jest szkodliwy zdrowiu. Em granci Chińczycy są użyci przez rząd Lim do ładowania okrętów tym towarem, pod d zorem urzędników celnych.

Ileż to potrzeba było wieków i ile miry dów ptastwa do złożenia takiego zapasu!.

Lecz jest to bogactwo, które wkrót wyczerpane zostanie.

Niezmierny napływ drobnych ryb oko wybrzeży, ma być przyczyną gromadzenia s tam ptaków karmiących się niemi. Chmu tych ptaków żeglują w powietrzu po na

wodą, i na raz, jakby na komendę, całe ich pułki rzucają się z szybkością na powierzchnią morza i ulatają na skały, do swego siedliska, każdy ze zdobyczą w dziobie.

Po uczcie zasiadają spokojnie na wodzie, aby odpocząć. Zajmujący widok jak one się szykują gromadami — każda gromada obejmuje gatunek.

Pelikany stanowią najpowabniejsze grono. Gatunki owe różnokolorowego ptastwa nigdy się z sobą nie mieszają, każdy pilnuje swojego obozu.

Są one protegowane przez rząd miejscowy; płaci ten karę kto się ośmieli je płoszyć; niegdyś groziła za to kara śmierci. Dla tego tak są one obłaskawione, że zaledwie ustępują z drogi tratwom płynącym po zabór ich *guana*. Nadewszystko pelikany, przeprowadzają wzrokiem statki i witają ludzi spokojnie swym klekotem z taką powagą, jak gdyby rozumiały użyteczność usługi jaką im świadczą.

Wyspy Chinchas są nie tylko gniazdem, dziedziną, gdzie składają jaja, ale zarazem ich cmentarzem. Pokój, którego tam doznają przez ciąg całego żywota, sprawia, iż obierają te miejsca za swą mogiłę.

— Poczciwe ptaszki! pomruknął p. John, kończąc opowiadanie.

— Z całą serdecznością zajrzały do p
skiej sakiewki — rzekłem — aby ją zamie
w róg obfitości.

Yankee nic nie odpowiedział, lecz
uśmiechem zadowolenia pogłaskał się po b
dzie i włożył świeżą prymkę do gęby.

XI.

Drogi żelazne — Gawęda w wagonie — „O! yes“ — Wodospad Niagary.

11*



XI.

Kilkanaście tysięcy mil kolei przeżynającej jak siatka żelazna ląd Unii, jest bez wątpienia, w braku innych, pomnikiem kraju. Jeśli w Polsce odległość miast liczy się na dziesiątki mil, to w Ameryce na seciny. Znijdź jeno z kolei, a ujrzysz się w pustyni, nie wiedząc jaką drogę sobie obrać, jak przebyć strumienie i bagna, gdyż Amerykanie mało się zaopatrują w szosy, żadnych gościńców bitych nie lubią, lecz wszystkie z żelaza.

Parowce i wagony są u nich nierównie większe niż w Europie i wygodniej urządzone. Każdy wagon ma drzwi na obu końcach, na przodzie i z tyłu, w podłuż próżne miejsce, na stronach zaś poprzeczne rzędy ławek, i nie jest podzielony na żadne przegrody.

Podobne urządzenie widziałem także w niektórych okolicach w Szwajcaryi.

Kto chce, może chodzić w odwiedziny z ostatniego wagonu do pierwszego, lub sta-

nąwszy na jednej z galeryi pomiędzy dwom
wagonami, przypatrywać się wygodnie okolic
zmieniającej co chwila obrazy; bieg pa
rowców amerykańskich jest daleko szybsz
od naszych.

Ale za to w miejsce wspaniałych domów
na stacyach, ogrodów i kiosków, obaczysz
najczęściej zaledwie wielką chałupę z tarcic
która mieści bióro, telegraf i oberżę razem
Po nad wodą ujrzysz zarzucone belki be
pomostu z przybitemi na nich szynami, i ok
twe zatapia się w otchłani, po nad którą prze
jeżdżasz.

Tunele są bardzo rzadkie, gdyż kraj jes
w ogóle równy, monotonny. Nie ma przy
drogach wsi o rozległych zabudowaniach, lecz
drobne osady zwane *fermy;* bo tam właści-
ciele wielkich obszarów nie wyszliby na swoj
(wyjąwszy w prowincyach, gdzie posługują
się niewolnikami).

Kraj świeży, niewykarczowany, obszerny,
a ludzi w nim mało; cena więc rąk jest droga
i trudno o nie. Drobny *fermer* więcej sto-
sunkowo zarabia od wielkiego dziedzica. Czło-
wieka, który z dziećmi swemi, rodziną i
czeladką pracuje na siebie, robocizna nie
wiele kosztuje — najemnicy zaś zjedliby go

wraz ze zbożem i z ziemią do niego należącą...

Całe karawany podróżnych, zamkniętych w ogromnych wagonach, widzieć się dają w ulicach najwięcej zaludnionych Nowego Jorku; gdyż za zbliżeniem się do miasta, odczepiają od wagonów lokomotywę, zaprzęgają do nich konie i wjeżdżają do środka miasta. Ten widok ich przejażdżki, przesuwającego się szybko obok trotoarów długiego orszaku, szczególne na mnie pierwszy raz zrobił wrażenie.

Droga żelazna nie jest dokładnie niwelowaną w Ameryce — wozy nachylają się z jednej strony na drugą. Amerykaninowi chodzi głównie o pośpiech. Byle dalej, coraz dalej! na tem rzecz cała u niego. Każdy tam gdzieś pędzi i leci zziajany, jakby nie miał nadziei powrotu. Szczególniejszy naród!..

Liczba dożorców na linii jest nader ograniczoną — w kraju wolnym, gdzie praca musi być dobrze wynagrodzoną, utrzymanie ich drogo kosztuje.

Częste też bywają wypadki, zwłaszcza, gdy kolej zrobiona z nieczystego żelaza amerykańskiego, które pęka; — ale mało się troszczą o to. Gdy rozjadą kogo, konduktor

uderza w dzwon śpiżowy na parowcu i pędzi dalej na naznaczoną minutę do kresu.

Wagony nie są rozdzielone na klasy — jak to zrobili Amerykanie ze swemi kościołami — każdy wagon gotowy dla wszystkich. W pośrodku każdego w porze zimowej stoi żelazny piec dobrze ogrzany, przy którym szanowna publika prowadzi gawędę.

W tych przenoszących się z miejsca na miejsce salach napatrzeć się można rozmaitych dziwacznych figur i nasłuchać pociesznych anekdot, zbiorowiska ze świata całego. Postrzegłem tam między innemi jakąś zalotnicę, gryzetkę paryzką, która szczebiotaniem była zdolną strącić żandarma z konia.

Lecz jedyny wyraz, trzymający pierwszeństwo, co się aż do znudzenia obijał mi o ucho, wyraz sakramentalny, charakteryzujący Amerykanina, zarówno jak i Anglika, był to przysłówek potwierdzający „*yes!*“ (tak!). Na około słyszałem powtarzających nieustannie: *yes! — o! yes — yes, sir!* (tak! — o! tak — tak, panie!).

Zauważyłem, iż Niemiec emigrujący do Ameryki, co nie umie jeszcze nic po angielsku, zaledwie postawił nogę na desce okrętowej, przemienia natychmiast swoje rodzinne *ja* na angielskie *yes*, tak mu się owo *yes* podoba.

Dickens po mistrzowsku skreślił gawędę anglo-saxonów, której główną osnową jest nie polityka, nie przemysł ani handel, lecz właśnie *yes*.

Tłusty jegomość w słomianym kapeluszu zajrzawszy przez drzwi wagonu, zwrócił się do siedzącego jegomości w szarym kapeluszu i zawiązała się między nimi rozmowa:

Słomiany kapelusz — Jeśli się nie mylę, mam przyjemność widzieć sędziego Jeffersona?

Szary kapelusz (nie patrząc na pytającego) — Yes, sir!

Słomiany kapelusz — Sędzio, mamy upał.

Szary kapelusz — O! yes.

Słomiany — Było jednak troszkę za chłodno zeszłego tygodnia.

Szary — Yes.

Słomiany (z tąż samą powagą) — Yes!

Następuje pauza, dwie głowy wpatrują się w siebie z zajęciem.

Słomiany kapelusz — Myślę, że proces stowarzyszenia musiał się już skończyć, sędzio?

Szary — O! yes.

Słomiany — I jakiż rezultat?...

Szary — Na korzyść apelującego.

Słomiany (z zapytaniem) — Yes, sir?

Szary (z potwierdzeniem) — Yes, sir!

Obydwa razem, zwolna, spoglądając n
przechodniów:

— Yes, sir.

Nowa pauza. Dwie głowy patrzą na si
jeszcze z większem niż poprzednio zajęciem.

Szary kapelusz (na ten raz zaczyna) —
Zdaje mi się, że pociąg ten się opóźnia.

Słomiany (tonem powątpiewania) — Yes sir

Szary (patrząc na zegarek) — O! yes,
dziesięć minut.

Słomiany (z zadziwieniem) — Yes?

Szary (stanowczo) — Yes.

Chór podróżnych: Yes!

Uderzono w dzwonek na stacyi Buffal
przy jeziorze Erie, pociąg się zatrzymał
i dwie głowy rozeszły się, każda w swoj
stronę.

Szybkowozy znowu ruszyły dalej, i znow
stanęły na przystanku; wieczór się zbliżał
zdrzymnąłem się trochę.

— Czy pan słyszy ten szum, jakby zgiełl
wielkiego miasta? rzecze do mnie John.

— Yes, sir! odpowiedziałem ziewając.

— To Niagara.

— Yes?

— O! yes.

W samej rzeczy niezadługo przybyliśm
do miasta Niagara-Falls leżącego w bliskośc

wodospadu. Założone na obszerną skalę, było ono jeszcze mało zabudowane. Na szerokich ulicach dawały się spostrzegać liczne place, brakowało tylko domów — po placach spacerowała rogacizna.

Poszliśmy do oberży.

Na wstępie do niej stróż miejscowy tytułował mię swoim przyjacielem, a dziewczynę numerową nazywano tam damą (lady). Raczyła ona przedstawić nas obywatelowi woźnicy, co miał nas obudzić nazajutrz i służyć za przewodnika do zwiedzenia wodospadu i jego okolic.

Z jakimże pośpiechem zerwałem się z łóżka, gdy do mych drzwi zapukano zrana!

Ubrawszy się na prędce, zarzuciłem na się burnus z kauczu, pan John już mię czekał w korytarzu — i puściliśmy się po nad wodną wycieczkę.

Najznamienitszy w świecie wodospad, powstały z połączenia jezior Erie, Ontario i innych za pośrednictwem rzeki Niagary, przedstawia trzy prostopadłe spady.

Za zbliżeniem się doń, pomimo nadzwyczajnego wód spienionych łoskotu, wywarł na mnie wrażenie dziwnie uroczyste i błogie, wrażenie wewnętrznego pokoju, jakiejś niewy-

mownej pociechy, zdało mi się że żyję w całem wszechstworzeniu.

Nigdy przedtem nie czułem się tak bliskim Boga! Jego wszechmoc napełniła me jestestwo .... duch mój nieśmiertelny rozwinął skrzydła. Wprawdzie wyobraźnia ma wystawiała sobie poprzednio ów wodospad wspanialszym jeszcze niżeli jest w istocie, nie dziwię się atoli temu, gdyż oprócz że żądza człowieka nie ma granic, wszystkie przedmioty, skoro się na nic patrzy, maleją w obec ogromu całej przyrody; w wyobraźni zaś przedstawiają się one oddzielnie, same przez się, w oderwaniu, co im dodaje wielkości.

Pomimo to, poglądałem niemy, ze zdumieniem, na owe dzieło stworzenia.

Proszę sobie wystawić coś nadzwyczajnego, najwyższą karpacką górę przeistoczoną w bałwan wody, spadający wierzchołkiem z wysokości 150 stóp i rozbijający się z hukiem w przepaści.

Obraz ten pozostaje w pamięci jakby widziadło ... marzenie ... jednostajne i spokojne w swojej wielkości! Żaden pędzel nie w stanie oddać tego zjawiska w całej wspaniałości i grozie.

Widnokrąg był zamglony, woda podobna do rostopionego ołowiu zdawała się lecieć

prosto z chmur. Gdy słońce zajrzało przez nie jak z za firanek, nagle zmieniło się panorama.

Ruchome tęcze krzyżowały się w różnych kierunkach nad otchłanią, a czarne skały w straszliwych szczerbatych postaciach, sterczały obok jak widma na strażnicy.

Żadnego zwierzęcia nie widać było w okolicy; brunatne sępy tylko i długoskrzydlate białe ptaki krążyły nieustannie nad wodą, zataczając coraz to mniejsze koła.

Bałwan uderzał z siłą, a ląd drżał w posadzie.

Przyczyną tak gwałtownego spadu jest to, że płynąca rzeka od jeziora Erie aż do katarakty, wązka i kręta zarazem, ocieniona gajem, zabierając po drodze wody, jeziora i rzeki, toczy się po coraz spadzistszej pochyłości, aż zamienia się w końcu we wzburzone morze, którego wszystkie wiry i potoki zmącone niewidzialną siłą, cisną się na raz do kamiennej paszczy.

Lecz zanim się do niej strącą, następuje wprzód między niemi rozdwojenie — podobnie jak to bywa niekiedy między ludźmi dążącymi do upadku — Otóż dzielą się na dwie odnogi odgraniczone lesistą wyspą. Miejsce to

składa kształt podkowy zajmującej około wiorsty przestrzeni.

Objętość wody odnogi południowej opuszczając brzeg, rzuca się w kształcie najogromniejszego, jaki sobie wystawić można, srebrnego walca, a następnie rozpościera pianę, gdyby zawieruchę śniegową zmieszaną ze szmaragdami.

Druga odnoga, północna, szklisto-zielonej barwy, wpada gdzieś do wydrążenia ciemnego, niedościgłego okiem, do jakiejś głębokiej jamy, jakby do podziemnych Tartarów, osłoniętych białą parą rozbitej wody, kipiącej z oburzenia, podobnej do fałdującej się draperyi z muślinu.

Na urwisku wyniosłej skały ręka człowieka zbudowała tam basztę. Ale ani widok z onej, ani przesmyk pod kataraktą, pomiędzy wodą a skałami, z których spada — zkąd się wychodzi zmoczonym — nie przedstawia tak olbrzymiego krajobrazu, ile pyszny widok z mostu, długiego na 760 stóp, śmiało zarzuconego na wyniosłe brzegi rzeki o 230 stóp nad jej poziomem.

Most ten łączy posiadłości Stanów Zjednoczonych z angielskiemi i jest arcydziełem sztuki w obec cudu przyrodzenia.

Z drugiej jego strony, od granicy kana-

dyjskiej obaczyłem najbliżej i najdokładniej szczegóły wodospadu, widzianego poprzednio jedynie z boku.

Niagara, kraina wodnista, w którejby się schowały wszystkie razem wzięte kaskady globu ziemskiego, ukazuje się w ówczas zdumionemu wędrowcowi w całej nagości, jako jeden z owych pierworodnych żywiołów, który będąc w zaciętej walce z innemi, ryje dla się łożysko, dopóki się z niemi nie zrównoważy.

Wedle obrachowania siła hidrauliczna owej trąby potopowej, wystarczyłaby na obracanie wszystkich maszyn na świecie.

Biada temu, kto na jej prąd popadnie!

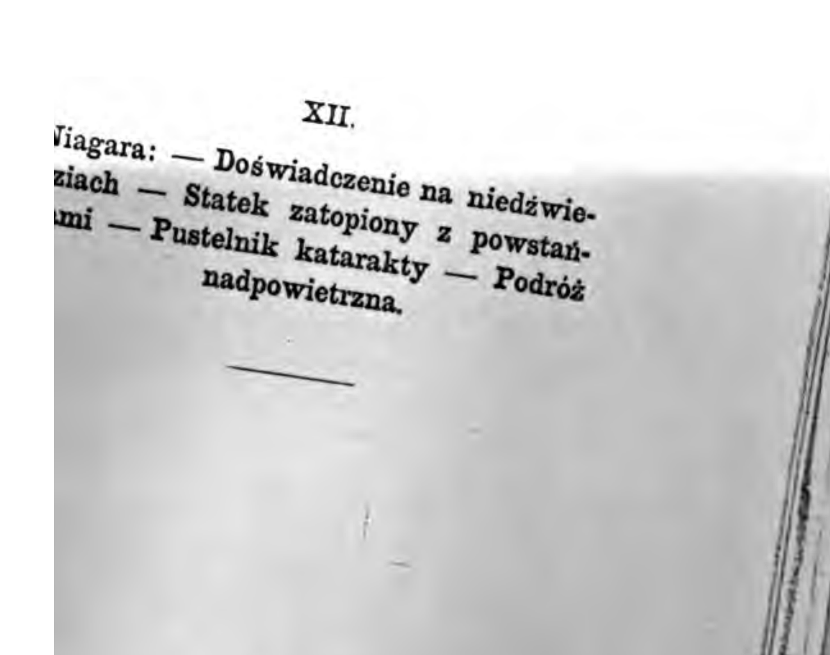
Gdy Indyanin zapędzony burzą, ujrzy się znienacka na nim, kładzie się w łodzi, nakrywa głowę — jak to czynili Rzymianie w straszliwej godzinie śmierci — i pędzi do otchłani na złamanie karku, bo już nie ma dla niego ratunku. Nikt z tamtąd nie powraca.

Nie ma roku, żeby nie było tam ofiar ludzkiej nieostrożności. Otchłań wszystko połyka na wieki, jak gdyby posiadała ogromne przestrzenie i składy w swych wnętrznościach skalnych. Ani topielca, ani kawałka drzewa ze zgruchotanego statku nie wyrzuca ona z siebie. Wszystko w niej ginie bez śladu!

Tonący na morzu, może przynajmniej włożyć swój testament do baryłki i umrzeć w słodkiej nadziei, iż fale prześlą ostatnią jego wolę pomiędzy ludzi.

Niagara w nicość obraca człowieka wraz z wolą jego! . . .

Posluchajmy niektórych okropnych podań, służących zwykle *cyceronim* miejscowym za przedmiot do opowiadań, jako też do gawędy osobom zwiedzającym tamte miejsca.



XII.

Niagara: — Doświadczenie na niedźwiedziach — Statek zatopiony z powstańcami — Pustelnik katarakty — Podróż nadpowietrzna.

XII.

Trzydzieści lat temu, dzienniki zwiastowały mieszkańcom Ameryki o mającym się odbyć, szczególniejszym rodzaju widowiska, na wodospadzie Niagary.

Obwieszczenie to powtarzane w gazetach, okrzyczane, otrąbione zostało po wsiach i miastach, z wielką pompą i hałasem, wedle zwyczaju wprowadzonego do Ameryki.

Wiedzieć bowiem potrzeba, że tam każdy szarlatan chcący coś zarobić, musi wystąpić na wielką stopę okazałości, aby go widać było — inaczej zginie. Rozlepia on tedy naprzód telegraficzne doniesienia o sobie na tysiącach afiszów, w miejscach, na które każdy przechodzień mimowolnie spojrzeć musi, w słowach które każdego zaintrygować powinny, *np.* „*On* przyjedzie jutro z rana!“... „już, już jest na kolei“... „za dwie godziny nadzwyczajne, nieznane światu widowisko!“ *itd.* Naturalnie, ciekawi dowiadują się, kto jest

ów *on?* jakie to widowisko? dziwią się w prostocie ducha, że dotąd nie słyszeli o sławnym sztukmistrzu przybywającym z Europy i spieszą na widowisko z ochotą, byle coś obaczyć.

Otóż zebrało się około wodospadu Niagary, na naznaczony dzień i godzinę, kilkadziesiąt tysięcy widzów, przybyłych ze stron najodleglejszych w oczekiwaniu na obiecane im przedstawienie.

Na dany znak ujrzano stary statek, który się już wysłużył był na jeziorze Erie, płynący poważnie po rzece z biegiem wody.

Na statku znajdowali się ludzie i zwierzęta, a mianowicie: dwa niedźwiedzie, jeden bawół, cztery psy, cztery koty, trzy gęsi i dwa borsuki.

Ludzie zbliżywszy się do spadu, wsiedli do barki i dopłynęli do brzegu, zostawiwszy statek na widowisko zgromadzeniu.

Płynął on zwykłym trybem dalej, dopóki nie wpadł na prąd i wiry. W ów czas zaczął się kręcić i tańcować. Niedźwiedzie, przeniknąwszy co ich czekało, wyskoczyły z niego przez burty i po żwawej walce z kołującą się wodą, zdołały z zadziwieniem publiczności wylądować; — pozostała reszta zwierząt stoczyła się ze swą arką do przepaści, z

wrzaskiem, wyciem, miaukiem nie do opisania.

Ryk ocalonych niedźwiedzi zmięszany z grzmotem wodospadu, wtorował im na straszliwą nutę.

Zauważano, że statek z upadkiem spłaszczył się od razu, potem rozerwany został na sztuki, każda z nich zmięta na miazgę, i nagle wszystko znikło ze sceny.

Na tem skończyło się widowisko, czyli raczej doświadczenie mocy katarakty.

W r. 1840, podczas rokoszu w Kanadzie, Anglicy pojmali wśród czarnej nocy okręt „Karolina“ przewożący kontrabandę dla powstańców. Zapalili oni i popchnęli go z całą załogą na wodospad. Piekielny to miał być widok — podobnie jak czyn był piekielny — lecz w jednej chwili podziemna przepaść pochłonęła okręt w siebie.

Nie sam tylko wodospad, ale i rzeka co go tworzy obfituje w nader uderzające fenomena.

O milę od niego na dole, wody zdają się kipić i obracać na miejscu, z gwałtownością wprawdzie innego rodzaju, lecz nie mniej wielką jak. nad wodospadem. W tym to punkcie Niagara zrobiła sobie koryto pod

kątem prostym, ale węższe niż gdzieindziej. Bieg jej przy wirze jest tak silny, że podnosi się tam ona, na podobieństwo ostrokończastego pagórka, do wysokości przeszło pięciu łokci nad powierzchnią wody płynącej u brzegów.

Wszelkie ciała, jakiejby nie były rozciągłości, które nieszczęśliwy przypadek zbliży do wiru, bywają natychmiast pochwycone przezeń. Daje się często spostrzegać pień drzewa porwany w jego objęcia i krążący coraz prędzej, przez przeciąg kilku godzin, a nawet i doby całej, dopóki przez kołowanie, nie zbliży się i nie wpadnie na punkt środkowy, gdyż wtedy dopiero tonie.

Dowodzi to owej siły wciągającej, jaką posiada w kierunku linii prostopadłej ukryta pod wodą a niezgłębiona jaskinia zniszczenia.

Na krańcu wyspy Goat-Island (Kozia Wyspa), ukazują dotąd zatokę, gdzie się utopił w 1831 r. tajemniczy człowiek, przezwany przez mieszkańców okolicy: „Pustelnikiem katarakty.“

Zjawił się on pewnego pięknego poranku, na dwa lata przed swym tragicznym zgonem, pomiędzy miejscowymi włościanami.

Wszystkie jego ruchomości składały się:

z koldry flanelowej zwiniętej w wałek, fletu i gitary.

Najął sobie na wyspie skromną chatę w cieniu czarownego gaju, skąd nieustanne czynił wycieczki, zwłaszcza przy księżycu, lub wtedy gdy piorun grzmiał na niebie a Niagara na ziemi, — zdaje się, że i w sercu jego zrywała się burza. — W zimie nawet lubił przepędzać czas wśród lodowych a pięknych krystalizacyi u brzegów wodospadu. Żył samotnie z przyrodą i nasycał się w milczeniu jej uroczemi darami. Za powrotem do chałupy zwykł był zajmować się muzyką.

Ponieważ okazywał wyraźny wstręt do towarzystwa ludzkiego, nikt się nie zbliżał do samotnika i nikomu nie znana była jego przeszłość.

Chęć do życia ustronnego, zdala od ludzi, zdawała się pochodzić z cierpień, do których nie mięszały się wyrzuty sumienia. Cierpienia te rozlewał w miłych acz smętnych dźwiękach fletu swojego, zwykle wieczorem o szarej godzinie.

Nie był on jednak w całem znaczeniu odludkiem — niektórzy z podróżnych rozmawiali z nim i ocenili go za człowieka wyższego.

Wedle pewnych śladów po jego śmierci okazało się że był Szkotem z urodzenia i

należał do bractwa *kwakrów*. Miał lat dwadzieścia kilka.

Boska przyroda mieści tyle powabu w sobie, iż w ciągu mych długich podróży nie zdarzyło mi się widzieć miejsc uprzywilejowanych przez nią, któreby nie miały swoich pustelników.

Dnia 4 Lipca 1859 r. nowe widowisko było dane nad kataraktą.

Na ten raz Francuz popisywał się ze swoją zręcznością i nieustraszoną odwagą. Francuz zawsze i wszędzie jest ten sam, przedsiębiorczy i śmiały do zapamiętałości. Swoje rycerskie usposobienie odziedziczył po pradziadach i tę spuściznę umie praktycznie na swoją korzyść obracać. Takim jest Mr. Blondin.

Może to mniej sztuka jak odwaga, aby z zawiązanemi oczyma po wyciągniętym sznurze — po nad samą przepaścią spadku Niagary, z jednego brzegu rzeki na drugi przechodzić — ale zawsze warta uwagi.

Około dwudziestu tysięcy ludzi przypatrywało się temu. Powietrze było spokojne a niebo pogodne, gdy Blondin niektóre porobił przygotowania i pewien czas swoje członki przez rozmaite poruszenia sposobił,

wszedł potem ze strony brzegów amerykańskich na linę i postąpił naprzód — lecz skoro znaczną uszedł przestrzeń, wrócił napowrót w to miejsce z którego wyszedł.

Podobne ćwiczenia powtórzył kilka razy, jak ów biegły sportsman, który na nieznanym mu koniu swoje siły chce wypróbować, zaczem mu cugle popuści.

O godzinie piątej poszedł śmiało i wkrótce stanął w połowie drogi — Niagara liczy w tem miejscu około 600 sążni szerokości. Zatrzymawszy się, Blondin poruszył rękami i nogami, siadał i kładł się na linie — i przebył drugą połowę rzeki z taką pewnością, jak gdyby po równej drodze.

O dwadzieścia kroków, nie dochodząc do brzegów Kanady, pozdrowił publiczność, zatrzymał się powtórnie, ażeby w tak niebezpiecznem stanowisku dać się fotografować; potem na ląd wyskoczył.

W godzinę później wracał tąż samą drogą z workiem na głowę zarzuconym, który mu sięgał do kolan — dwie miał tylko w nim dziury dla wydobycia rąk swoich; w tem to przebraniu przeszedł szczęśliwie na drugą stronę.

Za trzy dni później przechodził z jednego brzegu na drugi cofającym się w tył krokiem.

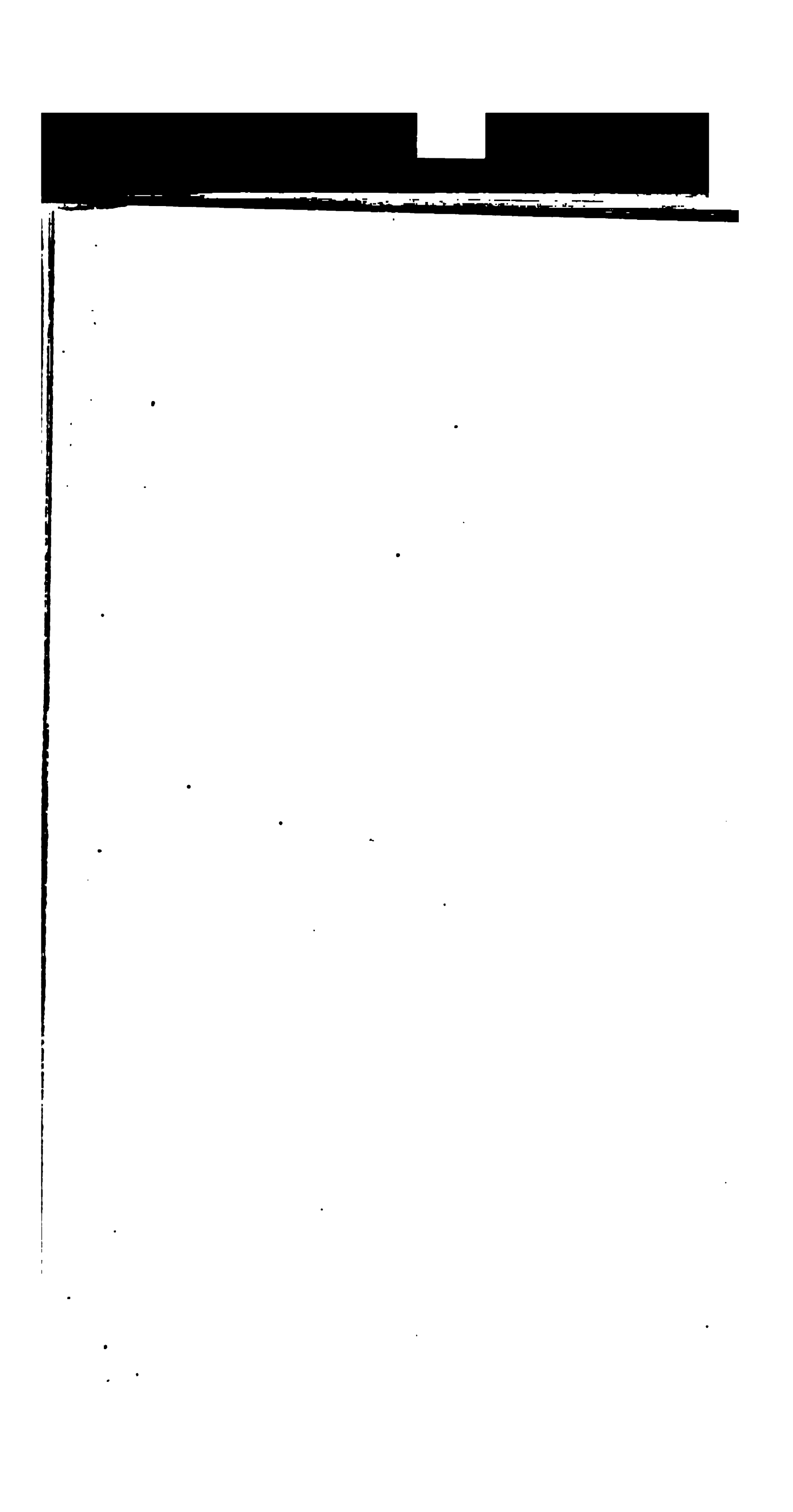
Jego odwaga wzrastała widocznie, bo powziął zamiar przebyć całą tę przestrzeń z człowiekiem na plecach.

Ten, który się w ów sposób przenieść dozwolił, nazywa się Henryk Colcord i waży sto trzydzieści sześć funtów.

Przy doświadczeniach gimnastycznych Blondina, przypatrującym się mróz ciało przejmował, lecz tego właśnie życzyła sobie publiczność...

XIII.

Urywek z poezyi amerykańskiej — Cincinnati — Arystokracya.



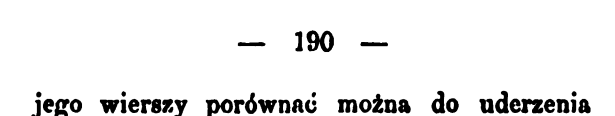
XIII.

Mówiono o poezyi w wagonie... cały w słuch się zamieniłem na myśl, że do ludności kłopocącej się głównie o byt polityczny i przemysłowy, zajrzała muza w odwiedziny.

Jakiś Hiszpan przekonywał młodego doktora z Nowego Jorku, że Amerykanie nie mają poezyi, ani są zdolni do poczucia żadnej sztuki wyzwolonej, słowem, że gdyby nawet przeniesiono Alhambrę z Grenady na ich półkulę, przeistoczonoby cudowne jego portyki na sklepy z tytoniem i pieprzem.

Porównanie po części było dosyć trafne, ale ubodło słuchacza do żywego. Wyjął on z kieszeni świeże utwory swego rodaka, jedynego poety nowoczesnego, pana Longfellow (Wasdworth), którym sę szczyci Ameryka, i czytał z uczuciem jego „Hymn do życia."

Jaki naród, taki wieszcz. Piewca wziął za przedmiot odpowiedź Eklezyaście na tekst: „Wszystko jest próżnością!" a każde słowo



jego wierszy porównać można do uderzenia młotu w kuźni Cyklopów.

„Nie nuć mi — wyrazy pisarza — w swych strofach melancholicznych, że życie jest czczą marą!... Sen tylko jest obrazem śmierci.

„Życie jest najrzeczywistszą rzeczywistością; grób nie jest jego celem. *Z prochuś powstał, w proch się obrócisz* — to nie stosuje się do duszy.

„Jak rozkosz, tak i smutek nie jest przeznaczeniem człowieka — ale czyn, któryby z każdym dniem parł go naprzód... do doskonałości.

„Na obszernem polu walki świata, w namiocie życia, nie naśladuj milczącej trzody, którą pastuch przed sobą pędzi, ale bądź bohaterem w boju!

„Nie ufaj przyszłości; przeszłość niech pogrzebie swoich umarłych; działaj, pracuj w obecnej chwili z sercem w łonie i z Bogiem nad sobą.

„Dzieje wiekopomnych mężów niech przypominają nam tylko, że możemy istnieć z pożytkiem i wielkością, tudzież pozostawić ślady stóp naszych na kurzawie ubiegłych czasów. Inny żeglarz, brat zabłąkany na

oceanie żywota, ujrzy te stopy pielgrzymie i nabierze otuchy.

„Naprzód więc i do czynu!.. Gotowi zawsze na wszelkie przygody, umiejmy pracować i wytrwać!“...

Poezya jest duszą narodu — cała dążność amerykańskiego ducha odbija się w tych kilku wierszach, jak w zwierciedle. Gdy Europa starzeje się i odradza o ile może, naród czerstwy kładzie podwalinę do zbudowania dla się świątyni sławy.

Bez wątpienia hymn powyższy nie jest arcydziełem pod względem formy, nie wytrzyma porównania z „Odą do młodości“ naszego wieszcza; lecz ma zaród i tło wielkiej przyszłości dla autora, który będąc młodym, nie wypowiedział jeszcze ostatniego swojego słowa. Poemata jego w ogóle mieszczą żywioł broniący społeczność od choroby i śmierci — mieszczą najczystsze pojęcia sprawiedliwości.

Literatura amerykańska wydała płody we wszystkich gałęziach, oprócz dramatycznej.

Washington Irwing, najprzyjemniejszy pisarz (szkoły angielskiej), a za nim Cooper, nowej szkoły amerykańskiej, obydwa tłómaczeni na polski język, już nie żyją; Longfellow zajął po nich miejsce na świeczniku lite-

rackim. Nadmienić tu winienem, że i rom
„Uncle Thom's Cabin“ przez panią Sto
gdzie bohaterami są czarni niewolnicy, zrc
rozgłos w całym świecie.

Im więcej zbliżałem się do środka Stan
Zjednoczonych, do miasta Cincinnati, ku rz
Ohio, tem więcej przyroda ukazywała
dziką i wydatną. Okolice rzeki są pokr
dziewiczemi lasy i wykarczowanemi ni
zasianemi kukurydzą; w pośrodku każdej
folwarczek. Postrzegłem przed domami g
madki niewiast o krótkich stanikach u suki
krótkich rękawach, krótkich spódnicach i
tężnych łytkach obciągniętych w niebies
wełniane pończochy. Witałem je głośn
„Guten Morgen, meine lieben Mädchen!“.

Jasnowłose głowy, rasy germańskiej
błękitnemi oczyma, zwracały się ku mnie
uśmiechem i odpowiadały chórem:

— Guten Morgen, mein Herr!

Piękne te dziewice nie mając co jeść
siebie w przeludnionym kraju, przeskoczy
Ocean, aby się osiedlić na rozległej i żyz
glebie.

Zauważyłem w ciągu całej podróży,
wszystkie osady, jakkolwiek złożone z róż

ludności, przedstawiały na pozór charakter jednolity.

Pomiędzy temi osadami sterczały na równinach wypalone pniaki, smolne korzenie, ścięte drzewa, a po nad niemi na wzgórzach rozpościerała się czarna dziedzina dziewiczego lasu.

Las dziewiczy — wyraz poetyczny! lecz siekiera, motyka i graca co raz bardziej, co raz dalej go przerzedzają — padają stuletnie olbrzymy pod ich ciosami — cuda pustyni zamieniają się na równoległe skiby — czarowna kraina marzeń przeistacza się na praktyczną rolę.

Na każdym kroku daje się postrzegać w Ameryce północnej, że tam góruje duch filozoficzny nad poezyą. To, co Amerykanie zyskują w ogóle na wiedzy, tracą na uczuciu. Rozum i serce nie chodzą u nich w parze — pierwszy przeważa. Pewniki matematyczne zabiły tam pewne prawdy wyobraźni, daleko ważniejsze dla moralnego bytu człowieka, niż się to nie jednemu zdawać może.

Starożytni podróżnicy, a zarazem prawodawcy, poeci i bohaterowie: Likurg, Pitagores, Homer, Herkules, aż nadto dobrze te prawdy rozumieli.

Przybyliśmy do Cincinnati.

Miasto to, środkowy punkt handlu wewnętrznego Unii, złączone ze wschodnią jej stroną za pomocą kolei, z zachodnią przez spławną rzekę Ohio wpadającą do Missisipi, liczy dziś 200,000 mieszkańców, chociaż przed 35 laty wyglądało ono jak wieś, a mieszczanie jak chłopi.

Pyszni i zamożni obywatele tameczni lubią pokazywać cudzoziemcowi dwa rysunki: Cincinnati pierwiastkowe o kilkudziesięciu niekształtnych chałupach i Cincinnati teraźniejsze, świetne, ze wspaniałemi ulicami, kościołami, teatrami i gmachami zakładów publicznych i stowarzyszeń.

Wszystko to winni oni zwierzętom, któremi Mojżesz i Mahomet się brzydzili, i które są w pogardzie na pańskich stołach.

— Jakto, *świniom?!...* zawoła przenikliwy czytelnik.

— Tak jest! świniom i wieprzkom czyli delikatniej mówiąc: *trzodzie, nierogaciznie.*

W przeciągu trzech miesięcy zabijają ich tam około 500,000 sztuk. Wszystkie są dobrej tuszy, tak dalece klimat miejscowy im sprzyja. Wędliny z nich dochodzą jako towar do Londynu nawet, pomimo zapowiedzianej przez lekarzy szkodliwej *triszyny.*

Bogaczów z Cincinnati zowią powszechnie *arystokracyą wieprzową.*

Arystokracya ta buduje zwykle swe wille jak najdalej od szlachtuzów, gdzie kwiczące padają setkami ofiary.

Z tem wszystkiem, odszukawszy w Cincinnati Alfreda (z którym zapoznałem czytelnika w pierwszym rozdziale tej książki), i korzystając przez kilka miesięcy z miłej gościnności jego stryja, gdy poznajomiłem się z arystokracyą tego miasta, uznałem ją za zacną, posiadającą wiele cnót prawdziwie obywatelskich.

Z boleścią serca wyznać mi przychodzi, że pracująca *arystokracya wieprzowa* podobała mi się lepiej od herbowych pasożytów, którzy z czeladką swoją wichrzą po dziś dzień w nieszczęśliwej Polsce i na emigracyi, biorąc przewagę nad umysłami krótkowidzów, zaślepionych pozornym ich blaskiem. Piękny grobowiec marmurowy ze złoconemi głoski, lecz odkryj go a obaczysz robactwo w stęchliznie!...

Stryj Alfreda, p. Louis, były wojak z czasów napoleońskich, oprócz zacności, posiadał wiele światła, nabytego raczej w życiu praktycznem niż wziętego z teoryi. Walczył niegdyś pod Saragossą i mile o Polakach,

swych dawnych towarzyszach broni, wspominał. Na obliczu jego malowała się owa szczerość i pogoda, która cechuje starych wojskowych.

Zajmował się ogrodnictwem, szczepił drzewka, co go przeżyć miały, cieszył się widokiem synowca, i często nas gromił: jego, za zbyteczną lekkomyślność; mnie, za niektóre spaczone wyobrażenia; — ale widząc, jak lubiłem go słuchać, jak zdania doświadczonego męża rozwijały mój umysł, i jak korzystałem z każdej jego przymówki, słuchając nadto opowiadań moich o Syberyi, pokochał mię serdecznie.

Kurs uniwersytecki możeby mię tyle nie był oświecił, ile pogadanki z poczciwym starcem, którego już zapewne pokryła mogiła....

Jakaż to była chodząca zacność, ten pan Louis! Gdy wynurzyłem mu boleść z powodu pozostawienia sieroty Jakóbka na miłosierdziu Izraelitów w Nowym Jorku, i opowiedziałem treściwie o zarodzie twórczości i pięknych uczuć, jakie miałem sposobność odkryć w moim małym towarzyszu — p. Louis napisał zaraz do swych znajomych i sprowadził do siebie chłopca. Sam też go polubił i oddał na naukę do jeżdżącego kupca z towarami,

aby się powoli obeznał z krajem, językiem, ludźmi, zanim wyjdzie na człowieka.

Ze łzą pobłogosławiłem tedy chłopca rozstając się z nim, poleciłem aby nie zapominał o Kościuszce, nie przewidując bynajmniej, że za kilka lat ów dzieciak wzrosłszy na młodziana, zawdzięczy mi przez oddanie ważnej usługi, przychylność moję ku niemu. Co się atoli stało.

Bywałem niekiedy zapraszany ze staruszkiem Louis na obiady do rodzin amerykańskich.

Przyjęcie u Amerykanina lepszego tonu jest pełne prostoty, odpowiadającej instytucyom republikanckim, lecz widać w nim zawsze człowieka przemysłu i handlu.

Nie uszło mej uwagi, że gdy podczas biesiady przyniesiono listy gospodarzowi, rozpieczętował je z pośpiechem i naznaczył ołowkiem datę, i godzinę odebrania.

Zauważyłem, że wśród najbardziej ożywionej rozmowy przy stole, damy wydobywały z kieszonek próbki rozmaitych towarów, sprowadzonych przez mężów swoich, polecając je sobie wzajemnie.

Zresztą, zostawiwszy interesa na stronie, Amerykanie przedstawiają dobrze, choć może nieco za sztywnie, swą godność narodową.

W miarę przybywania osób, nie było owych niskich, pokornych ukłonów jezuickich, tuzinkowych ckliwych grzeczności, odznaczających dobrze niby wychowanego Europejczyka. Podawano sobie ręce bez przesady, mówiono otwarcie, a w całem obejściu się nie było nic, coby miało podobieństwo do komedyi odegranej z gimnastyką.

Salon do przyjmowania gości i sala jadalna są zwykle na dole, wysłane dywanami, i łączą się z sobą przez szerokie drzwi, rozsuwane na obie strony.

Ostrzygi grają główną rolę na obiedzie amerykańskim; surowe przed zupą, gotowane w zupie, dają je nadto po raz trzeci, smażone jak kotleciki.

Wina w najrozmaitszych gatunkach oznaczają wytworność stołu; — szeregi kieliszków, w różnych wyszukanych kształtach i kolorach, stoją przed każdym z gości.

Deser składa się z pomarańcz hawańskich, czerwonych w środku, daktyli, bananów, ananasów i innych owoców wysp antylskich.

Płukanie ust po obiedzie i w Ameryce należy do warunków dobrego tonu. Niech to będzie przestrogą dla czytelnika wędrowca, żeby nie napił się przez pomyłkę ciepłej

wody, gdy mu ją podadzą w kryształowej niebieskiej filiżance. Człowiek zawiadomiony!

Oddychałem dość swobodnie w towarzystwie amerykańskiem. Bywały jednak chwile, w których postrzegałem z pewnych odcieni, że równość w ścisłem znaczeniu, do jakiej tamci obywatele dążą, jest nader trudną do wprowadzenia. Jeżeli ma ona znaczyć równość w obec prawa, w obec kodexu karnego, przez zniesienie przywilejów, zgadzam się na to; lecz cóż pomogą prawa przeciw próżności człowieka i jego żądzy odznaczania się od innych?...

Wstrzymaj ludzi od tego na jednym punkcie, rzucą się z większą gwałtownością na drugi. Człowiek najwznioślejszy nawet ma zawsze jakiś wyłączny, właściwy sobie przymiot ciała czy ducha, jakąś cnotę, zdatności, majątek, słowem coś, co się nie da oznaczyć, rzeczywistego lub urojonego, a przez co jednak się wywyższa, choćby przed sobą samym, po nad bliźniego.

Zwyczajne zapytanie Anglika, jako i yankeego, gdy chce powziąść wiadomość o kim: „*Co on wart?*" czyli: jaką kwotę rocznie przeżywa? znamionuje, że równość, o której mowa, nie jest ścisłą, i że samo to pytanie jest najniesłuszniejszem w zastosowaniu.

Z drugiej strony, proszę mi pokazać cho
jednę ładną kobietę, któraby nie była arysto
kratką?...

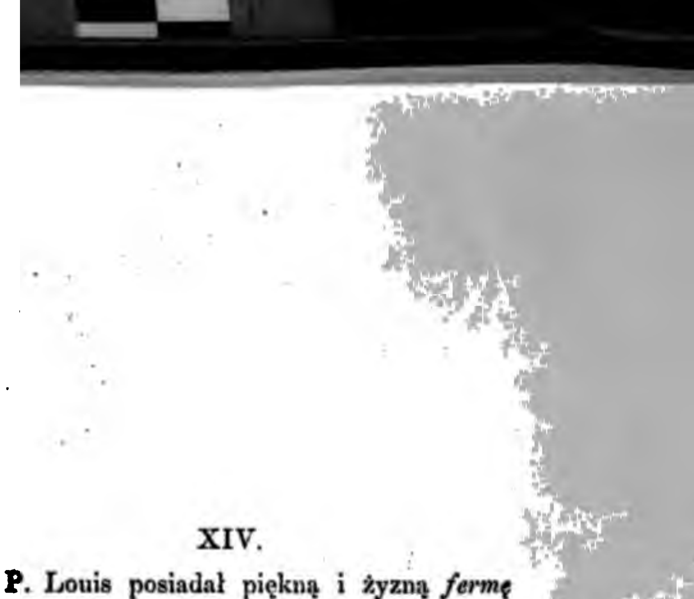
Wieki upłyną nim ludzkość dojrzeje d
mądrości i nauczy się oceniać bliźnich wedl
ich zasługi.

Zaszedłem raz z p. Louis na otwart
sądy. Sędziowie i adwokaci byli ubrani w
surdutach, paletach i frakach. Towarzyszący
nam yankee zdawał się chlubić z tego, że ich
władze nie okrywają się togą, purpurą, gro-
nostajami, jak to czynią w Europie. — Przy-
znaję — rzekłem — że wasza równość w odzieży
może mieć pewną dobrą stronę, ale tylko w
części... Gdyby człowiek był samą istotą
duchową, wszelkie formy stałyby się dlań
bezużytecznemi. Zresztą, w tej okoliczności
uszanowanie w formach nie tyle się robi dla
człowieka, ile dla powagi prawa, będącego
jedynem ogniwem społeczeństwa. Wszak Pan
Bóg jest wszędzie, pomimo to budujecie ko-
ścioły, któreby wielkością i uroczystością po-
dnosiły wyobraźnię śmiertelnika.

Słuchacz zdawał się nie podzielać zdania
mojego.

XIV.

Cena ziemi — Sposób kolonizacyi — Przechadzka w lesie dziewiczym — Amerykanki na parochodzie.



XIV.

P. Louis posiadał piękną i żyzną fermę
winnicami po nad rzeką Ohio. Częste robi-
ny do niej wycieczki statkiem parowym.

Ciekawy byłem zasięgnąć bliższych szcze-
łów o kolonizacyi. Dowiedziałem się tedy,
rząd amerykański ustępuje każdemu, ktoby
ciał nabyć własność ziemską, przestrzeń
chodzącą do stusześćdziesięciu akrów, po
nie, na naszą monetę, dziesięciu złotych
oszy piętnastu za akier. Należność może
ć spłacaną ratami.

Prawo ograniczyło rozciągłość 160 akrów
nabywcy, aby tym sposobem położyć tamę
marczeniu spekulantów.

Akier wynosi 43,681 stóp kwadratowych,
ąd wypada, iż każdy bok jego ma 209 stóp
ugości.

Emigrant kolonista zakupiwszy dla się
tą własność za cenę 1680 *złp.*, a to w
lnym ze Stanów mniej zaludnionych, jak: Illi-

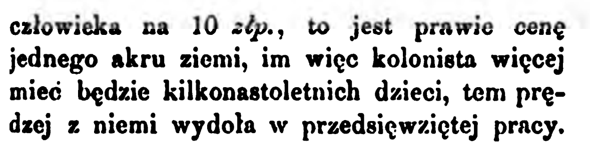
nois, Missuri, Miszygan, Texas, Kalifor
Kanzas, Oregon, *itd.* potrzebuje jeszcze ka
tału na zakupienie narzędzi rolniczych i
czyń gospodarskich, na odbycie z niemi
dróży do miejsca naznaczenia, jakoteż
zbudowanie sobie baraku na początek.

Kolonista wycina najprzód las w pr
strzeni jednego akru. Drzewo w części p
w części rąbie na sągi, lub zwozi na budo
stósownie do potrzeby; pozostałych zaś pn
razu nie wykopuje, gdyżby mu to wiele cz
zabrało, lecz wykarczowany jako tako ka
łek gruntu natychmiast zasiewa zbożem,
kurydzą, ziemniakami i baniami bardzo
żywnemi, które się tam rodzą w obfitości.

Potrzeba się przygotować na roli św
żej do chorób gorączkowych, z których ty
china i czas ulecza. Miryady różnych gat
ków muszek stają się także nieznośną pl
dla początkującego kolonisty.

Gdy to wszystko wytrwa, przy pra
porządku i oszczędności może sobie zapew
niezawisłe utrzymanie, a z czasem dojść na
i do majątku w zawodzie wiejskiego
spodarstwa.

Że zaś w Ameryce ziemia jest tania, l
ręka ludzka nader droga, tak, że można t
liczyć w przecięciu zarobek dzienny jedne



człowieka na 10 *złp.*, to jest prawie cenę jednego akru ziemi, im więc kolonista więcej mieć będzie kilkonastoletnich dzieci, tem prędzej z niemi wydoła w przedsięwziętej pracy.

Ochota do polowania jest zgubną dla rolnika, a tem niebezpieczniejszą w kraju, gdzie zwierzyny jest mnóstwo; łatwość bowiem ubijania jej w celu wyżywienia rodziny, odwodzi od pługa.

Wieśniak bez rodziny, samotnik, lepiej wychodzi, skoro ofiaruje swą robociznę, na folwarku lub w mieście, jako najemnik; gdyż oprócz wysokiego wynagrodzenia i pokarmu zdrowego, może być pewnym należnych względów od swoich, nie zwierzchników lecz płatników, których w znaczeniu moralnem jest *pomocnikiem* i taką też nosi nazwę *(help)*.

Obrachowano, że rodzina szukająca fortuny w Ameryce przez uprawę roli, na warunkach wyżej wzmiankowanych, potrzebuje przynajmniej przez dziesięć lat mozolnie i nieustannie pracować w lasach lub na łąkach, zanim dojdzie do dobrego bytu.

Lubiłem błądzić w cieniu puszczy dziewiczej nad brzegami Ohio. Ach! jakże pełną tam oddychałem piersią. Gdy porzuciwszy chaty osadników, ujrzałem się pierwszy raz

wśród owej dzikiej, a tak poważnej i uroczej przyrody rozpostartej na około mnie, czułem się być w szale jakiegoś niewymownego uszczęśliwienia, z powodu mojej bezwzględnej swobody.

Nie zwracałem wtedy uwagi na żadną drożynę lub ścieżkę, lecz postępowałem, dokąd mi wzrok przewodniczył.

W domu, w mieście, w okopconych murach było mi niegdyś ciasno i duszno jak w mogile. Tutaj nic mię nie krępowało, ani przedmioty, ni ludzie z ich nędznemi prawami, samowładcami, przesądami, obłudą i złośliwością. Nie nasuwali mi się przed oczy Faryzeusze uchodzący za świętych, poważni na pozór a nikczemni w duszy — nie widziałem też przed sobą zacnych nieszczęśliwców, których świat za życia kamienuje, nie mogąc znieść ich wyższości, ani też kupić ich poniżenia. Nie było przedemną żadnych prezydentów ani poważnionych republikan, monarchów ni poddanych, jezuitów ni cyników...

Byłem sam! i zdawało mi się, iż jestem wyłącznem dziecięciem Boga i że ustronie należy do mnie dla szczęścia mojego. Dusza ma roztapiała się w żywiołach, ulatała w nieskończoność, jak gdyby była wyzwoloną z doczesnej skorupy!...

Wydobyłem bussolę z kieszeni i skierowałem się ku rzece.

Cóż to za czarodziejski obraz biegu wód w samotniach nowego świata!

Modre zwierciadło przeżynało po cichu najgęściejsze lasy. Drzemiące dęby i wierzby o długich warkoczach, pochylone od starości, przeglądały się w niem. Mnóstwo czarnych wiewiórek i białych gronostai wyprawiały gonitwy skacząc z gałęzi na gałęź.

Słychać było jakieś odgłosy, nie wiadomo zkąd pochodzące. Olbrzymi kondor zataczał w powietrzu koła, co raz mniejsze, co raz niżej, dopóki nie znikł w gęstwinie rzucając się na zdobycz. Skrzeczenie ogromnej żaby, żyjącej w wydrążeniu spruchniałych konarów było podobne jużto do odgłosu dzwonka owcy zabłąkanej, już do szczekania psa w oddaleniu.

Myślę, że jestem w bliskości chaty i idę zaspokoić pragnienie. Próżna nadzieja — złudzenie — puszcza coraz gęstsza roztacza się przedemną.... Włażę na wierzchołek najwyższego drzewa, i widzę tylko pod sobą cudowny kobierzec utkany z różnobarwnych liści; kolor czerwony, żółty, brunatny, rozsiany na zielonem tle w rozmaitych odcieniach...

Zerwał się wiatr i napełnił dziką melodyą

głębiny lasu. Śpiewał chór utajonych w krzakach faunów — śpiewał, ucichał zwolna pośród trzcin i rozłożystych cedrów, nareszcie przeminął, jak wszystko na świecie przemija.

Ustały arfy powietrzne, a natomiast mgła kojarzy się cichaczem u pokładów skalnych nad wodą, przyczaja się i liże podnóże opoki. Z pośrodka tej białej mgły wyglądają czarne stropy skał, niby fantastyczne, nieruchome widma spoglądające na się w straszliwem milczeniu.

Na spodzie ponurego wąwozu kwitnie różany krzak maliny, a na rzece żeglują parami białe łabędzie, prowadząc wojnę z czarnemi.

Lecz cóż to za klekot, jakby donośny dźwięk muszli, słyszę opodal? To nic! to grzechotnik potrząsa ogonem z twardej łuski. Poczciwy gad ostrzega mię, abym nie wkraczał do jego dziedziny i zostawił go w pokoju.... Czyż nie jest on lepszym od wielu ludzi?...

Znowu jestem na statku parowym z powrotem do Cincinnati. Słońce się chowa za góry i lasy. Zadzwoniono, i nasz pałac pływający z belwederem i powiewającą flagą na

wierzchu, sunie się po Ohio, zostawiając za sobą ciemno-szmaragdową brózdę.

Na dole statku, nie mającym ścian lecz filary z boków, widzę kilku biednych emigrantów zdejmujących tłomoczki z pleców, kilka próżnych powozów i stangretów pilnujących konie.

Wstępuję po schodach z panem Louis na pierwsze piętro, zawieszone na filarach.

Cóż to za zbytek! We wspaniałym salonie zastawionym machoniowemi meblami, obitemi aksamitem, mężczyzni czytają gazety, grają w kości, spacerują paląc cygara.

Róg salonu, oddzielony pewnym rodzajem uchylonej zasłony, ozdobiony z całą wytwornością, na jaką się yankeech smak zdobyć może, jest przeznaczony dla płci niewieściej. Żaden obcy mężczyzna, kawaler czy żonaty, gościć w nim nie może, dopóki nie zostanie przedstawiony jednej z dam. Że zaś panie w podróży nie lubią czczości, kapitan więc statku przez grzeczność wprowadza kilku wesołków do owego *sanctorium* kobiecego, ci wprowadzają innych, i w krótkim czasie zaczynają się zabawy, wrzawa i tańce. Brak tylko śpiewów, gdyż Amerykanki nie celując w tej sztuce, nie lubią popisywać się ze swym głosikiem.

Przechadzałem się po sali z mym
brodziejem. Myśl moja pierzchła po za Oc
i błądziła po Europie. W tym nowym świe
w tem nowem towarzystwie, tak wszys
dla mnie było obce! Przepych raził m
oczy. Ludzie przy ich całkowitej swobod
we własnej ojczyznie zdawali mi się być z
szczęśliwymi, nie potrzebującymi myśleć
jutrze! Moje istnienie było w przeciwn
warunkach. Bezdomny, nie mogąc dzielić
z nimi szczęściem osobistem, na którem
tak zbywało. postanowiłem ich, ile moż
unikać.

Pośród hucznej biesiady zdawało mi
że jedną nogą stoję na tym podole, a dr
w zimnej mogile i że mię nic od niej
dzieli. W takiem nastrojeniu ducha nie m
łem wcale chęci zapoznawania się z dama
myśląc, że nudziłbym je nie będąc zrozumian

Mocne dźwięki fortepianu na niezn
nótę przerwały me dumania. Zbliżył się
mnie uprzejmy kapitan i rzekł półgłosem:

— Wszak pan jesteś wojskowym, n
prawdaż?...

— Z czego to kapitan wnosisz?

— Postrzegły to najprzód kobiety z p
skiego ułożenia.

— Czy takie sztywne?

— O! bynajmniej; dla tego też nastąpiło między paniami *za* i *przeciw*, o mało nie przyszło do zakładów. Jedna tedy z nich — a ładna! — chcąc rozwiązać zagadkę, zagrała panu naszego narodowego marsza... który widoczne na nim zrobił wrażenie.

— Proszę podziękować pięknej *lady* za jej muzykę; przywiodła mi ona wiele wspomnień...

— Jeśli się pan zechce rozerwać, to proszę do kompanii.

— Serdecznie dziękuję, nie mogę!

— Dla czego?

— Noszę żałobę...

— Upewniam, że Amerykanki potrafią goić rany sercowe, ręczę za ich gościnność.

— Powiedz mi kapitan, kto jest ta dama, którą widzę ciągle na uboczy, tam... przy bufecie. Czy pan niepostrzega pewnego wyrazu zamglonego cierpienia na jej obliczu? Jada na stronie... nie łączy się z towarzystwem... a jednak jest tak pełną uroku!...

— Skoro pan pozna lepiej Amerykę, wiele rzeczy nie będą dla niego tajemnicą... niestety. Ta zajmująca osoba jest to bogata dziedziczka plantacyi cukru w Stanach południowych. Jakkolwiek biała jak alabaster i ślicznie wychowana, nie przeszła ona jeszcze

czwartego pokolenia swych przodków murzynów — jest dopiero w trzeciem. Otóż przywykła do praw swojego kantonu, które jej zabraniają publicznego miejsca między urodzonymi białymi, między wolnymi, oddala się od nich.

— Nieszczęśliwa! choć godna lepszego losu... Jednak, ów jegomość co jej towarzyszy, przychodzi na kawę do wspólnego stołu. Ów jegomość jest jej oficyalistą, lecz pochodzi z rasy europejskiej... poprawnej, uprzywilejowanej, ha, ha, ha! — prawo zatem niewolnictwa nie ścieśnia go w niczem.

Mimowolnie westchnąłem, i z niechęcią poglądałem na owych chasających, co stworzyli prawa jedynie dla siebie.

Statki amerykańskie, równie jak i hotele wielkich miast, można nazwać pomnikami tego kraju zamorskiego, tak są wspaniałe, ogromne i bogate.

W najmniejszej stancyjce w hotelu znajduje się umywalnia z marmuru białego, po nad którą błyszczą srebrzone kurki od rur napełnionych wodą zimną i gorącą dla użytku podróżnych. Woda ta dochodzi do najwyższego piętra, podobnie jak i gaz do oświetlania mieszkań. Każdy porządny, prywatny nawet dom jest oświecany gazem i mieści w sobie

wanny. Amerykanin zwykł brać kąpiel zanim wyjdzie do swych zatrudnień. Wszystko to bardzo mało kosztuje z powodu dobrego urządzenia.

Na parochodzie, którym płynąłem, po obu stronach wpodłuż środkowego salonu, znajdowały się rzędy drzwi numerowanych od małych pokoików przeznaczonych na sypialnie. W każdej z tych cel były dwa wązkie łóżka z materacami, jedno nad drugiem, przytwierdzone do bocznej ściany. Na przeciwległej ścianie wisiało zwierciadło nad pułką mającą zastąpić stolik; a na przeciw drzwi znajdowało się okno wychodzące na rzekę, lub szklanne drzwiczki prowadzące do zewnętrznej galeryi.

Podróżny w takim pokoiku jest jak u siebie. Na noc tylko odmawiają mu światła, dla uniknięcia wypadku. Za to w sali, zostającej pod dozorem służby, lampy goreją przez noc całą.

Gdy udalem się na spoczynek, sąsiadka moja w przyległej kajucie, Mexykanka, odmawiała głośno pacierz, a jej dziecina powtarzała za matką słowa miłym, rzewnym szczebiotaniem małego aniołka.

XV.

Uszanowanie dla kobiet — Wyścigi na wodzie.

XV.

Na parochodach, zarówno jak wszędzie w miejscach publicznych, pierwszeństwo jest ściślej zachowane dla kobiet w Stanach Zjednoczonych, niżeli w jakimkolwiek bądź innym kraju. Gdy zadzwonią, czyli raczej zabrzęczą blachą na śniadanie lub obiad, mężczyzni za zbliżeniem się do stołu nie siadają, lecz stoją przy swych krzesłach dopóki damy nie usiądą.

Ktoby wykraczał przeciw temu zwyczajowi, jest przestrzeżony przez chłopca służącego.

Nie ma narodu, któryby chętniej od amerykańskiego poddawał się władzy miejscowej, raz dobrowolnie przez siebie wybranej. Dla tego też rzadkie bywają zajścia między kapitanem a podróżnymi. Gdy się kto nieprzyzwoicie na statku znajduje, kapitan po prostu wysadza go na ląd; nikt zaś nie śmie pytać, jakie ma do tego prawo.

Co się tyczy służących, przestróg ich podróżni słuchają, gdyż są one zazwyczaj objawem tajemnej woli jeśli nie ogółu, to przynajmniej większości.

Kobieta w Ameryce może przejechać sama secciny mil, bez najmniejszej obawy bycia narażoną na jakieś ubliżenie ze strony różnorodnych ludzi, z którymi razem podróż odbywa. Zostaje ona pod opieką całej publiczności, wszystkich w ogóle i każdego po szczególe.

Nie jednokrotnie, gdy jechałem omnibusem w Nowym Jorku, choć był napełniony, zatrzymał się na skinienie idącej niewiasty. Skoro doń weszła, konduktor dawał znak najbliższemu mężczyznie, aby ustąpił jej miejsca. Nie zauważyłem nigdy najmniejszego skrzywienia się strony przy podobnych ustępstwach. Pokryteby ono zostało ogólnem pośmiewiskiem, z którego najczęściej przychodzi do boksów.

Nie raz i sam zmuszony byłem powstać przed przybywającą kucharką z koszykiem, i odbyć dalszą drogę stojący, trzymając się drutu przeprowadzonego w pośrodku u wierzchu, gdy kucharka wygodnie za mnie siedziała na ławie, obierając salatę z liści.

Myliłby się atoli ten, ktoby mniemał, że

uszanowanie to jest wynikiem delikatnego wychowania, serdecznej uprzejmości w obyczajach. Nie! W Ameryce forma ta pozornej grzeczności przeszła w zasadę z niezbędnej potrzeby ochronienia płci słabej od surowości krajowców.

Tak na starym lądzie w średnich wiekach, wśród gwałtownych obyczajów feudalnych, mężczyzni hołdowali damom jako rycerze, aby ich nie uciskać jako dzicy.

Stanowisko kobiety we wszystkich krajach jest oznaką stopnia oświaty tychże krajów. Niewolnica u barbarzyńców nabywa swoich praw w miarę, jak u nich na drodze powolnego rozwoju życie duchowe bierze górę nad czysto materyalnem. Towarzystwo tylko moralnie dojrzałe, które rozumie, że prawo mocniejszego nad słabą istotą jest prawem zwierzęcem, nie nadużywa swej wrodzonej siły względem białogłowy, ale wspiera ją, uznaje jej wysokie posłannictwo i dopomaga do jej wpływu na zbawienny postęp społeczeństwa, którego kobieta stanowi niezbędne dopełnienie.

Lecz zdarza się, że ludzie nie umiejąc zachować koniecznej równowagi między sobą, wpadają z jednej ostateczności do drugiej, i to jest wielkim ich błędem. W takim stanie właśnie znajdują się Amerykanie względem

kobiet swoich. Nie poprzestają oni na stawieniu im należnej podpory, ale nadto oddają im panowanie. I do czegóż to wiedzie? Oto do odarcia kobiety z jej wdzięku niewieściego, co jest przeważną w niej zaletą, do fałszywych jej poczuć i do zmieszania obowiązków.

— Wszak kobieta u was tam w Europie — rzecze raz do mnie Amerykanka będąca doktorem medycyny — ma tylko przed sobą zakres domowy, a zabroniony jej przystęp do życia publicznego.

— Nie zupełnie — odpowiedziałem — jakkolwiek kobieta w domowem zaciszu ma większą missyę do spełnienia, niż jenerał na polu bitwy.

— Lecz przyznasz pan, że jej zdolności dozwalają być także adwokatem, artystą, pastorem, kapitanem okrętu....

— Czy i żołnierzem?

— Tego nie mówię; lecz może celować w każdym zawodzie, nie wymagającym siły fizycznej — tem więcej, że wszystko co czyni pochodzi zwykle z zamiłowania.

— A czyżby jej posądzić nie można, że właśnie miłość popchnęłaby ją na zboczenie z obranej drogi?

— Nie żartuj pan! W samej rzeczy, odmawiać kobiecie udziału we wszystkiem, a

ściągać z niej obywatelskie podatki, jest to krzyczącą niesprawiedliwością . . . gorzej . . . jest barbarzyństwem!

Rozmowa poczęła się cokolwiek za ostro. Uznałem za stósowne, barbarzyniec europejski, ustąpić placu doktorowi z długiemi warkoczami pięknych, czerwonych włosów i z ciemnozielonemi oczyma, które cudownie zmieniały barwę w chwilach wzruszenia.

Emancypowana ta Minerwa była klejnotem towarzystwa amerykańskiego -- hołdowano jej gdy przemawiała na *meetingach* — sam niekiedy byłem olśniony jej potęgą umysłową — lubiłem jej słuchać -- dużo korzystałem nawet z jej rozmów — z tem wszystkiem, gdyby mi się z nienacka była oświadczyła, abym ją pojął za małżonkę, długobym się namyślał...

Powstawała często przeciw płci męzkiej, wytykając jej wady i ujemne strony. Ilekroć zaś razy w tym przedmiocie mówiła, myślałem sobie: chciałbym być spowiednikiem tego doktora panny!..

W ogóle Amerykanki są więcej wykształcone wszechstronnie od swych rodaków — ale też nigdzie tak wiele stosunkowo ile tam nie widziałem starych panien. Przepraszam za zestawienie tych dwóch uwag; są one czysto osobiste.

Młoda społeczność mężczyzn handlujących ma zaledwie czas do pakowania bawełny i do przeprowadzania kanałów i kolei na ogromnej przestrzeni, gdy kobiety oddają się naukom wszelkiego rodzaju, począwszy od łaciny aż do anatomii.

Codziennie widzieć można nie jednego kapitalistę lub bankiera, idącego z rana na targ po sprawunki, gdy tymczasem jejmość w swoim budoarze chuśta się w fotelu (stojącym na pałąkach w rodzaju kołyski) z gazetą lub książką w ręku.

Amerykanka wyższego tonu rzadko miesza się do zatrudnień gospodarstwa domowego — jest w tem wyręczaną przez męża, lub sługę Irlandkę albo Niemkę.

Na wsiach koloniści doją krowy przez uszanowanie dla wieśniaczek.

W zgromadzeniu atoli najczęściej kobiety bawią się osobno, a mężczyzni rozmawiają z sobą na uboczy.

Dziwne towarzystwo!

Wszechwładztwo kobiet w Ameryce posunięte do ostateczności sprowadza nadużycia z ich strony, jak każda ostateczność.

Gdy niewiasta zaskarży mężczyznę i przysięże, że przyrzekł się z nią ożenić a złamał obietnicę, sąd go zmusza do zawarcia związku

małżeńskiego, jeśli nie ułoży się i nie załatwi dobrowolnie sprawy z oskarżycielką. Niech mężatka zaniesie zażalenie, że mąż jej nie chce pracować na jej utrzymanie, może uzyskać wyrok zamknięcia go do aresztu, gdzie mu wydzielać będą robotę na utrzymanie kochającej żonki. Gdy chce otrzymać rozwód, dosyć jej zaprzysiądz, że mąż jej pijak lub próżniak, a natychmiast go jej dadzą bez wysłuchania nawet strony przeciwnej.

Przysięga jest tam poparciem oskarżenia. Niech rozumni juryści osądzą, czy postępowanie to jest sprawiedliwe i jakie skutki wywiera na moralność...

Dodać należy, że skoro dziewczyna pełnoletnia poczuje chęć do życia praktycznego i żąda pójść za mąż, może się obejść bez pozwolenia i błogosławieństwa rodziców. Drugi stopień moralności!... Niech tylko ucieczce z domu, spotka się z gachem, niechaj wezmą z ulicy pierwszego lepszego świadka, a zwierzchność nie odmówi im ślubu cywilnego, który jest wyłącznie zobowiązującym i ważnym, podobnie jak we Francyi.

Jak tylko noc pokryła ciemnym całunem rzekę Ohio, nieznane widowisko pojawiło się niespodzianie. Były to dwa ogromne statki

parowce, które płynąc w przeciwną nam stronę, zaczęły się ścigać.

Trudno sobie wystawić obraz bardziej czarodziejski nad ten, jaki przedstawiała ta nocna gonitwa. Tylko Amerykanie na coś podobnego zdobyć się mogą. Owe dwa płynące zamczyska, rzęsiście oświecone, puściły się w zawody z gwałtownością nie do opisania.

Szczególniejsze a niebespieczne wyścigi, będące w zwyczaju u krajowców!

Łuna wychodziła z ognisk kotliny, a snopy niebiesko-zielonawe gazu węglowego ulatywały z dymem z wysokich kominów, rozpalonych do czerwoności. Sterczały one jak dwie piekielne larwy wśród ciemności. Jednostajne buchanie pary przyspieszonego biegu maszyn, zdawało się być ziajaniem dwóch strasznych potworów wodnych, czychających na swą zgubę.

Przy podobnych gonitwach bywają smutne wypadki niestety! Zdarza się, że piec żelazny pęka i pogrąża w przepaść ofiary, szukające rozrywki na *spleen* i nudę w szalonej zabawie. Pozostałe w wielu miejscach u brzegów rzeki szkielety ze zdruzgotanych statków, podobne do trupów opuszczonych, aż nadto wyraźnym są tego dowodem.

Rząd usiluje wszelkiemi środkami zapobiedz owym konwulsyjnym ruchom. Coraz rzadziej się one wprawdzie powtarzają, ale zwyczaju stłumić całkowicie nie podobna, gdyż Amerykanie, ci morscy gladyatorowie, wielce smakują w tego rodzaju szermierkach. Przysłowiem ich jest: „chodź szybko — rób dużo — kupuj tanio!" (Go a head, cheaply!).

Niechno kapitan dojrzy jaki inny statek przed sobą, drgnie jego żyłka, oczy jego pałają chęcią wyzwania go na gonitwy. Jeśli przyjdzie do skutku, wtedy podróżni mogą na pewne wyobrazić sobie, iż stoją na deskach podsypanych prochem obok iskrzącej fajerki.

Drugą z pomiędzy wielu, a często wydarzającą się klęską żeglarzy, jest zetknięcie się dwóch parochodów płynących przeciw sobie podczas mglistej nocy. Pomimo światła latarni, trudno jest uniknąć przypadku w chwili szybkiego ich pędu.

Podczas długiego mego pobytu w Ameryce, wśród pewnej wycieczki na jeziorze, wstrząśnięcie nagłe przebudziło mię i wyrzuciło z łóżka, gdyby z procy. Okropne zgrzytnięcie roztaczających się po pokładzie łańcuchów od kotwicy, brzęk metaliczny, szum niezwykły kotła, powietrze parne i gorące,

wszystko to przerażając oznajmiało o nieszczęściu. Statek uszkodzony został przez uderzenie o drugi. Wtedy to młodzieńce mieli porę popisać się z zapalem, z jakim rzucili się do pomp, gdy woda, która jeno czatowała rychło się zrobi dziura w parochodzie, zaczęła doń się cisnąć. Odwaga atoli i zręczność ludzka pokonała i na ten raz zawzięty żywioł.

Nie utonęliśmy przecie!

Inaczej, nie podobny prawie byłby dla mnie ratunek przez rzucenie się w pław, gdyż jakaś półtoraczna, silna a trwożliwa niewiasta objęła mię w pół rękoma jakby dwoma kleszczami, najeżonemi dziesięciu szponami co się wpiły w moje biedne ciało.

Na pełnem morzu takie karambulowania się parochodów również mają miejsce, bowiem płyną one zwykle po jednych, oznaczonych na mapach prądach. Lecz tam trudne ocalenie się... najczęściej wypada pożegnać się ze światem.

Stokroć bezpieczniejsza, chociaż dłużej trwająca, jest podróż okrętem żaglowym, gdyż ten nie potrzebując prądów, płynie wolą wiatrów.

Parowiec i okręt można porównać do dwóch ludzi, z których jeden jest człowiekiem czynu, drugi bierny.

Pierwszy walczy z bałwanami, przecina je posuwając się naprzód w ustawicznem drganiu, z gorącym oddechem wśród zimnych fal toruje sobie drogę; dla tego też bywa niekiedy starty przez uderzające go wody, jeśli nie jest dobrze, mocno zbudowany, lub jeśli na starość połatano go wstawianemi deskami i krokwiami.

Okręt przeciwnie, zależąc od wiatru nie walczy z falami, lecz toczy się z niemi. Wiatr ustał, on stanął: wicher się zrywa, on chyżo bieży. Nie ma żadnego przeciwnika, oprócz skał podwodnych lub nadbrzeżnych i mielizny. Czasami trąba morska dmuchnie na niego i chce go wywrócić: atoli w chwili najwyższego niebezpieczeństwa podcinają mu maszty z żaglami, te padają, a okręt choć bez steru płynie dalej gdzie może.

. . . .

Szczęśliwie powróciliśmy do Cincinnati. Bogaty gród zasypiał w spokoju, nakryty karmazynową kotarą gorejących lamp gazowych: jaśniał wśród czarnej dokoła płaszczyzny jak brylant na ciemnej kanwie. Lekki turkot powozu przerywał gdzieniegdzie ciszę na ulicach; milczące postacie stróżów nocnych przesuwały się po chodnikach.



XVI.

Rzut oka na prawodawstwo, organizacę i stronnictwa.



XVI.

W tej wielkiej Rzeczypospolitej związkowej każdy Stan czyli kanton ma swój kodex i swój rząd osobny, podobnie jak w Szwajcaryi. Chciej dowiedzieć się od Amerykanina o jakim artykule prawa, o jakim szczególe administracyjnym, zapyta najprzód, o którym z dwudziestu trzech kantonów składających związek jest mowa. Inaczej zmuszony byłby dać dwadzieścia trzy odpowiedzi; — jakkolwiek bowiem — organizacya polityczna wszystkich kantonów i ich księgi prawodawcze są w jednym duchu, mają wszakże różnice wydatne.

Od tego ogólnego prawidła wyłączyć należy ustawy dla oddzielnych okręgów, złożonych z nowo tworzących się kolonii, które nie posiadając jeszcze przepisanej na kanton liczby mieszkańców, a tem samem nie mogąc mieć swych przedstawicieli na kongresie, zmuszone są poddać się nadanym im insty-

tucyom. Są one niejako nowicyatem przysposabiającym się zwolna do dojrzałości politycznej, zanim same zaczną się rządzić.

Niezależność i życie własne każdego kantonu, we wszystkiem co nie dotyczy interesu całego związku, jest głównym rysem ustaw amerykańskich.

Wszystko, co się odnosi do interesu ogólnego kraju, wedle litery i ducha karty konstytucyjnej, podpada pod roztrzygnięcie kongresu czyli sejmu.

Stany Zjednoczone obejmują w sobie głównie dwa stronnictwa: republikan (whigów) i demokratów (nowatorów). Bezustanku ścierają się one z sobą, przedstawiając niejako owę odwieczną walkę konserwatystów z opozycyą, od której żaden naród nie jest wolny.

Cechą różnicy republikan (federalistów) od demokratów, jest dążność pierwszych do wzmocnienia rządu tak, aby wziął przewagę zarówno nad jednostkami jako i nad partyami głosującemi w łonie kraju. Republikanie są to *unioniści*, obstający za centralizacyą, za całością bezwzględną kraju.

Demokraci, postępowi w ekonomii politycznej, konserwatyści zaś pod względem niewolnictwa na południu, starają się pogodzić zasadę wolności ze staremi interesami kraju.

Występowali oni obecnie z taką niesłychaną potęgą w obronie niewolnictwa, bo było to dla nich kwestyą bytu i niezależności ich szerzącego się stronnictwa. Nie ufając gabinetowi washingtońskiemu, starali się zawsze ograniczać władzę kongresu, a podnosić kantonową. Byli przeciwni co do przeprowadzenia komunikacyi lądowych i wodnych do stanów południowych. Wszystko, co zmierzało do zachwiania w czemkolwiek władzy ogólnej, było przez nich protegowane. Od dawna, bo od czasów trzeciego z kolei prezydenta, Jeffersona, przeważny był ich żywioł. Wytrącał on później z rąk gubernatorów kantonowych prawo wyboru sędziów, a oddawał tę godność pod głosowanie publiczne.

Tym sposobem nie jeden z tych, co miał być w przyszłości powieszonym, wybierał zawczasu sędziego na swą szyję.

Demokraci dla własnych widoków usiłowali uczynić wszelkie posady urzędników zależnemi od wotowania, na czas ograniczony. Mieli na uwadze, że raz utwierdzona ta zasada ciągłego ruchu, zmieniająca bez przerwy administratorów, nie da się nigdy ustalić i wzmocnić rządowi, a tem samem zabezpieczy ich od dążności unii.

Dwie tak sprzeczne zasady: republikan

unionistów i demokratów *separatystów* nie daly się pogodzić.

Zajścia atoli ich byly i są innego rodzaju jak te, co mają miejsce w Europie pomiędzy konserwatystami a rewolucyonistami. W Ameryce nikt nie myśli o zniesieniu konstytucyi, o rewolucyi i contre-rewolucyi; nikt nie pragnie monarchii ani anarchii w ścisłem znaczeniu tego wyrazu. Nie ma tam partyi, coby miała tradycyjną przeszłość historyczną, którejby się obawiano; lecz są dwie szale które się ważą. Zamiłowanie niezależności jest wspólne.

Gdy się wspomni Amerykaninom, że Anglicy mogliby im zburzyć miasta nadmorskie, odpowiadają, iż nie wiele by na tem stracili, gdyż mają dosyć gliny, kamienia i drzewa, aby je odbudować na nowo; lecz — mówią oni — gdyby swobody ich kraju stlumione byly, trudnoby znaleść materyaly do odbudowania tychże.

W Stanach Zjednoczonych namiętności polityczne burzą się zwyczajnie w chwili wyboru prezydenta, który co cztery lata się odbywa. Na którego z kandydatów glosowanie przeważy, ten zasiada na prezydenturze, w tak zwanym *palacu bialym* w stolicy Washingtonie a z nim wstępują i nowi urzędnicy, tu-

dzież ambasadorowie i konsule zagraniczni, należący do tegoż samego stronnictwa, co prezydent i mianowani przez niego.

Przyznać należy, że ambicye osobiste odgrywają niepospolitą rolę przy wyborach; ale ustają one z chwilą wybrania prezydenta. Gwałtowne mowy, artykuły dzienników, procesye manifestacyjne, jakoteż bójki uliczne kończą się także, a nazajutrz wszystko wraca do dawnego porządku.

Pozostaje tylko najdrażliwsza kwestya niewolnictwa, która mąci spokój publiczny.

Obecne czasy przedstawiają nam niepamiętny w dziejach świata rozlew krwi i tragiczną śmierć prezydenta Abrahama Lincolna, będące wynikiem załatwienia tej ważnej kwestyi ludzkości.

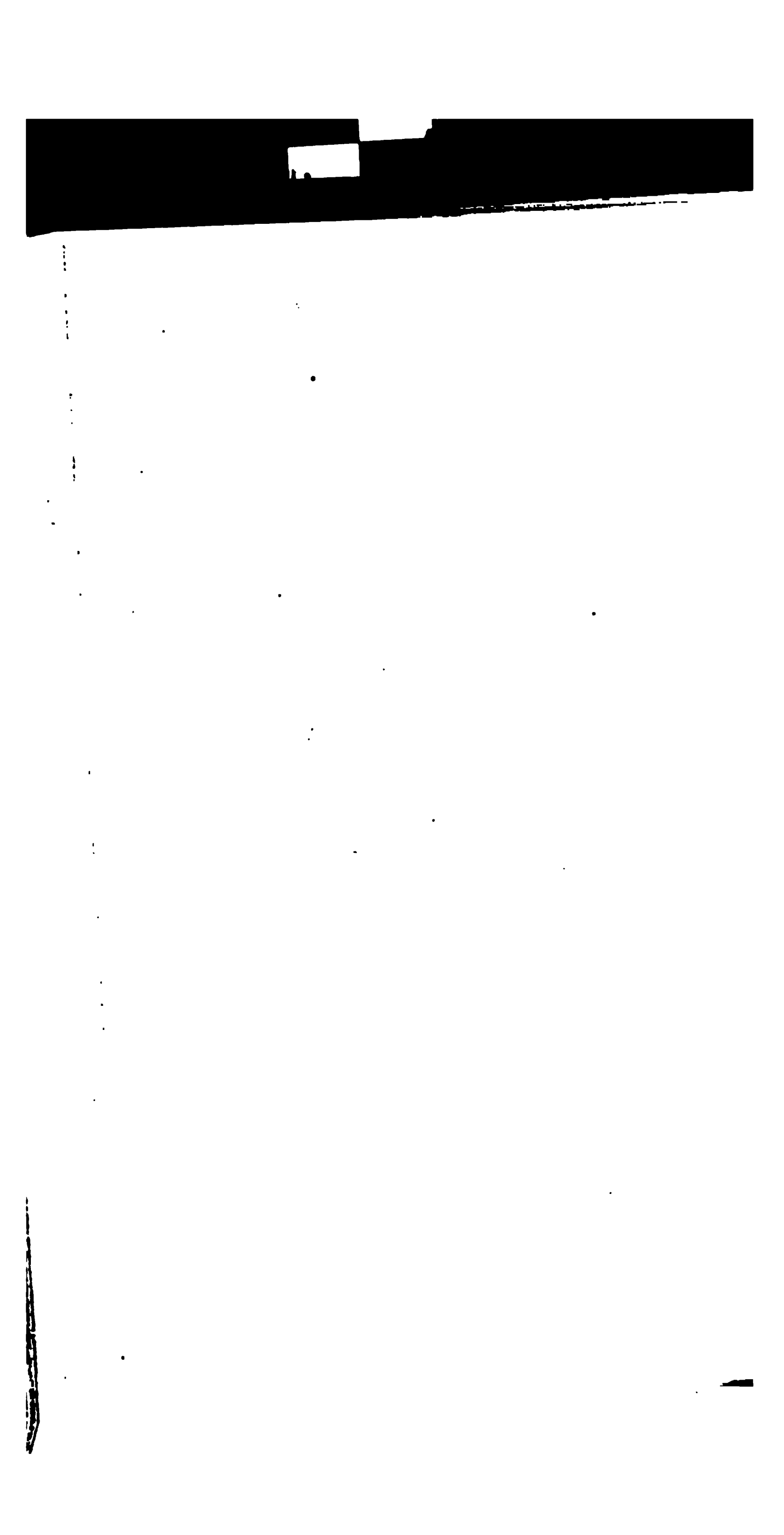
Czas jego prezydentury był czasem tranzycyi, uroczystego acz krwawego przejścia z jednej epoki do drugiej. Ukazały się w tym czasie, jak w zwierciedle stosunki amerykańskie. Epoka rządów Lincolna rzuca na nie wydatniejsze światło, aniżeli historya wszystkich prezydentów, razem wziętych, począwszy od Washingtona.

Dla tego nie od rzeczy będzie poświęcić mu rozdział następujący.



XVII.

Abraham Lincoln.



XVII.

Abraham Lincoln został wybrany na prezydenta przez stronnictwo republikanckie, które po długich zachodach otrzymało nakoniec zwycięztwo przy wyborach, i objął rządy nad Stanami Zjednoczonemi dn. 4 marca 1861 r.

Pochodzenie jego jest następujące:

Dziad prezydenta przybył z Wirginii do Kentuky w r. 1782, gdzie przy robocie w lesie został przez Indyan napadnięty i zamordowany. Syn jego wkrótce także po nim umarł, pozostawiwszy biedną wdowę z kilkorgiem dzieci, pomiędzy któremi znajdował się sześcio-letni Abraham, urodzony w Kentuky 18 lutego 1809 r. Cała ta uboga rodzina udała się razem do południowej Indyany, gdzie Abraham przez sześć miesięcy uczęszczał do szkoły; — potem był chłopcem u młynarza; — a później majtkiem statku na Mississipi. W 21ym roku życia powędrował do Illinois — tam przyjął obowiązek pomocnika w sklepie;

następnie wstąpił do kompanii ochotników, gdzie otrzymał stopień kapitana. Jednocześnie uczył się prawa, a wyszedłszy ze służby wojskowej został adwokatem.

W r. 1846 wybrano go na członka kongresu.

Wystąpiwszy ztamtąd, nie był powoływany powtórnie: przeto zaniechał na jakiś czas polityki, oddając się wyłącznie adwokaturze.

W sporach o prezydenturę w 1856 r. stał Lincoln na czele zwolenników kandydata Fremonta, który wszakże nie mógł wziąść góry.

Widziałem wtedy Lincolna na jednej ze stacyi kolei żelaznych, z torbą podróżną w ręku. Był wysokiego wzrostu, trochę pochylony, mógł mieć około lat 50, chudy, cery żółto-brunatnej, oczy miał wklęsłe lecz wymowne, i nosił zarost à la *yankee*, to jest brodę bez wąsów.

W 1858 r. został mianowany senatorem.

Przy wyborach 1860 r. na Prezydenta Stanów otrzymał za sobą o 30,000 głosów więcej niż wynosiła połowa wszystkich głosów. Już w początkach listopada 1859 r. miał Lincoln za sobą znaczniejszą ich liczbę, niżeli jego poprzednik Buchanan (stary dyplomata z partyi separatystów) w 1856 r.

Zaledwie objął prezydenturę, aliści rozpoczęły się od dawna już w zarodzie będące zatargi pomiędzy prowincyami południowemi a północnemi, prowadzące do rozdwojenia.

Już r. 1822 mieszkańcy południowych prowincyi (handlarze niewolnikami) gromadzili materyały, aby rozerwać tę tak świetnie urządzoną federacyę przed 85 laty, sformować swój osobny rząd, oparty na wojsku i zrównać się w powadze z angielskimi lordami.

Całe cztery lata prezydentury poprzednika, były niejako przygotowawczą konspiracyą południowych prowincyi, których Buchanan był narzędziem.

Na odgłos utrzymania się Lincolna postanowili mieszkańcy południa użyć wszelkich środków, aby wywołać rozprzężenie. Lincoln umiał zręcznie unikać wszelkich powodów do zatargów: pomimo tego gubernator południowej Karoliny (prowincyi rolniczej) Pickens i jenerał milicyi postanowili rząd w Montgomery wydobyć z pod wpływu Stanów Zjednoczonych i utworzyć własny. Znaleźli oni poparcie do tego śmiałego kroku u swych zwolenników w Nowym Jorku, tudzież u dwóch znaczniejszych dzienników. Wpływ to był wielki, mianowicie w mieście handlowem, którego interesem jest pokój. Cały zawiązek

tej intrygi okryto płaszczem przezorności i osobistego bezpieczeństwa.

Czyny te wywołały straszliwą wojnę domową, której następstwa nie dały się początkowo obrachować. Od czasu Washingtona Lincoln był pierwszym prezydentem, co zmuszony został przelewać krew bratnią.

Wojna amerykańska stworzyła ogromne i wyćwiczone, stałe armie i wojenną marynarkę unii, czego zawsze tak obawiali się demokraci; przemysł krajowy zarzucił wszelkie wynalazki, a party potrzebą chwili, zwrócił się na udoskonalenie grotów bojowych. Wojska przyuczyły się czynić obroty na sto-milowych przestrzeniach z taką zręcznością, jak gdyby je robiły na placu musztry.

Władza wykonawcza czerpie najczęściej nową siłę w wojnie. Po skończeniu czteroletniej prezydentury Lincolna, tenże powtórnie, mocą wyborów w r. 1864 utrzymał się przy władzy.

W monarchiach konstytucyjnych, kiedy ministerium jest obalone, pozostaje jeszcze monarcha, armia, zarządy publiczne. W Stanach Zjednoczonych ustąpienie prezydenta pociągając za sobą ustąpienie urzędników, powoduje w całym prądzie życia publicznego odpływ podobny do odpływu morza, który się równie

czuć daje w najdrobniejszych szczelinach skał, jak na nieprzejrzanym obszarze wód.

Zupełna zmiana władzy wykonawczej podczas wojny zawsze jest niebezpieczną, lecz tem niebezpieczniejszą, jeżeli wojna jest domową. Zasady wtedy występują do walki równie jak ludzie; duch niezgody wkrada się do każdej prowincyi, do każdego miasta, do każdej niemal chaty; namiętności zapalają się; najszlachetniejsze i najpodlejsze popędy kłębują się w owych epokach wstrząśnień i rozkładu: zdrada wciska się po za bohaterstwo, tchórzostwo po za odwagę, nienawiść po za wspaniałomyślność.

W początkach wojny — słowa p. Langel — gdy pierwszy huk działa zagrzmiał nad warownią Sumter, duch stronnictw ukorzył się na chwilę przed duchem patryotyzmu, powiew zapału przeniknął cały naród; pochlebiano sobie, że w kilku miesiącach pokonać będzie można rokosz. Porażki, nieuchronne wśród wojny, przewłoki, wahania się rządu, dozwoliły dawnemu stronnictwu demokratycznemu, strąconemu przyjściem do rządu Lincolna, odbudować się stopniowo, szukać nowych punktów zetknięcia i zreformować swoje kadry. Zdawało się z razu, że wojna zada cios fatalny stronnictwu demokratycznemu

północy, które od pół wieku okazywało się wiernym i uprzejmym sprzymierzeńcem możnowładztwa właścicieli niewolników; lecz wojna tak się przedłużać zaczęła, że stronnictwo odzyskało odwagę.

Wszystko mu szło w pomoc: umiarkowanie polityczne Lincolna, który doszedłszy do władzy w najkrytyczniejszych okolicznościach, odezwał się do wszystkich i okazywał demokratom uprzejmość, mogącą niepokoić i drażnić tych, co go wynieśli na prezydenturę; postawa i zdania polityczne Mac-Clellana, przywiązanego, jak większa część Westpoint, do zasad demokratycznych; zawiść długi czas głucha a nader otwarta pomiędzy tym młodym jenerałem a władzą wykonawczą; jego opozycya przeciw polityce emancypacyi i rekrutowaniu pułków czarnych; porażki doznane w Wirginii przez jenerałów, którzy objęli po nim odebrane mu dowództwo armii Potomaku.

Zwłoki wojenne, następujące po sobie powoływania pod broń, konskrypcya, zamęt sprawiony ciągłem puszczaniem w obieg pieniędzy papierowych, musiały zasiać w kraju liczne zarody opozycyi. Niemniej jednak tak przed jak podczas wojny Amerykanie dzielili się głównie w kwestyi niewoli.

Nie znam dziwniejszego fenomenu, jak ślepe przywiązanie wielkiego stronnictwa do starej *instytucyi*, z której żadnej bezpośredniej nie ciągnie korzyści.

Że w Stanach, gdzie jest zniesiona niewola, jak w Marylandzie, panowie wywłaszczeni z niewolników, żałują dawnego składu rzeczy, tłómaczą to do pewnego stopnia przesądy wychowania i wrodzona człowiekowi żądza władzy bez kontroli; lecz pojąć trudno, jaką tajemną siłą wcisnąć się zdołała niewola, jakby rodzaj religii, w serca tylu demokratów północy, którzy żyli zawsze pomiędzy ludźmi wolnymi.

U ciemnych i na pół dzikich Irlandczyków, których emigracya rzuciła na stały ląd, nienawiść do rasy czarnych tłómaczy się wrodzoną zazdrością. Irlandczyk nie widziałby nic poniżej siebie na stopniach społeczeństwa, gdyby ustawa nie upośledzała murzynów i nie pozbawiała ich wszelkich praw obywatelskich.

Stronnictwo demokratyczne, które ma w mieszkańcach miast, mianowicie u Irlandczyków, najwierniejszych i najzgiełkliwszych popleczników, schlebia przesądom tłumu, aby go módz użyć za oręż na przeciwników swoich.

Jest jednak, jeśli się nie mylę, coś innego niż ambicya, niż miłość władzy w uczuciu,

które przywięzuje menerów wielkiego tego stronnictwa do *instytucyi niewoli;* łączy się do tego jakaś nikczemność demagogiczna, która miesza pojęcia niepodległości i służebnictwa, równości i uciemiężenia.

Demokrata amerykański tą samą podaje ręką swoim stronnikom rozkosze wolności i przyjemności tyranii.

W miarę, jak rząd ulegając silnemu parciu opinii liberalnej, coraz bardziej wchodzić zaczął na drogę polityki emancypacyjnej, opozycya stała się zapalczywszą, niecierpliwszą. Z większą przezornością jej naczelnicy mogliby byli dostrzedz, że walczą przeciw nieprzepartemu potokowi.

Odezwy emancypacyjnej z dn. 1 Stycznia 1863 r., która nadała wolność wszystkim niewolnikom Stanów powstańczych, nie podyktowała fantazia pojedyńczej woli, zgadzała się ona z życzeniem narodu i z ogółem aktów władzy prawodawczej.

Nie podobna mieć dokładnego pojęcia o instytucyach politycznych Stanów Zjednoczonych, nie badając z bliska organizacyi stronnictw i systemu zgromadzeń, który główny stanowi żywioł owej organizacyi.

System ten stosuje się równie do rządu wewnętrznego Stanów, jak do rządu związkowego.

Organizm stronnictw amerykańskich najlepiej da się porównać z organizmem roślinnym: zebrania i wydziały gminy wyobrażają komórki; zgromadzenia Stanu, włókna; zgromadzenia ogólne, pień. Porównanie to tem jest trafniejsze, iż wydziały gminne pierwszego stopnia tworzą podstawę całego organizmu politycznego, jak komórka jest początkiem i istotą całej budowy roślinnej.

Zasada samorządu, przyniesiona z Anglii do Stanów Zjednoczonych przez pierwszych osadników, zwiększała ciągle zakres swego panowania; lecz zawsze pozostała przytwierdzoną do pierwotnego środka — którym jest *gmina*. Życie polityczne przepływa bezustannie z tego środka do obwodu i z obwodu do środka i utrzymuje ruch nieprzerwany owych wielkich ciał, co się zowią stronnictwami. Silny ten ruch nigdy nie ustaje, lecz przedstawia się naturalnie naglejszym w obec zbliżających się przesileń politycznych.

Przed wyborem na prezydenturę, członkowie każdego stronnictwa zbierają się we wszystkich gminach i wybierają delegowanych; ci znów zbierają się w swoich Stanach i

wyznaczają reprezentantów na zgromadzenie ogólne, które ogłasza swoj program i wybiera kandydatów. Natenczas odbywa się niejako ruch odwrotny. Nowe zgromadzenia Stanu zbierają się dla potwierdzenia aktów zgromadzenia ogólnego i spisania imion swych kandydatów na *wyborców prezydencyalnych;* do imion tych dodaje zgromadzenie Stanu imiona kandydatów na opróżnione urzęda Stanu.

Każde stronnictwo tworzy tak zwany *ticket*, czyli listę obejmującą wyborców prezydencyalnych, gubernatora, urzędników Stanu i reprezentantów na kongres, których miejsca są opróżnione. W dniu wyboru prezydenta każdy obywatel wybiera pomiędzy rozmaitemi listami i zmienia je wedle upodobania. Mandat wyborcy prezydenta jest, rzec można, mandatem roztrzygawczym tak, iż z imienia listy, która odniesie tryumf, odgadnąć można imię przyszłego prezydenta dużo wprzód, nim wyborcy prześlą senatowi zapieczętowane swoje wota.

Ciało wyborcze przeto wzoruje się ściśle według kongresu, do którego każdy Stan wysyła niezmiennie po dwóch senatorów i mniejszą lub większą ilość reprezentantów, stósownie do liczby ludności. Reprezentantom odpowiadają wyborcy zamianowani w tych

samych okręgach: senatorom wyborcy obrani przez cały Stan. Prócz głosów do jakich każdemu Stanowi daje prawo liczba jego ludności, rzuca on tym sposobem dwa głosy dodatkowe na skalę wyborczą, które wyrażają pod pewnym względem oderwaną zasadę jego samodzielności.

Wydział redaguje i podaje pod zatwierdzenie zgromadzenia Stanu to, co tam nazywają *resolutions*; jest to nazwa, którą dają na wszystkich *meetingach* przedstawieniu zdań wszystkich tych, co w nim biorą udział, w kwestyach, nad któremi się tam obraduje.

Jedna postać — opowiadanie p. Langel — pozostała mi w pamięci, postać kapłana, który według zwyczaju odmawiał modlitwę w chwili otwarcia posiedzeń (1864 r. przy powtórnym wyborze Lincolna w Stanie Massachussetts).

Młody jeszcze, z długiemi, spływającemi włosami i delikatną brodą, jak malują Chrystusa; widzę go nieruchomym i ze spuszczonemi oczyma; słyszę jego głos poważny i przeciągły, odbywający się w ogromnej sali wśród powszechnego milczenia.

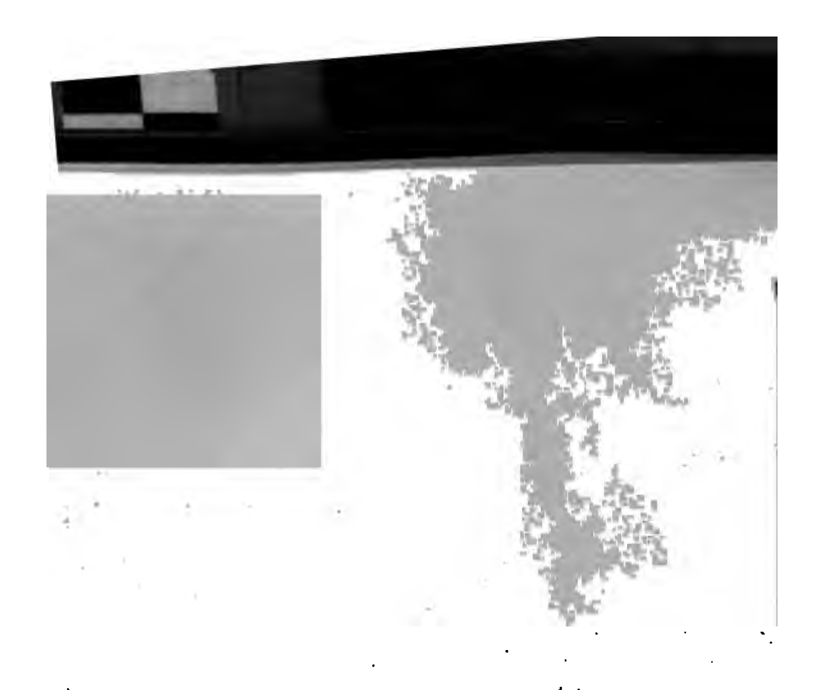
Jego wymowa miała coś słodkiego i zarazem dzikiego: wzywał łaski niebieskiej dla ludu swego, skaranego za to, że uciemiężał nieszczęśliwe plemię; lecz ofiarował Bogu, je-

żeli tego wymaga, nowe całopalenie z gotowością, w której więcej było pychy niż rezygnacyi.

Z czołem bez zmarszczków, a jednak przymglonem troską, prorocze to oblicze wydało mi się jakby żyjącym wizerunkiem Nowej Anglii ubiegłych czasów, pobożnej, surowej, pracowitej, która w swych chatach drewnianych przygotowywała się do wielkich przeznaczeń.

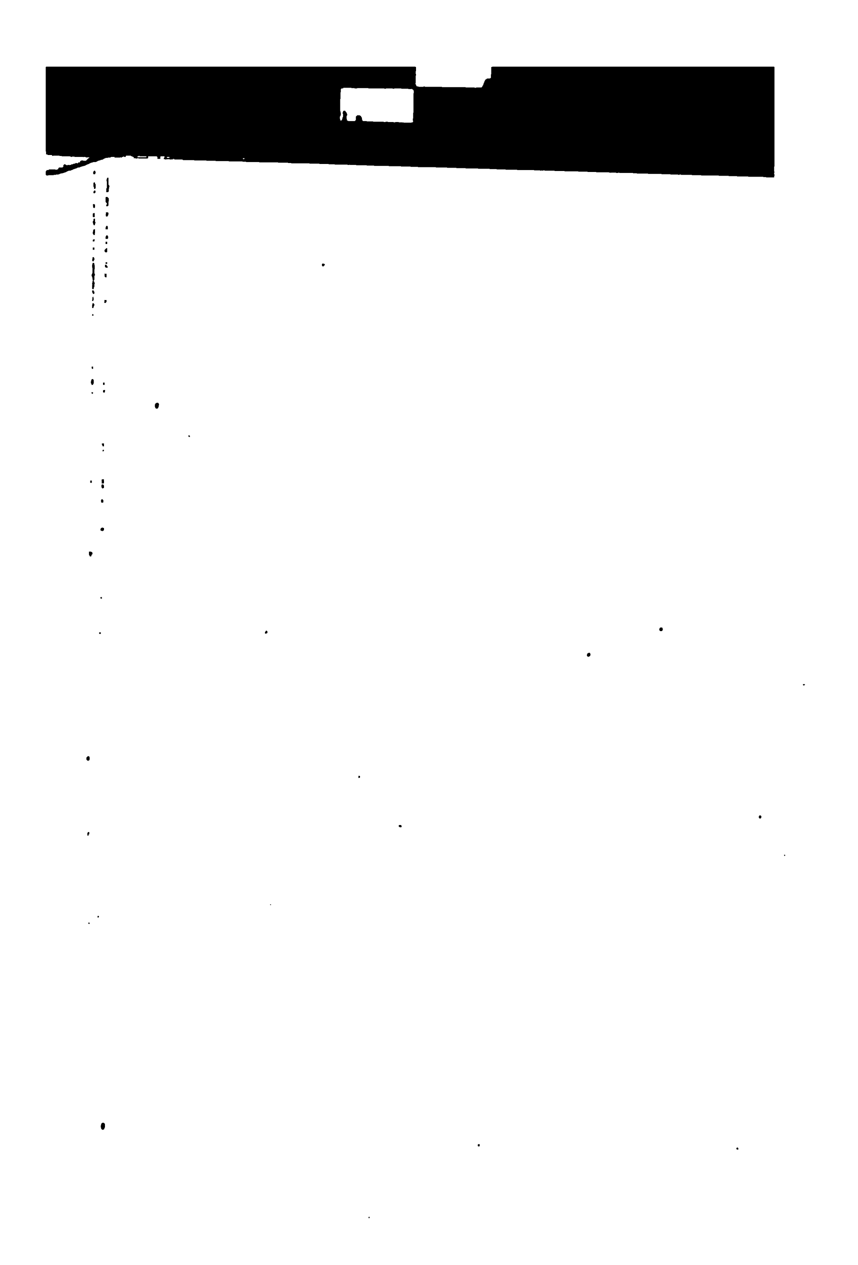
Czyż nie miałem przed sobą potomków w prostej linii owych wychodźców, którzy na nowy ląd pierwsi z sobą przynieśli wolność i wiarę?

Nie znałem ani jednego z owych 600 delegowanych, przybyłych z różnych punktów Massachussetts. W prostej odzieży, w ciężkiem obuwiu, z rękami opalonemi, poznawałem w nich rękodzielników, dzierżawców, rybaków. Wszyscy zdawali się całkiem oswojeni ze zwyczajami parlamentarnemi; wstawali, mówili bez zmieszania, bez deklamacyi. Nie widziałem nigdy większego porządku, jak w owem tak luźnem zgromadzeniu. Każdy przynosił z sobą powszechne Stanu zwyczaje, od dawna nabyte na zebraniach się gmin, miast i okręgów wyborczych.



XVIII.

Wybór Lincolna w roku 1864 i jego śmierć.





XVIII.

Wróciwszy do swych gmin, delegowani na zgromadzenie powszechne zwołują swoich stronników i zdają im sprawę ze swego posłannictwa na zebraniach, noszących dziwną nazwę *caucus*.

Widziałem — opowiada dalej p. Langel — *caucus* republikański w małem miasteczku Stanu. Zebranie odbywało się wieczorem w domu gminnym. Udałem się tam przy blasku słabej zorzy północnej, rzucającej światło blade i mgliste na wzgórza okryte karłowatemi cedrami, na białe domy, na sterczące mury kamienne, otaczające dziedzińce.

Przygotowywano się do *meetingu* ludowego, na który zgromadzić się mieli wszyscy stronnicy Lincolna, i zamianowano następnie kandydatów na urzędy radzców municypalnych. Wyznaczono po jednym kandydacie na każdy okręg szkólny. Gmina posiadała osiem szkół na ludność ośmiotysiączną, rozrzu-

coną wprawdzie na wielkiej przestrzeni. Szkoła jest w całej Nowej Anglii zlewem elementarnym, który służy za podstawę i podporę gminie. Jest ona również kolebką instytucyi obywatelskich i wychowanie początkowe jest źródłem wychowania publicznego.

Podczas gdy republikanie odbywali swój *caucus* w jednej Izbie domu gminnego, demokraci w innej sali byli zebrani.

Wstęp do gmachu municypalnego nigdy nie jest wzbronionym zebraniu się obywateli w celu politycznym. Wszystkie stronnictwa potrzebują wolności: tryumfujący nie myślą pozbawiać swoich przeciwników praw, do których się sami odwoływali, nie będąc u steru.

Ze względu na nieograniczoną wolność, jakiej stronnictwa polityczne używają, mogą one sobie nadawać w Stanach Zjednoczonych silną organizacyę: zgromadzenia pierwszego stopnia, zgromadzenia okręgowe, zgromadzenia Stanu, zgromadzenia powszechne, tworzą rodzaj organizmu, który duch stronnictwa podtrzymuje i reguluje, jak systemem słonecznym rządzi ciążenie. Duch stronnictw zamiast okazywać się burzącym jak w krajach gdzie nie jest uregulowanym, staje się przeciwnie rękojmią zachowawczą. Rzecz jasna, że nie łatwo jest zmienić lub utworzyć ów organizm

polityczny, obejmujący wszystko, począwszy od najmniejszej gminy aż do ogółu Związku, nie łatwo stworzyć i zapełnić tak obszerne ramy.

Stronnictwo demokratyczne, które było u władzy od czasów Jeffersona aż do prezydentury Lincolna, zatrzymało do dziś dnia nie małą część potęgi, nabytej przez peryod tak długi. Teraźniejsze stronnictwo republikańskie nie zrodziło się w 1860 r., jest ono tylko ostatecznem przeobrażeniem dawnego stronnictwa whigów, które wbrew tylu przemian nie straciło nigdy całkiem z oczu dwóch celów: utrwalenia władzy wykonawczej i ograniczenia, jeżeli nie zniesienia niewoli. Tradycye polityczne nie mogłyby przechodzić z pokolenia w pokolenie demokracyi, gdyby nie te wielkie rządy opinii, które panują w pokojowej dziedzinie idei.

W krajach, gdzie ciała wyborcze są mniej liczne i gdzie istnieją klasy uprzywilejowane, wspólność interesów wymaga poniekąd sama przez się jedności, logiki w akcyi politycznej; lecz w Stanach Zjednoczonych, gdzie głosowanie jest powszechne, gdzie podział klas zaledwie jest dostrzegalny, gdzie panuje najzupełniejsza równość, ciało wyborcze gdyby się nie powodowało tradycyami stronnictw, sta-

łoby się, że tak powiem, jakimś pyłem bezistotnym, rozrywanym podmuchami najkapryśniejszych prądów. W społeczeństwie takiem nie dostrzega się nic po za obrębem akcyi moralnej stronnictw, coby służyć mogło za obronę albo przeciw anarchii, albo przeciw despotyzmowi. Charakterystycznem jest zresztą, ile duch stronnictw traci z swej szorstkości i zapalczywości, kiedy codziennie znajduje sposobność objawienia się, kiedy wpływa do wszystkich stosunków życia publicznego, kiedy nie potrzebuje czekać na rzadkie i uroczyste zdarzenia, aby wolny dać bieg zapałowi swemu.

Wybór prezydenta powtarzający się co cztery lata wstrząsa wprawdzie krajem aż do głębi, lecz wzruszenie to nie inaczej się wyraża od wzruszeń zwyczajnych i miejscowych, których teatrem jest Stan, miasto i gmina. Nikt się tem nie przeraża, nie upatrując nic, coby było nienaturalnem, bo prawidła tych wielkich pojedynków stronnictw są z góry określone.

Jeżeli organizacya stronnictw w Stanach Zjednoczonych uważaną być winna, jako niezbędna konieczność polityczna i jako rękojmia porządku i trwałości, to ma ona jednakże pewne niedogodności.

Można jej *np.* zarzucić, że sfałszowała

wybory na prezydenturę, oddając wybór pierwszego urzędnika Rzeczypospolitej, nie jak chciała konstytucya niepodległemu ciału wyborczemu, lecz zgromadzeniu, które narzuca uchwały swoje wyborcom prezydenta.

Można jej zarzucić jeszcze, że nad miarę zwiększyła ważność tych ludzi, których tu zowią *Politicians*, a którzy są czynnymi przewodnikami stronnictw. *Politician* nie ma nic wspólnego z właściwie tak zwanym mężem stanu; nie potrzebuje on ani głębokiej nauki ani wzniosłego charakteru, ani nawet wielkiej wymowy, lecz sztuki odgadywania i kierowania ludzi, głębokiej znajomości przywar i przymiotów serca ludzkiego, obok wrodzonego popędu do ruchliwości, do intrygi, do dawania protekcyi.

Nazwa *Politician* w ustach wielu Amerykanów stała się prawie obelgą, lecz nie pojmują, jakby się obejść mogły stronnictwa bez tych narzędzi codziennych; nie ma bowiem nigdy armii bez sztabu.

Menerowie nie mogą jednak nic uczynić bez poradzenia się i poznania uczuć ludowych; są oni jak chorągiewki polityczne, które wskazują bezustannie kierunek wielkich prądów opinii. Prawdziwy mąż stanu może zawsze mówić wprost do kraju po nad głową

owych *Politicians*, będąc pewnym, że jeżeli naród słuchać go będzie i pójdzie za nim, nie ma się czego lękać pasożytów, żyjących tylko popularnością.

Gdy praca stronnictw ukończoną i listy wyborcze uzupełnione zostały, inne pozostaje jeszcze zadanie do spełnienia; wtedy ubiegać się zaczynają o względy ludu, wtedy usilują poruszyć opinię publiczną tysiącem głosów, prasy, z trybuny, a nawet z ambon. Mówcy ludowi, posłowie na kongres, senatorowie, gubernatorowie rozpoczynają *canvass*, to jest krucyatę wyborczą. Wtedy idą z miasta do miasta przemawiając do ludu, roztrząsając tytuły współzawodniczących kandydatów.

Meetingi następują jeden po drugim, dzień w dzień.

Najważniejszy, w jakim uczestniczyłem, był w Bostonie w dniu 28 września. Republikanie, którzy dali sobie miejsce schadzki w klubach rozmaitych okręgów, przeciągali przez miasto przy blasku pochodni, z chorągwiami i przezroczami, na których czytać było można ich ulubione godła.

Gdym przybył do wielkiej sali, około trzech tysięcy osób zajęło w niej miejsce, a przy wchodzie postawiono dwa drewniane stopnie dla mówców mających przemawiać

do tych, którzy nie mogli się pomieścić wewnątrz. Z galeryi, na którą wcisnąłem się pomiędzy członków bióra i mówców tego wieczora, sala wydawała mi się, jakoby morzem ruszających się głów. Wszyscy widzowie stali ściśnięci jedni przy drugich, a czasem prąd nieprzeparty chwiał tą ożywioną masą w kierunku odwrotnym, jak wiatr pochyla kłosy.

Przez cztery godziny mówcy trzymali tłum w wytężeniu uwagi. Jeden z nich, przybyły z Maryland podniósł zapał słuchaczów, wywołując wspomnienie żołnierzy poległych, idących na pomoc Washingtonowi. Młody ten mówca przebiegając z jednego na drugi koniec galeryi i gestykulując gwałtownie, dziwił i zachwycał swem słowem południowej wyobraźni mieszkańców Bostonu, przywykłych do wymowy spokojniejszej.

Pan Karol Summer powiedział najznakomitszą rzecz tego wieczora; głos jego poważny i donośny panował nad wrzawą wielkiego tłumu. Podczas, kiedy z nieubłaganą logiką rozwijał oba programy stronnictw: demokratycznego i republikańskiego, przyglądałem się uważnie czarnym, znajdującym się tam i owdzie w sali. Oczy ich szklące się jak porcelana, ścigały najmniejszy ruch tego, który

od dawna ustanowił się ich obrońcą — i na tych prostaczych twarzach czytać mógłem uczucia czystsze, prawdziwsze niż tych, w których popularność gminna zbyt często mniema znajdować swe uświęcenie.

W jakiś czas potem, wracając z wycieczki w Białe-Góry, gdy zatrzymałem się w mieście Springfield, usłyszałem z pokoju mego muzykę i wyjrzawszy oknem ujrzałem długi orszak poprzedzony pochodniami. Zapytałem o cel tego; odpowiedziano mi, że jeden z klubów *demokratycznych* miasta idzie odbyć *meeting* na wzgórzu, na którem znajdują się gmachy arsenału Stanów Zjednoczonych.

Liczni widzowie uszykowani byli na szerokich trotoarach ceglanych. Słyszałem przechodząc uwagi ironiczne: „więc są przecie demokraci? sądziłem, że wymarli; procesya ich podobna do pogrzebu.“ Lecz prócz tego nic więcej; żadnych krzyków, żadnych obelg, żadnych starć.

Orszak zwrócił się i wszedł na wzgórze aleją wspaniałemi jaworami ocienioną. Z obu stron spostrzegłem zalotne wille, przyczajone wśród drzew i otoczone ogrodami, — udałem się ku żelaznym sztachetom okrążającym obszerną przestrzeń, na której się wznoszą piękne budynki arsenału. Wyrastające gmachy

te z pośród szerokiej murawy, wziąćby można w nocy raczej za pałace, gdyż nie widać tam nigdzie owych złomków, owych rozrzuconych materyałów, piętrzących się zwykle około magazynów.

Wreszcie tłum zatrzymuje się na szczycie wzgórza; improwizowany marszałek podnosi się, niewiedzieć jakim sposobem, po nad tłum, *meeting* rozpoczyna się, i przystępują do załatwienia spraw.

Mała ośmioletnia dziewczynka wspięła się obok marszałka i śpiewała głosem krzykliwym pieśń na cześć jenerała Mac-Clellan; przypominam sobie zwrotkę tej pieśni:

„We have an other Washington. Let us vote for little Mac".

(Mamy drugiego Waszyngtona; wotujemy za małym Mac-Clellanem).

Mówca zabiera następnie głos. Wszelki rzytyk do nieszczęśliwych czarnych chwyta zapałem ciemne i dzikie pospólstwo robotniów irlandzkich. Mówca nie wymawia nigdy *gro*, lecz *nigger*, i nigdy nie mówi podliwego tego wyrazu bez wyzywającego isku.

Pomimowolnie cofnąłem myśl do strach scen, których Nowy Jork był niegdyś em; do owych murzynów ściganych po

ulicach, mordowanych, palonych; do owego przytułku sierot murzyńskich zrabowanego i spalonego.

Księżyc uśmiechnięty rozlewał urocze światło na tłum ściśniony, który widziałem przed sobą, na owe kobiety z słodkiem obliczem, pomieszane z robotnikami, na jawory zwieszające wysmukłe swe gałęzie. Tłum był — prócz chwil w których wydawał chrapliwe okrzyki — taki spokojny, taki karny, że czasami nie mógłem pojąć, co się dzieje przed memi oczyma.

Cóż to za przepaść owo serce ludzkie! Pocóż tyle nienawiści pod tem łagodnem niebem, wśród tych wszystkich darów przyrody, tych zwycięztw działalności i rozumu ludzkiego? Spoglądałem, raz na mury owego arsenału, gdzie wojsko dwukroć stotysięczne mogłoby się jutro uzbroić, to znów na ten tłum, który sama nazwa: „murzyn,“ zdawała się upajać i wprowadzać w szaleństwo.

Tłum wytłómaczył mi istnienie arsenału...

Czyż naród ma żyć w pokoju z sobą samym, gdy nie jest w pokoju z ludzkością?....

W wielkich miastach, jak Nowy Jork, Filadelfia, Boston, procesye po ulicach nie tylko do tego służą, aby działać na wyobraźnię mas; wielu z wyborców niezdecydowanych

poruszy armie współzawodnicze i przystępuje do liczniejszych batalionów. Dla tego wydziały kierownicze nie cofają się przed bardzo znacznemi wydatkami, aby nadać, o ile można, jak najwięcej okazałości owym manifestacyom.

Byłem w Filadelfii podczas wielkiej procesyi demokratów; odbyła ona się na kilka dni przed wyborem d. 29 października w wieczór. Filadelfia podzielona jest na 26 okręgów, tak zwanych *wards*. Każdy *ward* reprezentowany był przez liczny oddział jeźdźców, przez niosących chorągwie i przezrocza (transparenty), przez rydwan ciągniony przez kilka koni, w końcu przez znaczne grono pieszych, uszykowanych w szeregi jak żołnierze. Wszyscy mieli około kapeluszów szerokie taśmy z papieru białego, na których zapisana była liczba ich okręgów. Większa część niosła pochodnie, lub długie lalki, na końcu których zawieszone były lampy. Jeźdzcy przybrani byli w pasy, szarfy, wieńce, zrobione z postrzyżonego papieru kolorowego. Wozy ozdobiono licznemi chorągwiami. Na jednym z tych ogromnych rydwanów, ciągniętych przez sześć koni, jechały młode dziewczęta, wyobrażające rozmaite Stany Unii. Wpośród sukni i garnirunków białych poznać było można zbuntowane Stany

po długich welonach czarnych i sukniach żałobnych.

Na innym wozie umieszczono małe działo i od czasu do czasu odgłos mocnego wystrzału mięszał się z okrzykiem tłumu. Petardy padały ze wszystkich stron, race ulatały po nad dachy i spadały powoli gwiazdami różnobarwnemi. Czasem ognie bengalskie zapalone na jednym z wozów napełniały nagle ulice łagodnem swem światłem, i długie ruchome szeregi jeźdzców, pochodni, wozów, chorągwi, osłaniały się purpurowym lub fioletowym obłokiem.

Do wszystkich okien cisnęły się kobiety powiewające chustkami i wtorujące okrzykami swemi stugębnym *hurra!* orszaku. Przezrocza szczególniej zwracały na siebie uwagę widzów; oświecone wewnątrz lampą przedstawiały ze wszystkich czterech stron godła, wizerunki, karykatury, a niosący je nieustannie je obracali, aby wszystkie ich strony pokazywać widzom. Tu widzieć było można długą i chudą postać Lincolna z tłustą murzynką na każdem ramieniu; tam prezydent z torbą uchodził z Białego - Domu. Widziałem gdzieindziej te wyrazy: „abolucyonizm, rak narodu,“ a pod niemi figurował olbrzymi rak z czerwonemi żyłami i palczystemi nożycami.

Najwzorowszy porządek panował w tym długim orszaku, liczącym zapewne nie mniej, jak 5000 ludzi; nazajutrz jednak dowiedziałem się, że demokraci przybrali groźną postawę w obec-republikanów. Rzucali oni cegły na ogromne dwa przezrocza umieszczone w oknach tych klubów, z których jeden przedstawiał Lincolna, drugi kandydata do wiceprezydentury, p. Johnsona. Wiele szyb zostało wytłuczonych w pięknych magazynach w pobliżu będących i cegła zabiła biednego Irlandczyka, mającego około lat 60, który z tego samego może był stronnictwa, co mimowolny jego zabójca.

Widziałem inną jeszcze procesyę w Bostonie w sam przed dzień wyboru prezydenta. Deszcz silny padał; jeźdźcy, zmoknięte przezrocza, chorągwie, wszystko w gęstej mgle niknęło; pochodnie na pół przygasłe i dymiące słabo tylko oświecały orszak. Demokraci sprawiali pogrzeb wizerunkowi Lincolna, lecz złowróżbny ten żart przez nie jednego widza przeciw Unii był obrócony. Obchodzili oni istotnie obrzęd pogrzebowy swego stronnictwa, a ciemna noc owa ostatnie słyszała okrzyki ich nadziei.

Nazajutrz (8 listopada) Boston tak był

spokojny, iż mniemać było można, że to niedziela.

Udałem się do jednego z gmachów, gdzie się odbywać miało głosowanie. We drzwiach podawano mi ze wszystkich stron listy demokratyczne; podający czynili zarazem uwagi: „oto jedyna prawdziwa, dobra lista; strzeż się pan listy czerwonej, bo to zła!“

Na schodach milczący rozdzielacz wręczył mi ową listę czerwoną; poznałem że jest republikańską.

Każdy wchodząc podawał imię swoje zbierającym wota.

Na kilka dni przed wyborem rząd wysłał jenerała Butlera do Nowego Jorku i powierzył mu dowództwo wojsk związkowych, rozłożonych w okolicy. Zapowiedział on manifestem, że działania wyborcze odbędą się jak zwykle, bez współudziału władzy wojskowej; lecz że wszelkie usiłowanie wywołania zamieszek zostanie natychmiast skarcone przez wojska będące pod jego dowództwem.

Na *meetingach* demokratycznych, poprzedzających jego przybycie, najzapaleńsi oświadczyli publicznie, że się targną na jego życie; — atoli wkrótce ujrzano go przejeżdżającego konno wolnym stępem ulice, w paradnym mundurze, z całym swym sztabem.

Nazajutrz, jakkolwiek liczby stanowcze nie były jeszcze znane, wiedziano już od jednego do drugiego końca Stanów Zjednoczonych, że Lincoln powtórnie został wybranym. Z każdej wsi, z każdego miasta liczby przesłane zostały do wydziału obu stronnictw. Urzędnicy przy telegrafach, na pocztach i kolejach żelaznych tem tylko byli zajęci. Zwycięztwo republikanów wkrótce zapewnionem zostało.

Republikanie nie tylko, że dali kandydatowi swemu ogromną większość, lecz powiodło im się wprowadzić dostateczną ilość deputowanych do kongresu, aby módz otrzymać ową większość dwóch trzecich, bez której konstytucya nie może uledz poprawkom. Władza wykonawcza i prawodawcza znalazły się więc w zupełnej zgodzie, a ostatnia po raz pierwszy od lat wielu ujrzała się uzbrojoną w dostateczną potęgę do przedsięwzięcia rewizyi konstytucyi narodowej i zatarcia śladu fatalnej instytucyi, która na kraj sprowadziła klęski wojny domowej.

Pierwsze słowa, jakie wyszły z ust prezydenta po powtórnem wybraniu, były słowa pokoju i pojednania „unii bez niewoli.“

Cios, jaki dotknął w obecnej chwili Północne Stany przez podstępne morderstwo Lincolna, jest treścią rozpraw całego świata; gdyż Ameryka północna po spełnieniu wielkiego zadania ludzkości, zburzeniu osnów niewolnictwa, stanęła w obec świata, jako mocarstwo wielkie, potężne, niezwalczone, oparte dwoma ramionami o morza.

O czem za młodu marzył Washington, to urzeczywistnił obywatel-prezydent, Abraham Lincoln; z biednej przed laty kolonii dziś powstało mocarstwo, przed którem drżą najsilniejsze państwa starej Europy. Klęski domowej wojny zagoją się wkrótce: bogactwo narodowe spoczywa w przemyśle, przeto materyalny ubytek zapełni rozwój pracy i duch przedsiębierczy, ożywiający mieszkańców Stanów Zjednoczonych. Wolność w całem znaczeniu tego słowa, oparta na rozumnych podstawach, była jedyną dźwignią wielkości tego narodu złożonego z ułamków europejskich, ludzi czynu i myśli, którzy jako osadnicy Nowego Świata, prócz pracy i stałości nie mieli żadnych skarbów przebywając Ocean. Dziś ten naród, w czasie krwawych zapasów z plantatorami wykazał całą potęgę i niewyczerpane zasoby; a na gruzach niewoli, wzniesionej spodloną dążnością zysku europejskich

handlarzy, powiewa chorągiew swobody, pracy i myśli.

Zabójstwo Lincolna jest zbrodnią nie zmytą — duch zemsty zerwał dni życia tego, którego Ameryka i świat cały zaliczą do najwznioślejszych istot, jakie zjawiły się dla odkupienia ludzkości.

Posłuchajmy, co mówi *New-York Herald*, jeden z głównych organów amerykańskiego dziennikarstwa, o ostatnich chwilach zmarłego:

„Nieprzewidziana klęska dotknęła naród. Okropne wzruszenie panuje w Washingtonie, oburzenie bez granic przeciw mordercom i niewysłowiony żal powszechny. Morderca gdy w teatrze skoczył z loży prezydenta, gdzie dokonane było zabójstwo, na scenę, uciekając zawołał: „Południe pomszczone!“ W ucieczce stracił kapelusz i pistolet za kulisami. Scena u wezgłowia umierającego prezydenta była rozdzierającą; otoczony był do koła ministrami, którzy pomimo całej mocy serca nie mogli powstrzymać łez; jeden z nich płakał jak dziecko po stracie ojca, drugi ująwszy rękę ranionego nie puścił jej aż do ostatniej chwili zgonu. Nieprzejrzane tłumy ludu krążyły do koła noc całą, zachowując się spokojnie; każda wieść lotem błyskawicy obie-

gała miasto, ale niestety, śmierć zawitała do Domu Białego.“

Z depeszy telegraficznej ogłoszonej w gazecie *Globe* okazuje się, iż zamach na życie Lincolna i jego sekretarza Sewarda uknowany został przez zwolenników niewoli.

Nowy prezydent Unii, ob. Andrzej Johnson, w improwizowanej mowie jaką miał do ludu w Washingtonie, powiedział między innemi:

...„Jeszcze słówko i będzie koniec. Otóż upewniam was, że jestem za postępowaniem łagodnem; ale sądzę, iż winowajcy powinni być karani (Okrzyki: Tak, tak!). W rzędzie zbrodni największą jest zdrada, i na takiego który się tej zdrady dopuszcza, na takiego, śmiem twierdzić, mało jest kary śmierci (Głośne potwierdzenie). Według mnie, należy zdradę odstraszającą uczynić; niech zdrajcy doznają następstw swych czynów; powinni wyjść na nędzarzy, ich siła społeczna powinna być skruszona!...

„Ci, co się biją w polu, to jeszcze nie najgorsi ze zdrajców. Najgorsi ci, co ich podniecili, sami w domu siedząc, pieniądze trwoniąc i wszelkich używając środków do obalenia rządu.

„To też powiadam: na najrozumniejszych

zdrajców postronek! (Głośne zadowolenie). Za to ludzi prostych, obałamuconych, którzy się do buntowniczych szeregów wciągnąć dali, łagodniebym traktował. Powiedziałbym im: wracajcie każdy do swej roboty, bądźcie podporą rządu i dobrymi obywatelami...“

Do widzenia Czytelniku!...

Czcionkami Rosenthala i Sp. w Berlinie.

